

lesiojot



KAROL WILT

NIE CHCIAŁEM JEJ ZABIĆ

CZYTELNIA

KAROL WILT
NIE CHCIAŁEM
JEJ ZABIĆ



Czytelnik · Warszawa 1972

*Szanowny Panie Doktorze,
za pańską radą spisałem wszystko, co utrwaliło się w
mojej pamięci w związku z tą sprawą.*

*O ile dobrze zrozumiałem, chodziło Panu o rekonstrukcję
zarówno wydarzeń, jak i moich reakcji, stanów, przemyśleń.
Pewnie przesadziłem w dokładności relacji wypełniając aż
dwa zeszyty, za co z góry przepraszam.*

Czuję się lepiej, dziękuję.

A.Z.

ZESZYT PIERWSZY

W niedzielę 7 września 1969 roku ukończyłem czterdzieści lat. Wyjechałem tego dnia z Jeleniej Góry pociągiem o jedenastej z minutami do Wrocławia, żeby stamtąd jechać do Warszawy.

Stałem na korytarzu koło wejścia, patrzyłem w zasnutą ulewą okno i powtarzałem w myśli: „Zabiłam moją żonę. Zabiłam Celinę”. Nic innego nie mieściło się w mojej głowie, tylko te dwa zdania, przesuujące się jak taśma dźwiękowa z króciutkim powielonym zapisem: „Zabiłam moją żonę. Zabiłam Celinę”.

Wpatrywałem się w szybę z niesłabnącym napięciem, chociaż widniały za nią tylko strugi deszczu, który padał od wczoraj. Główna fala wczasowiczów już spłynęła z Dolnego Śląska, pasażerów było niewielu. Krzątali się za moimi plecami, gawędzili, niekiedy potrącali mnie w przejściu i przepraszali, a ja rzucałem automatycznie. „Nie szkodzi”.

Zatrzymał się przy mnie kontroler, poprosił o bilet. Spojrzałem na niego nieprzytomnie, więc powtórzył głośno, jak do głuchego:

- Bilet

Podałem mu:

- Proszę.

Nawet przy tej wymianie słów taśma w głowie nie powstrzymała swojego stukotu. Zabiłem, zabiłem... Jeszcze, zdawało się, czułem opór jej barku, kiedy gwałtownym pchnięciem strącałem ją w przepaść. Jeszcze dzwonił mi w uszach jej krzyk zachrypnięty, pełen zwierzęcego strachu. Pewnie chwyciła się załomów w skale, bo kilka kamieni potoczyło się z hukiem na dno żlebu. Potem słyszałem już tylko szum deszczu.

Wolnych miejsc było dużo, mogłem sięść na miękkiej kanapie, ale trwałem w bezruchu, nie odrywając oczu od mokrej szyby. Bałem się. Coraz bardziej się bałem.

Przy moim łokciu bzykała mucha, która utkwiała głęboko w szparze między szybą a ramą okienną. Bzykała ostro, rozpaczliwie, milknąc raz po raz z wyczerpania. Chętnie bym ją przyduślił. zbyt dokładnie wyrażała własny mój stan.

Przypomniało mi się, jak pewnego dnia gosposia powiedziała o mnie: „Muchy by pan nie skrzywdził”. To dobre!

Wsluchiwałem się w stukot kół, tak odmienny od plusku deszczu: ostre raz-dwa, potem chrobot przeciągły, w końcu ściszenie aż do pełnego obrotu osi — i od nowa raz-dwa. Doskonały akompaniament do samobiczowania.

Przy sąsiednim oknie mężczyzna i kobieta po zawarciu świeżej znajomości szukali po omacku tematów, taki mały rekonesans w gąszczu zdawkowych pytań.

- Pani mieszkała w Jeleniej Górze?

- Nie, w Podgórzynie.

- Ładna miejscowość. W domu wczasowym?

- Prywatnie. A pan?

- W sanatorium w Cieplicach.

- Aha, zdróweczko nawala.

Skądże! Nic mi nie jest, ale skoro dają sanatorium... (śmiej).

- Jasne, za darmo... (śmiej).

- Dobrze pani się urządziła w Podgórzynie?
- Nieźle. Drogo, bo drogo, ale wygodny. Dobry pokój i wyżywienie na poziomie.
- O to to, jak odpoczynek, to odpoczynek!
- Nie każdy to rozumie, niektórzy mówią: rozrzutność.
- Nie ma się czym przejmować. Pewnie nie nudziła się pani przez ten miesiąc?
- Nie narzekam.
- Nowe znajomości, dansingi i tede?
- Aha, i tede.
- Papierosa?

Tak sobie gwarzyli układnie i miło, jak to na początku. Chętnie bym i tych przydusił. Czy każde żywe stworzenie będzie mi teraz działało na nerwy? Przecież mam żyć z ludźmi.

- Bzzzzzzz... — odezwała się mucha w nowym zrywie desperackiej nadziei.

I nagle — obrazek z dzieciństwa.

Trzeci rok okupacji, koniec lala, jestem z matką w jakiejś wsi w Białostockiem — może zawieźliśmy coś do sprzedania czy wymiany, tego nie pamiętam.

Mieszkamy w dużej izbie wraz z gospodarzami, śpimy na sienniku rozkładanym wieczorem na podłodze. W chacie — zatręśnienie much! Czegoś podobnego nie widziałem już nigdy potem.

Chodzimy do lasu na grzyby, na jagody, cały dzień poza domem, ale pod wieczór, ledwie przestąpimy próg, draństwo oblepia twarz, ręce, czoło, gryzie boleśnie, włazi do uszu ze swoim przeklętym bzykaniem.

Po wszystkich kątach rozstawiono szklane muchołapki z zatrutą słodzoną wodą — naczynka podobne do szkolnych kałamarzy, tylko dużo szersze na dole. Nie mogłem pojąć, jaka siła pcha owady do zwężających się otworów, skąd nie ma powrotu — spadały, szamotały się w lepkim płynie i konały powoli, przeraźliwie wzywając pomocy. Czarno było w szklanych pułapkach od zwłok, a żywe muchy nadal oblepiały ściany, szyby, sprzęty, ludzi.

Dzieci wiejskie z niezwykłą biegłością operowały packami, rozgniatały za jednym uderzeniem całe tłumy much, ja jednak wzbraniałem się przed udziałem w tych masowych egzekucjach. Mdlilo mnie na widok czarnych ciałek z wijającym się odwłokiem, z podkurczonymi żałośnie łapkami. Zapominałem o nienawiści, czułem jedynie odrazę — nie tylko do nich. Odwracałem się.

Pewnego razu gospodarz, chłop zwalisty, posepny i małomówny, przyjrzawszy mi się, powiedział:

— Na co czekasz? Bierz się do roboty!

I wetknął mi do ręki packę.

Zawstydziłem się, jak gdyby przyłapał mnie na bezeceństwie. Zapomniałem o mdłościach i trzasnąłem o ścianę z całej siły, na oślep. Posypało się nieco muszego trupa.

- No widzisz — powiedział z ponurą satysfakcją, odwrócił się i natychmiast stracił dla mnie zainteresowanie.

Taki był mój chrzest bojowy na polu muchobójstwa.

W nocy kręciłam się na sienniku, nie mogłem zasnąć z obrzydzenia i poczucia winy Uświadamiałem sobie wyraźnie, że w owej chwili doznałem nie tylko przykrości: mord okazał się rzeczą trudną, ale wartą wysiłku.

Następnego dnia ćwiczyłem rękę i nerwy, nauczyłem się posługiwać packą nie gorzej od chłopskich dzieci, obliczałem z dumą swoje trofea. Drgające nóżki i odwłoki już nie robiły ra mnie wrażenia, by a to masa do zniszczenia, nie pojedyncze stworzonka.

Równie szybko przyzwyczaiałam się później do łowienia ryb w sieci, natomiast nie lubię wędkarstwa.

Zawsze podejrzewałem, że szuka wdrażania ludzi w masowe zbrodnie, popełniane na innych ludziach, polega na tym, żeby stępić w wykonawcach wrażenie zabijania pojedynczych istot, wyrobić w nich bezosobowy stosunek do ofiar, tak jak gdyby mieli do czynienia z poruszającą się materią, którą należy unieruchomić. Sprawa tak uproszczona łatwo poddaje się upowszechnieniu, tej metody trzymali się chyba hitlerowcy.

Muchobójstwo do dziś jest dla mnie sportem wciągającym, ilekroć nadarzy się okazja. Nie próbuję tłumaczyć czy

upiększać tego faktu względami racjonalnymi, jak szkodliwość i dokuczliwość owada. Wiem, że po prostu w ten sposób, zupełnie przecież niewinny, zaspokajam atawistyczny instynkt zabijania, który tkwi we mnie tak samo, jak w milionach normalnych, pokojowo nastawionych ludzi.

Tak precyzyjnie tej kwestii w pociągu chyba nie rozważałem, ot, kręciło mi się to po głowie, jak też i inne problemy, zupełnie oderwane, bo musiałem czymkolwiek zagłuszyć tę jedną myśl: zabiłem Celinę.

Kiedy dojechaliśmy do Wrocławia, wysiadłem z pociągu zapomniawszy walizki. Potem dopiero wróciłem do wagonu i wyskoczyłem, kiedy już był pusty. Słyszałem, jak konduktor na peronie powiedział do kolegi, kiwnąwszy w moją stronę:

Zapłacił za pierwszą klasę i cały czas stał na korytarzu, przy ubikacji. Mają ludzie pieniądze!

— Może brzuch go bolał?

Długo się śmiali.

W informacji dowiedziałem się, że pociąg pośpieszny z Jeleniej Córy do Warszawy przybywa do Wrocławia koło 17-tej. Mogłem więc, poczekawszy w Jeleniej Górze parę godzin, od razu wsiąść do warszawskiego pociągu!

Nie żałowałem, że wypadło mi zamiast tego czekać we Wrocławiu. Dopiero tydzień temu przejeżdżałem tamtędy samochodem do wioski wysokogórskiej, byłem w doskonałym humorze, snulem przyjemne plany; teraz widok jeleniogórskich ulic drażniłby mnie jak gorzka kpina. Tu przynajmniej nie mam świeżych reminiscencji.

Olbrzymi dworzec, połyskujący białym metalem i czarnym szkłem, przecięty szerokim pasażem, tym razem przywalił mnie swoją nowoczesnością, geometryczną nudą, nadmiarem pustych przestrzeni.

Środkiem pasażu ciągnie się podwójny rząd ławek, a po obu stronach ustawiły się w szeregu sklepy, zakłady usługowe, przechowalnia bagażu, restauracja, kawiarnia, świetlica — wszystko dla wygodny podróżnych.

Poczułem się ogłupiały i zagubiony, jak wieśniak przybywający po raz pierwszy do miasta. W owej chwili najmniej

potrzebowałem wygody, najwięcej – samotności.

Oddałem walizkę na przechowanie i zajrzałem do świetlicy. Napis przy wejściu ostrzegał, że ta forpoczta oświaty jest przeznaczona wyłącznie dla posiadaczy biletów kolejowych. Skorzystałem ze swoich praw, przekroczyłem próg.

Wewnątrz wszystko ziało nieżyczliwością, w pierwszym rzędzie sama kierowniczką, odgradzona od publiczności solidną barierą – widocznie na wypadek napaści ze strony podróżnych. Uzbrojona w wyniosłą obojętność, patrzyła w przestrzeń nie widzącym spojrzeniem, jak znużona nauczycielka podczas klasówki.

Przy stołach, ustawionych z morderczą regularnością pomiędzy ponurymi kolumnami, siedzieli ludzie również jak ona znużeni, a w dodatku pełni rezygnacji. Grali w szachy, czytali gazety lub drzemali, oparliśmy głowy o zimny blat. Zakaz palenia, wzmocniony przez brak popielniczek, automatycznie eliminował mnie z tej społeczności. Wyszedłem.

Trzeba było jednak gdzieś spędzić godziny czekania. Nie mogłem wstąpić do restauracji lub kawiarni, bo myśl o jedzeniu przyprawiała mnie o fizyczny wstęt. Usiadłem w pasażu na ławce w nadziei, że nie będę miał stałych sąsiadów i nikt nie narzuci mi się z rozmową.

Bezmyślnie gapilem się na duże kolorowe przezrocza, złożone w dwa sześcioboki: wyobrażały młodzieńców i dziewczęta w modnych strojach, w niedbałych pozach ludzi zadowolonych z życia i z siebie. Te oświetlone wewnątrz latarnie obracały się powoli na słupach, nęcąc oko widokiem luksusu dostępnego dla wszystkich, o czym zapewniał napis: „PDT ładnie i tanio ubiera”.

Efekt nieco psuli młodzieńcy ubrani bez elegancji, którzy upodobili sobie podest pod tą reklamą jako miejsce dłuższego pobytu. Przychodzili tu po kilku głębszych, w nastroju ponurym, choć nie agresywnym – po prostu z biernym zaciekawieniem przyglądali się podróżnym, burząc piękny obraz świata, obracający się nad ich głowami.

Wrażenia odciskały się na mojej korze mózgowej z nie-

zwykłą ostrością, nigdy przedtem nie dostrzegałem tylu szczegółów. Czułem się bardzo zmęczony natłokiem wrażeń wzrokowych, zamknąłem więc oczy i usiłowałem zasnąć, wtulony w kąt ławki. Na próżno. Wewnętrzne napięcie było mocniejsze od mojego zmęczenia.

Przed piątą wyszedłem na peron, tłum ludzi oczekiwał na nadejście warszawskiego ekspresu. Dostałem się bez trudu do wagonu pierwszej klasy, zająłem miejsce w ostatnim przedziale i rzuciłem walizkę na górną półkę. Aż do końca nikt do mnie się nie dołączył, pewnie nie wyglądałem na miłego towarzysza podróży.

Wagon był luksusowy. Miękkie siedzenia z wygodnym oparciem dla ramion i głowy, szyba okienna niemal na całą szerokość przedziału, składane stoliczki przed fotelami, podwójne, żółto połyskujące półki na bagaże, ładnie sprofilowane sklepienie — wszystko to utrzymane w tonacji brązowobeżowozłocistej.

Zanim usiadłem, spojrzałem w lustro nad przeciwległą kanapą i ledwie poznałem swoją twarz: cera ziemista, bruzdy na czole i wzdłuż ust, oczy wygasłe... schorowany starszy pan!

Uciekłem spojrzeniem w bok, gdzie, ujęta w ramkę szóstka górali, na tle zaśnieżonych Tatr, zastygła w tanecznym podskoku, podkurczywszy nogi i wymachując zawadiacko ciupagą. Oszołomiło mnie to nadprzyrodzone zjawisko, urągające prawu ciężenia.

Przeniosłem spojrzenie na lewo, na drugą fotografię — i tu dopiero czekała mnie niespodzianka: ta sama szóstka górali zawisała w powietrzu na tle tychże tatrzańskich szczytów! Może teraz zobaczą białe króliki?

Opadłem na fotel, przeklinając swoją głupią nadwrażliwość. Przerazić się z tego powodu, że jakieś gapy kolejowe zawiesiły na ścianie dwa jednakowe fotosy? Jeszcze chyba nie zwariowałem, na razie.

Wyprostowałem się, oparłem wygodnie głowę, wyciągnąłem na całą długość nogi — i postanowiłem przywołać nerwy do porządku. Ruszyliśmy, chwała Bogu.

W jednym przedziale płakało dziecko, w innym szczekał

pies, gdzieś dalej jakiś pijany zawodził falsetem „Góralu...” Zrobiło się bardziej swojsko, jak na niedzielnej wycieczce za Warszawę. Odprężyłem się trochę.

Już sposobilem się do drzemki, kiedy usłyszałem znajomy sygnał: „Zabiłem Celinę...” Brzmiał jednak jak ściszony podkład dźwiękowy, na którym mogłem snuć inne myśli. Nie były to, ściślej- mówiąc, myśli — raczej obrazy czy migawki z przeszłości, nie zawsze w porządku chronologicznym.

Miałem chyba dziewięć lat, kiedy po raz pierwszy przyśniło mi się, że niechcący popełniłem jakiś szkaradny czyn, o którym na razie nikt nie wie. Po obudzeniu się nie pamiętałem, co uczyniłem, lecz z niesamowitą dokładnością ujrzałem swój dalszy los: miałem ciągle żyć w trwodze i zakłamaniu, żeby ukryć winę i uniknąć kary. Czy potrafię?

Nieraz później widziałem ten sam sen w różnych wariantach. Po obudzeniu nigdy nie pamiętałem, co zaszło, i z równą trwogą odczuwałem nieodwracalność nowej sytuacji: mianem odtąd bać się i kłamać, wciąż bać się i kłamać i tak w nieskończoność.

Teraz zadałem sobie pytanie: czy ta powracająca zhora zwiastowała głęboko we mnie tkwiące skłonności zbrodnicze? A może tylko świadczyła o lęku przed losem, który w każdej chwili, niezależnie od moich intencji i czynów, potrafi zburzyć wszystko, com dla siebie zbudował?

Jedno i drugie było wymierzonym przeciwko mnie okrucieństwem. Kto je wymyślił?

Nie jestem wierzący, więc muszę obciążyć tym ślepią siłę, przypadek. Przecież jeden szczegół powtarzał się w moich snach nieodmiennie: chociaż nie wiedziałem, czym właściwie zawiniłem, to jednak pamiętałem wyraźnie, że stało się to przypadkowa.

Czysty przypadek sprawił, że zostałem inżynierem. Maturę zrobiłem w Warszawie w roku 1949. Matka już nie żyła, ojciec pracował w spółdzielni inwalidów — podczas okupacji amputowano mu nogę powyżej kostki.

Jakimś cudem uratowało się nasze mieszkanie na Ochocie i po wyzwoleniu zamieszkaliśmy tam z ojcem w jednej z dwóch

przydzielonych nam izb. Moglibyśmy zająć wszystkie cztery, ale dom był doszczętnie ogołncny z m - bli. Z trudem zdobyliśmy dwa połowę łóżka, kulawy stół, parę krzesel. Z takim umeblowaniem i w jednym pokoju było pustawo.

A więc 1949! Oglądaliśmy moje świadectwo dojrzałości, siedząc przy stole nakrytym dziurawą ceratą.

- Jesteś mężczyzną — powiedział ojciec, zaznaczając w ten sposób wzniosłość chwili.

Kiwnąłem głową, nie zdobyłem się na bardziej uroczysty gest.

- Co zamierzasz robić dalej?

Wzruszyłem ramionami.

Na otwartym oknie usiadł gołąb, wyciągnął szyję i wy-czekująco spojrzął na mnie bezmyślnym okiem w czerwonej obwódce. Ojciec wstał, sypnął na parapet garść okruchów.

Powiedziałem:

- Mówił Jacek, syn dozorczy, że na budowie poszukują robotników.

- To niech Jacek idzie na budowę — odrzekł ojciec z urazą. — Myślałem, że będziesz studiował.

- Mogę studiować.

- Na jakim wydziale?

Poczerwieniałem, nie przygotowany na takie pytanie. Czy ja rzeczywiście chciałem studiować? Czy jakaś nauka pociągała mnie więcej od innych?

Mówiąc szczerze, gdybym miał swobodnie wybierać sobie zajęcia, najchętniej bym grał godzinami w siatkówkę. Ale to przecież nie była specjalność.

- Matematyka? — pytał tymczasem ojciec. — Architektura? Medycyna? Polonistyka? Przyrodoznawstwo?

- Tak, przyrodoznawstwo — uchwyciłem się ostatniego wyrazu.

Kojarzył mi się z Puszcą Białowieską, z wycieczkami kajakiem, z plażą nadmorską, z harcerskim obozem i smakiem wyciąganych z ogniska ziemniaków... W szkole mówiło się po prostu „przyroda”.

- Szkoda — westchnął ojciec. — Wolałbym, żebyś poszedł

na politechnikę, nauki ścisłe to zawsze... no... wiesz...

- Zobaczę jeszcze, trzeba się zastanowić.

Po maturze należało mi się kilka tygodni nieróbstwa, nie zajmowałem się więcej kwestią studiów.

Jolka, z którą chodziłem w ostatniej klasie, wyjechała z rodzicami na lato do Międzyzdrojów. Popłakała się żegnając mnie i przysięgliśmy sobie, że będziemy pisywać codziennie. Nazajutrz czułem się samotny i opuszczony.

Zacząłem chodzić z chłopakami nad Wisłę. Znaleźliśmy zaciszne miejsce, gdzie nikt się nie kąpał, bo w zeszłym roku były tam wiry. Jak wiadomo, dno rzeki stale się zmienia: po wypróbowaniu wyjaśniliśmy, że wiry przeniosły się gdzie indziej. Spędzaliśmy tam ranki i popołudnia, kąpiąc się do woli i smażąc w słońcu.

Pewnego dnia Jurek przyprowadził swoją dziewczynę, następnego przyszły z nią dwie koleżanki. Dostałem do pary Majkę, śmieszna czarnulkę z wąskimi oczami koloru przepalanej kawy. Było fajnie. Listy od Jolki przychodziły coraz rzadziej, nie śpieszyłem się też z odpowiedzią. Chyba nigdy później nie przeżyłem okresu tak zupełnej beztroski.

Na początku lipca ojciec wrócił wieczorem czymś za-troskany. Wyjął z teczki pakunki z żywnością — masło, piklinga, ogórki, biały ser i ciasto drożdżowe, a także butelkę owocowego, słabiutkiego wina.

- Andrzejku — powiedział markotnie — czy już namyśliłeś się?

- Co do czego?

- Wiesz przecież.

- O co ci chodzi, tатku?

- Miałeś zdecydować się, co będziesz studiował.

- Aaaaa, ty o tym...

Zdążyłem kompletnie zapomnieć o naszej rozmowie.

- Nie chciałbym wywierać na ciebie presji — ciągną] ojciec ze smutkiem. — Przyrodoznawstwo to piękna rzecz, szlachetna i pożyteczna. Tylko że...

Położył mi rękę na ramieniu:

— Wolalbym, żebyś zmienił wybór, synku. Przeżyliśmy

wojnę, kraj potwornie zniszczony, w Warszawie jeszcze ruiny. Trzeba będzie budować a budować! Może byś poszedł jednak na politechnikę.

Czułem, jak drży jego dłoń.

Było mi właściwie najzupełniej wszystko jedno, politechnika czy uniwersytet, medycyna czy matematyka. Powiedziałem „przyrodoznawstwo” na chybił trafił, tylko żeby ukryć przed ojcem tę swoją obojętność, której na pewno by nie zrozumiał. Z tejże przyczyny musiałem teraz za wszelką cenę udać rozterkę, po prostu nie mogłem mu zrobić zawodu.

Milczałem dłuższą chwilę ze skupioną miną, potem potrząsnąłem głową, jakby żegnając marzenie, odkorkowałem butelkę i nalałem dwa kieliszki.

- I na politechnice można studiować, tatusiu — powiedziałem. — Ktoś musi budować fabryki.

Odbyło się to, szczęśliwie dla mnie, bez świadków.

Twarz ojca zarumieniała się, w oczach stanęły łzy.

- Widzę, że jesteś naprawdę dorosły — powiedział hamując wzruszenie i twardo uściśnął mi dłoń.

Wiedziałem już wtedy, że egzystencja moja, jak i większości znanych mi ludzi, jest kombinacją rozmaitych konwencji, nawyków i mitów, z nieznaczną tylko domieszką przeżyć w pełni prawdziwych.

W przełomowym okresie dojrzewania, kiedy skłócone emocje nabierają gwałtownej ostrości, odczuwałem żywiołowy wstręt do wszelkich konwencji w świecie dorosłych czy w naszym, chłopięcym. Jednakże trzymałem na wodzy odruchy buntu, umiałem je podporządkować wymogom obyczajaju, wskutek czego starsi uważali, że jestem chłopakiem wrażliwym i delikatnym, a rówieśnicy mieli innie za mięczaka.

Niedługo po opisanej rozmowie przeżyłem jedno z mocniejszych zaskoczeń.

Trzy tygodnie minęły od wyjazdu Jolki, korespondencja nasza skurczyła się do lakonicznych kartek. Aż tu nagle dostałem bardzo długi i bardzo dramatyczny list, składający się ze zwierzeń, samooskarżeń i błagań o przebaczenie: rozłąka pomogła jej zdać sobie sprawę, że mnie nie kocha.

Nie sam list mnie zaskoczył — przechodziłem właśnie podobną ewolucję. I nawet nie ta, wsteczną datą stwierdzona fikcyjność uczuć, które celebrowaliśmy wspólnie przez okrągły rok. Prawdziwym szokiem okazał się dla mnie brak wstrząsu, kompletna nieobecność cierpienia, które by zakłóciło moje doskonałe samopoczucie.

Więc: było, minęło — i nic z tego powodu się nie zawaliło? A gdyby Jolka nie dokonała swego odkrycia lub gdyby zataiła go przede mną? Wtedy najprawdopodobniej nadal bym chodził z nią w przekonaniu, że to właśnie szczęśliwa miłość, wbrew mnożącym się objawom obustronnego oziębienia. Działyby mitologia, prawo konwencji. rzecz tak samo nietykalna w stosunkach miłosnych, jak i rodzinnych. Konwencje różne, istota jednaka.

Poczułem przyjemne rozluźnienie więzów, o których nie wiedziałem, że są krępujące. Wieczorem zabrnąłem z Majką daleko w las i było nam bardzo dobrze.

... Znów kontroler, znów trzeba wyciągać z kieszeni bilet.

- Czy jedziemy według rozkładu? — spytałem.

- Gdzież tam! W Dobrorzycach reperowaliśmy sąsiedni wagon, nic pan nie zauważył? Zleciało nam na tym pół godziny, a drugie tyle pewnie jeszcze zarobimy.

- Więc będziemy w Warszawie pół do dwunastej?

- Najwcześniej.

Pytałem z przyzwyczajenia, bo przecież nie miałem się do czego śpieszyć.

Szaruga wisiała za szybą jak ołowiana zasłona. W otwartych drzwiach stanął kelner z bufetu, trzymał na tacy szklanki z brunatną cieczą.

- Kawy? — zapytał z zachęcającym uśmiechem.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

- Mogę przynieść herbaty z ciastkami.

- Nie chcę słodczy.

- Mam parówki. Świeże, z musztardą.

Zamówiłem, żeby mieć spokój.

- Z piwem?

- Niech będzie z piwem.

Kiedy postawił na stoliku jedzenie, poczułem nagły skurcz głodu. Nie jadłem od wczorajszego południa.

W Ostrowi Mazowieckiej pociąg stał czterdzieści minut. Reperowali tym razem nasz wagon, ktoś walił z dołu w podłogę, walizka podskakiwała uderzając o pochyłość sufitu. Wyszedłem na korytarz, znów patrzyłem w mokrą szybę.

Napięcie nerwowe nie spadło, tylko zmieniło kształt. Teraz już nie myślałem o śmierci Celiny słowami, wiedza o tym zeszała w głąb, stała się niemym ciężarem, dokuczliwą niewygoda, stępionym lękiem. Snułem dalej wspomnienia — bez świadomego wyboru, raczej z potrzeby myślenia o sobie inaczej niż w czasie teraźniejszym.

Na politechnice szło mi z początku opornie, nie miałem nawyków regularnej pracy umysłowej, jak zresztą większość studentów pierwszego roku. Mógłbym być zniechęcić się do studiów, gdybym miał do wyboru coś lepszego niż służba wojskowa, na którą nie miałem najmniejszej ochoty. Przebrnąłem jednak jakoś przez ten rok, a potem rozmiłowałem się w kreślarstwie, co mnie zaprawiło do robienia szkiców architektonicznych. Okazuje się, że miałem w tym kierunku zdolności.

W tym czasie już mieszkalem kątem u kolegi.

Wiosny roku 1950 przyjechała do nas z prowincji daleka kuzynka ojca, wdowa po oficerze, poległym w kampanii wrześniowej. Miała trzydzieści sześć lat, była znacznie młodsza od mojego ojca; zdaje się, że kiedyś kochał się w niej bez wzajemności. Nie interesowały mnie dawne dzieje, ale ojcu ogromnie zależało na tym, żeby podkreślić czysto rodzinny charakter swojego do niej stosunku.

Zamieszkała w drugim pokoju, rzadko przez nas używanym. Ojciec znalazł jej biurową pracę w pobliżu. Zaopiekowała się naszą gospodarką, która bardzo potrzebowała kobiecej ręki.

Anna była miłą, cichą, skromną osobą, polubiłem ją bardzo szybko. Nie umiałbym nic powiedzieć na temat jej urody, ponieważ kobieta w jej wieku, jak sa.dziłem, jest już istotą bezpłciową.

Nie pamiętam, kiedy zdałem sobie sprawę, że ojciec sądzi

inaczej. Jakaś przypadkowo zasłyszana rozmowa, mimowolnie podpatrzony gest ujawniły mi, że istnieje między nimi coś więcej aniżeli stosunki rodzinne. Nie byłem zaszokowany, tylko zdziwiony niemądrym zdziwieniem młokosa, który uważa przeżycia miłosne za wyłączny przywilej swojego wieku. W tym wypadku musiałem stwierdzić, że sie pomyliłem.

Spokojnie przyjąłem ten fakt do wiadomości, a znając skłonność ojca do skrupułów i poczucia winy, ułatwiłem im sytuację, przenosząc się pod pierwszym pretekstem do kolegi. Sporo jednak minęło czasu, zanim mój stary zdecydował się na zawarcie oficjalnego małżeństwa.

Dopomogła mu w tym moja dyskretna sugestia. Bardzo wzruszyła go „synowska tolerancja”, jak to nazwał. Dziś, po osiemnastu latach, widzę wyraźnie, że w mojej postawie więcej było wygodnictwa niż altruizmu. Ożenek ojca w niczym mi nie przeszkadzał, niczego nie pozbawiał, nic w moim życiu nie zmieniał. I dawniej nie łączyła nas autentyczna zażyłość, a piecza ojcowska niejedną raz była mi ciężarem.

Zadbałem oczywiście, żeby konwencji stało się zadość. Okazywałem uczucia, jakich ojciec po mnie się spodziewał: trochę żalu, trochę zazdrości, trochę smutku, a wszystko to z umiarem, bez przesady, jak trzeba. Zmiana w statusie rodzinnym przeszła gładko, nawet dodała nieco swobody i naturalności naszym stosunkom.

Inaczej mój ożenek. Ten pierwszy, z Martą.

...Lokomotywa przeraźliwie gwizdnęła, pociąg ciężko zgrzytnął i mozolnie, w kurczowych podrygach ruszył naprzód, niczym koń objuczony ponad siły. Wagon kolebał się z rozmachem, tak jakby miał zamiar wyskoczyć z torów.

Wróciłem do przedziału.

Obraz Marty, nieopatrznie potrącony wspomnieniem, tkwił pod moimi zamkniętymi powiekami.

Poznałem ją w roku 1959, będąc już cenionym fachowcem w biurze projektów, mimo że ledwie ukończyłem trzydzieści lat. Marta, o osiem lat młodsza, studiowała na uniwersytecie historię sztuki, choć nie miała w tym kierunku zamiłowania

ani specjalnych uzdolnień. Urodziła się w profesorskiej rodzinie i po prostu nie wypadało, żeby nie miała wyższego wykształcenia.

Zakochałem się przepisowo, od tak zwanego pierwszego wejrzenia. Robiłem wszystko, co się w takich wypadkach robi: objąłem się w uczęszczanych przez nią lokalach, zdobywałem bilety na występy zagranicznych znakomitości, w końcu nawet uzyskałem zaproszenie na piątkowe przyjęcia u niej w rodzinie.

Kochałem Martę. Za co? Jest to jedno z najgłupszych pytań, na które nie ma właściwej odpowiedzi, choćby obiekt miłości składał się z samych zalet. Mogę tylko mniej więcej określić, jakie miała cechy charakteru.

Nie uważała się za intelektualistkę, a to już wiele. Była wesoła, bezpośrednia, dosyć rozpieszczona, ale nie egoistka, była dobra, uczynna, obdarzona poczuciem humoru, wyzuta z kręactwa i wyrachowania. I była niewątpliwie bardzo ładną dziewczyną.

Kochałem tak mocno, że po raz pierwszy w życiu zapragnąłem mieć tę dziewczynę przy sobie na zawsze, czyli mówiąc inaczej — ożenić się z nią. Nie brakło jej propozycji małżeńskich i do dziś dnia nie wiem, czemu wybrała właśnie mnie. Może wyczuła rzadką siłę mojego przywiązania, a może spodobało się jej, że nie stawiałem żadnych warunków i nie obiecywałem żadnych cudów

Pobraliśmy się według wszystkich obowiązujących reguł i nawet byliśmy oboje szczęśliwi. Jeżeli Marta na początku mnie tylko lubiła, to po krótkim czasie już była zakochana i nawet nie uwierzyłyby, że kiedyś było inaczej.

Nie starałem się, jak to często bywa, poszerzać jej horyzontów według własnych o tym wyobrażeń. Nie była ograniczona czy prymitywna, lubiłem z nią rozmawiać na wiele tematów, sądy jej nieraz uderzały mnie celnością dlatego właśnie, że nie mąciły ich opinie cudze, zasłyszane lub przeczytane.

Ceniłem w niej także dwuaspektowy odbiór zjawisk, uczuciowy i racjonalny. Było w Marcie coś z dziecka, które

jeszcze niezupełnie nasiąkło pojęciami dorosłych i nie zatraciło żywiołowych odruchów. Dzięki temu zdarzało się, że jej reakcje były mi busolą przy rozstrzygnięciu jakiegoś zawilego problemu moralnego.

Ojciec i Anna poznali Martę i jej rodziców dopiero przed naszym ślubem.

Mieszkali nadal na Ochocie, ale dzięki gustowi i pomysłowości Anny ich dwa pokoje nabrały urody i ciepła. Wystarała się o protezę dla ojca, nie podwijał już pod łydkę pustej nogawki, spod mankieta wyglądał normalny but, jak na zdrowej nodze. Zrazu bardzo mnie to dziwiło, potem przyzwyczailem się i prawie zapomniałem, że wiele lat ojciec chodził o kuli, która wykrzywiła mu lewe ramię.

Anna zachowała swoje nazwisko z pierwszego małżeństwa, co zdaje się sprawiało ojcu przykrość, ja zaś nie widziałem w tym nic ubliżającego dla drugiego małżonka. Człowiek przyzwyczajają się do nazwiska, które nosi lat kilkanaście, i nie ma to nic wspólnego z sentymentem do dawnych więzi.

Może Anna wyładniała po nowym zamążpójściu, a może to ja trochę zmądrzałem, ale teraz widziałem, że nie jest to starsza pani, lecz przystojna, choć niemłoda już kobieta o dużym uroku, jaki daje czysta cera bez makijażu, nigdy nie farbowane włosy i wielka prostota w obejściu.

Tę jej prostotę lubiłem najbardziej, odpęzałem się w jej obecności, rozluźniałem narzucane sobie zahamowania. Myślałem niekiedy, że przy niej bywam bardziej sobą niż w samotności. Nigdy nie dzieliło mnie od Anny wspomnienie matki, mglista już i niekonkretne Sądzę, że i z ojcem było podobnie.

To Anna nie zdając Sobie z tego sprawy przygotowała mnie do zbliżenia z Martą — w tym sensie, że pomogła mi stopniowo wypłatać się z hermetycznej otoczki, która osłaniałem się przed każdym głębszym wzruszeniem, uciekając się do konwencjonalnego ujęcia spraw ludzkich. Pozbawianie się otoczki przynosiło mi ulgę.

Mogłoby się to stać wcześniej, gdybym nie wyprowadził się z Ochoty, ale tym dwojgu nie wyszłoby to na dobre Zaczęłem

już rozumieć, że cicha przystań, jaką po latach znalazłem w domu mojego dzieciństwa, dla nich była wątlwym schronieniem po odmiennych, a równie dotkliwych porażkach życiowych. Ich związek stanowił rozsądny kompromis na zasadzie rezygnacji z wygórowanych nadziei.

Marta, z natury otwarta i spontaniczna, polubiła ich szczerze, jednakże nie zaprzyjaźniła się z nimi w sposób prawdziwy; nie umiałbym wytłumaczyć dlaczego. Nie wchodziły tu w grę zazdrość, brak zaufania czy jakieś osobiste uprzedzenia, na pewno. Domyślałem się mgliście, że Marta podświadomie zachowuje dystans, dzielący jej sferę od środowiska moich rodziców. Unikałem jednak sprawdzenia tych moich domysłów.

Pochodziła z bardzo dobrej rodziny. Ojciec, znany profesor literatury polskiej, miał wielkie zasługi — poczynił ponoć ważne odkrycia, ujawniając w twórczości wieszczów aspekty, przeoczone przez innych badaczy. Otaczano go powszechnym szacunkiem, cytowano w wystąpieniach publicznych, robiono z nim wywiady radiowe i telewizyjne, zapraszano wszędzie, gdzie obowiązywała obecność elity intelektualnej. Był uznaną chlubą kultury polskiej.

Co piątek profesorstwo spraszali na herbatkę niewielką ilość wybrańców. Opowiadano, że rozmowy tam obracały się głównie wokół osoby gospodarza: cytowano obficie cenniejsze jego powiedzonka, powoływano się na złote myśli, sprzeczano się o chronologię słynniejszych publikacji. Ten właśnie zwyczaj umożliwił mi przedostanie się na piątkowe uroczystości jeszcze w czasie moich starań o Martę.

Ktoś z życzliwych poradził, żebym nauczył się na pamięć kilku fragmentów z prac profesora oraz bibliografii jego ważniejszych rozpraw. Zrobiłem to nie bez trudu i czekałem na szczęśliwą okazję. Nadarzyła się przy otwarciu jakiejś wystawy w Muzeum Narodowym.

Podszedłem do profesora i przedstawiłem się jako zagorzały wielbiciel jego publicystyki krytyczno-literackiej. Któryż to z piszących zostanie nieczuły na taką deklarację?

Spojrzał na mnie życzliwym okiem i zapytał, jakie z jego

prac przeczytałem. Wymieniłem bez zająknięcia kilka najwybitniejszych, wsparłszy rejestr cytatami. Życzliwość uczonego przemieniła się w serdeczność, którą umocniłem, streszczając najbardziej pochlebne recenzje jego dzieł. Przygotowałem się gruntownie, niczym do egzaminu!

Na zakończenie oświadczyłem, że będąc nie literatem, lecz skromnym architektem, reprezentuję szersze kręgi czytelników, którzy przyjemność czytania jego dzieł przedkładają nad lekturę powieści. W ogóle, jeżeli chodzi o prozę dzisiejszą... Śpiewałem jak z nut.

Trafiłem widocznie w dziesiątkę, bo przy pożegnaniu zostałem zaproszony na najbliższe przyjęcie piątkowe. Odtąd bywałem stale na tych podwieczorkach.

Poznawszy bliżej mojego przyszłego teścia, przekonałem się, że to człowiek sympatyczny i, mimo swojej aureoli, w gruncie rzeczy prosty. Toteż trudno mi było zrozumieć, jak może tolerować w domu ten kult własnej osoby stworzony przez swych najbliższych.

Cały dom nastawiony był na jego przyzwyczajenia, gusty, nastroje. Kucharka przyrządzała tylko jego ulubione potrawy, a gdy cierpiał na dość częste niedyspozycje żołądkowe, domownicy również przestrzegali diety głodowej. Bułeczki zamawiano w prywatnej piekarni, bo innych by do ust nie wziął, a kryniczankę sprowadzano w razie potrzeby bezpośrednio z Krynicy.

Organizację jego bytu pani profesorowa uważała za cel swego istnienia, doskonaliła się w tej domenie przez czterdzieści lat małżeństwa. Dziecko urodziła dopiero w siedemnastym roku po ślubie, bo wciąż obawiała się, że to może zakłócić spokój męża. Istotnie zakłóciło, więc Marta pozostała jedynaczką.

Zabawne, że profesor, szczerzy orędownik poszanowania cudzej wolności, w domu faktycznie uprawiał tyranie, przekonany głęboko, że czyni to pod naciskiem tyranizowanych. I przecież była w tym krzyna prawdy!

Marta, na przykład, najczęściej z zachwytem wykonywała obowiązki względem ojca, spełniała jego dziwaczne niekiedy

życzenia, nie czując się zniewolona czy pokrzywdzona.

Tatuz nie zyczy sobie, zeby obciela wlosy? To nie obetnie, choc wszystkie przyjaciolki nalegaja, zeby nie byla taka staroswiecka.

Tatuz nie lubi, zeby wracala do domu po jedenastej? Wiece odchodzi z prywatki, przerywa najczulszy pocaunek, byleby sie nie spoznic. Jestem pewny, ze na zadanie ojca dalaby mi kosza, gdybym nie posiadl w pore sztuki zapamietywania cytadow.

Matka jej, pani Renata, w mlodości byla piekna kobieta, ale to bylo bardzo dawno i nie pozostawilo dostrzegalnych sladow. Roztyla sie niepomiernie, a ze profesor nie cierpial gorsetow, chodzila z rozkolysanym biustem i brzuchem, ktorych nie mogle okielzac zwyczajny stanik i pas. Wstydzac sie tego, pochylala sie naprzod, wskutek czego jej plecy wydatnie sie zaokragnily.

Czas bezlitośnie przeoral jej twarz. Zeby zatuszowac zmarszczki, pokrywala je makijazem, na tym tle szczegolnie razaco wystepowaly ziemiste powieki i ciemny otwor czesto nie domknietych ust. Wygladala jak trupia czaszka z pustymi oczodołami, przez ktore prześwieca wiosenne niebo — bo tej wlasnie barwy miala oczy, zupełnie jak Marta. Na mnie sprawialo to makabryczne wrazenie.

Przypuszczam, ze pani Renata wygladala lepiej bez tych wszystkich srodkow, majacych ukryc jej starosc, ale takiej nigdy jej nie widzialem.

Rozmowa z panią profesorową zapędzala mnie w ślepy zaułek, aż do końca nie nauczyłem się logiki jej konstrukcji myślowych. W przeciwieństwie do swojego małżonka, zagorzałego demokraty, była patrycjuszką jeżeli nie z urodzenia, to z przekonania. Jej poczucie hierarchicznych podziałów społecznych oparło się wszystkim kataklizmom dziejowym. Awans społeczny mogła przebaczyć i zaakceptować jedynie w wypadku, jeżeli plebe- jusz robił zawrotną karierę.

Nietrudno więc zrozumieć, że moi rodzice byli dla niej pospółstwem, szarakami z tej niezliczonej masy, w której się

nie rozróżnia pojedynczych sztuk. Działacz ruchu spółdzielczego i skromna urzędniczka — jakże można było takich zauważyć i zapamiętać? Rodzina absolutnie przeciętna, poniżej dostrzegalnego poziomu.

Jednakże z tą przeciętną rodziną połączyła się ich córka, a więc chcąc nie chcąc należało przyjąć do wiadomości, że ci ludzie istnieją. Nie przyszło to pani Renacie z łatwością. Sytuację ratował jedynie fakt, że mnie uważała za zdolnego dorobkiewicza, który zrobi świetną karierę. Mimo woli spełniałem jej życzenia aż za dobrze.

Przeżyłem z Martą pięć lat. Byłem bardziej niż kiedykolwiek towarzyski, chętny do intensywnej pracy i do rozrywek, otwarty na przyjaźń ludzką, na intelektualne problemy, na artystyczne wzruszenia. I chyba wszystko udawało mi się lepiej niż zwykle. Mówili o nas: dobrana para. Było to chyba prawdą.

Pracowałem dużo, żeby dostarczyć Marcie więcej przyjemności, takich jak modne stroje, nowoczesne urządzenie mieszkania, wycieczki samochodem za miasto itd. Nigdy inicjatywa tych luksusów nie wychodziła od niej, niemniej bardzo się nimi cieszyła. A przecież o to mi właśnie chodziło.

Niebawem znaleźliśmy się na tym stopniu dobrobytu, który poniekąd automatycznie otwiera drogę do tak zwanej „śmietanki warszawskiej”, choć nie byłem żadną znakomitością wśród architektów, śmietanka zaś lubi znakomitości.

Wystarczyło pochodzenie i uroda mojej żony, zagraniczny samochód i wystawne kolacje u nas w domu, w Grandzie czy w SPATiFie — mieliśmy już sporo znajomych w świecie artystycznym, a więc i zapewniony wstęp do tego ekskluzywnego klubu.

Po pewnym czasie zauważyłem, że taka pozycja towarzyska sprzyja mojej karierze służbowej. Widocznie sam fakt, że znam mnóstwo dobrze ustawionych, wpływowych ludzi sugerował zwierzchnikom jakieś bliżej nie określone możliwości moich wpływów.

Siła rozpędu niosła mnie w górę, a zanim w pełni to

zrozumiałem, znalazłem się na stanowisku naczelnika działu inwestycji w dużym zjednoczeniu budowlanym. Moja teściowa nie bez powodu we mnie wierzyła.

W rok później zacząłem wyjeżdżać służbowo za granicę i przywozić stamtąd furę ślicznych prezentów dla Marty. Siła rozpędu nie słabła, przyznano mi rangę znawcy spraw naszego importu. Mogłem już zabierać ze sobą za granicę żonę. Przestaliśmy spędzać wakacje w kraju.

Kolejne etapy naszego prosperity następowały z prawidłowością zjawisk natury, tak jak raczkowanie niemowląt następuje po ząbkowaniu, a wymawianie pierwszych świadomych wyrazów — po dźwiękach nieartykułowanych. Dość szybko uznaliśmy rosnący zasób naszych osiągnięć życiowych za taką właśnie prawidłowość, doceniając w pełni jej dobrodziejstwa.

Pisałem wyżej o beztroskim okresie między maturą a politechniką, kiedy po zerwaniu z Jolką cieszyłem się bez żadnych obciążeń krótką przygodą z Majką. Teraz przeżywałem okres o wiele szczęśliwszy i pod względem materialnym także beztroski, z tą różnicą, że wypełniony moją pracą, bez której owa beztroska byłaby niemożliwa. O parnaście lat starszy, wiedziałem już, że konserwacja szczęścia wymaga bezustannego wysiłku.

Ojciec wbijał się w dumę śledząc postępy mojej kariery i składając je na karb synowskiej pracowitości i talentów. Miał o tyle rację, że lubiłem swoją pracę, swój zawód i zawsze pod koniec urlopu tęskniłem trochę do roboczego biurka, do placu budowy. Annę cieszyła moja wewnętrzna pogoda, którą tłumaczyła dobrą stabilizacją.

Przychodziłem do nich zazwyczaj sam, podobnie jak Marta odwiedzała rodziców beze mnie. Nie mówiło się o tym podziale, wszyscy przyjęli go jako rzecz zrozumiałą, która szybko nabrała mocy utartego zwyczaju. Kiedy byłem w biurze, Marta udawała się do swoich na Koszykową, a kiedy ona miała obowiązki towarzyskie, w których mogłem nie uczestniczyć, jechałem na Ochotę.

Tak upływały mi lata — spokojne, treściwe, urozmaicane na

tyle, że nie było w nich miejsca na znużenie lub przesyt.

Pomyślałem teraz w wagonie, że były aż zanadto spokojne: nie uwierzyłbym, że pełnia mojego życia może pewnego dnia skończyć się pustką. Zresztą, cóż by mi pomogło, gdybym nawet potrafił to przewidzieć? Czyż mógłbym zapobiec nieszczęściu?

Dziwna to rzecz: patrzeć w przeszłość podczas katastrofy, która lada chwila może zburzyć to, co było, i to co będzie — kładąc kres samemu istnieniu człowieka. Jakże inaczej widzi się znajome obrazy, ileż dostrzega się nie zauważonych szczegółów. Dziwna, dziwna to rzecz.

Naraz, jakby w błysku jasnowidzenia, wydało mi się że nigdy właściwie Marty nie znałem. Przeżyłem pięć lat z nieznaną osobą, o której jedno tylko mogłem powiedzieć z pewnością, że ją kocham. Czy była ze mną tak szczęśliwa, jak sądziłem? I czy ja byłem z nią naprawdę szczęśliwy?

Ta bluźniercza myśl uderzyła we mnie jak prąd, przywracając poczucie rzeczywistości.

Mogę umrzeć jutro, za miesiąc czy za rok, ale te pięć lat pozostaną moją własnością, póki nie stracę pamięci i życia. Marta była ze mną. Kochałem ją. Niczego więcej nie potrzebuję wiedzieć.

Pociąg nabierał szybkości, kołysał się lekko, stukając kołami rytmicznie. Deszcz wciąż jeszcze zasnuwał szybę, dziecko płakało słabo, jakby od niechcenia. Prosta, dobrze znana codzienność dawała mi znaki, że jest obok. Papieros smakował jak zwykle. A więc na czym stało?...

Zwiedziliśmy z Martą niemal wszystkie kraje demokracji ludowej, stolicę Związku Radzieckiego i jego wspaniałe wybrzeża nad Morzem Czarnym. Marta, opromieniona powszechnym podziwem, wypiękniała jeszcze jak kwiat nabierający pełnej barwy w słońcu. Ukoronowaniem jej glorii stał się nasz pobyt we Francji, jesienią roku 1965.

Znałem, jak wszyscy, Paryż z literatury, malarstwa, filmu, piosenki. Oczekiwałem z niecierpliwością konfrontacji swoich wyobrażeń z rzeczywistością. Jaki się okaże ten od wieków sławiony Paryż? lepszy? gorszy?

Okazał się po prostu inny. To, co wiedziałem o nim z relacji reporterskich i artystycznych, dawało pojęcie o materialnych składnikach miasta, co było przydatne. Jednocześnie zaś ta nabyta z drugiej i trzeciej ręki wiedza przeszkadzała w spontanicznym odbiorze wrażeń.

Starałem się wyrzucić z pamięci wszelkie cudze impresje, patrzeć na Paryż własnymi oczami, zdać się na własną wrażliwość. Wałęsałem się po mieście, nie zaglądając do przewodnika, na chybił trafił, delektując się Przygodą, którą był widok ulicy za każdym zakrętem.

Niekiedy, zwabiony zarysem dzwonnicy na wieczornym niebie, wchodziłem do jakiegoś kościółka, oglądałem kruchtę, nawę, sklepienia, starając się nie płoszyć spokojnych, obytych zresztą z krzątaniem turystów. W katedrze Notre Dame spędzałem całe godziny czując, jak kruszeje mój ateizm.

W bogatych dzielnicach syciłem oko perspektywą, wolną przestrzenią, pięknem zieleńców. Bo to właśnie stanowi główny luksus owych terenów, okazałe zaś gmachy i luksusowe wystawy są tylko obramowaniem.

Inaczej lubiłem dzielnice niepozorne, o wąskich wykrzywionych uliczkach, gdzie hałaśliwy tłum toczy się rozhuśtaną falą, a wszyscy, zda się, znają wszystkich, jak na prowincji.

Nie próbuję opisywać Paryża, czyniły to najślawniejsze pióra. Wystarczy mi świadomość, że widziałem i zapamiętałem go takim, jakim go odkryłem dla siebie.

Za pośrednictwem warszawskiej mafii towarzyskiej, której powiązania sięgały aż tutaj, trafiliśmy do artystycznej elity, przemieszanej tu z finansjerą międzynarodową.

Trzeba było mieć mocną głowę, żeby nie stracić przytomności umysłu: naokoło same sławy, gwiazdy, piękności, miliony! Świat egzotyczny, świat zachodnich filmów i magazynów ilustrowanych stał się nagle bliski i żywy, byliśmy jego częścią, a świat naszej Warszawy zatracił z każdym dniem swoją realność, stawał się daleki i nieprawdziwy.

Miasto światła, elegancji, miłości i sztuki roztopczyło przed Martą wszystkie uroki, wprawiając ją w nieustające

oszołomienie.

Ale i ona nie została niezauważona. Poza urodą, miała dar błyskawicznego przyswajania sobie nowego stylu bycia – ubierania się, obcowania, dowcipu, tak zwanego *esprit*. Znała język francuski od dziecka, a jej niekłamany *charme slave*, ogromnie we Francji ceniony, uczynił z niej niemal gwiazdę sezonu.

Marta kochała paryskie sklepy, teatry, kina, przyjęcia. Nie zawsze mogłem jej towarzyszyć – i tu traktowałem na serio swoje obowiązki zawodowe, więc byłem bardzo zajęty. Czas, który mogłem dla niej wykroić, spędzałem najchętniej w galeriach obrazów i w muzeach, z mniejszą ochotą na prywatnych i oficjalnych przyjęciach. .

Wolałaby pewnie, żeby było na odwrót, bo już zdążyła wygospodarować ze skąpej ilości moich dewiz wcale pokaźną sumę na stroje. Przecież nie po. to je kupowała, żeby wisiały w szafie! A okazji, żeby nabytkiem się pochwalić, nie brakowało.

Pewnego razu zdarzyło się między nami zabawne *qui pro quo*. Wychodząc tego ranka do pracy, ucałowałem drzemiącą jeszcze w łóżku Martę i zaproponowałem:

– Dziś będę miał wolny czas od jedenastej do drugiej, możemy pójść do Luwru, a potem zjeść razem obiad. Chcesz?

- Aha – mruknęła.

- To spotkamy się o jedenastej przed wejściem do Luwru. Nie zapomnij!

- Aha!

O jedenastej byłem przed muzeum. Pierwsze pół godziny czekałem spokojnie, bo Marta nie zawsze była

punktualna. Potem zacząłem się denerwować, a po godzinie już szalałem z niepokoju: może jej się coś stało?

Ruch samochodowy w Paryżu jest zawrotny, przytrafić się mogło Bóg wie co, usłużna wyobraźnia roztaczała przede mną koszarne obrazy. Co kwadrans dzwoniłem do naszego hotelu z automatu, ale Marty tam nie było.

O drugiej jeszcze z desperackim uporem chodziłem przed pałacem, choć w głębi duszy już nie wątpiłem, że stało się nieszczęście. Pojechałem jednak do biura i stamtąd

wydzwaniałem numer naszego pokoju.

O trzeciej usłyszałem wreszcie głos Marty.

— Odnalazłeś się? — powiedziała z pretensją. — Bogu dzięki. Straciłam pół godziny, czekając na ciebie.

— Czekałaś na mnie? Gdzie?

- Jak to gdzie? Tam, gdzieśmy się umówili: przed Luwrem.

— Marta, żartujesz chyba! Przecież ja byłem tam od jedenastej do drugiej! Trzy pełne godziny!

— Nie wiem, kto z nas żartuje. Ja w każdym razie byłam w Luwrze, kupiłam rękawiczki do szarego kostiumu i parasolkę. Śliczna, zobaczysz!

- To znaczy... czy poszłaś do domu towarowego Luwr?

- A gdzie miałam pójść? Sam powiedziałeś: spotkamy się przed Luwrem.

Nie powstrzymałem się od cierpkiej uwagi:

- Myślałem, że ty, historyk sztuki, pamiętasz o paryskim muzeum, które przypadkiem też nazywa się Luwr.

Trochę się spieszyła, ale nie zanadto, zbyt dużo miała pilnych zajęć i obowiązków.

Niebawem okazało się, że mnóstwo atrakcyjnych ludzi Paryża pragnie naszego towarzystwa, a ponieważ ja jestem ustawicznie zajęty, kontentuje się towarzystwem mojej żony. Nie miałem nic przeciw temu, szkoda byłoby pozbawiać jej przyjemności, jakich nie będzie już miała w Warszawie.

Po dwóch tygodniach takiego życia jej zaangażowanie towarzyskie wzrosło tak bardzo, że nawet kiedy byłem wolny, nie zawsze miała dla mnie czas.

Widywaliśmy się przy śniadaniu, z rzadka na jakiejś imprezie i w nocy. W niedzielę składaliśmy razem wizyty, oglądaliśmy jakiś głośny film, czasem namawiałem ją na spacer w Ogrodzie Luksemburskim lub w Tuilériach. Poniedziałek znów rozdzielał nas prawie zupełnie.

Rezultat był nieoczekiwany jedynie dla mnie.

Pewnego wieczoru, kiedy wkładałem frak, żeby jechać z Martą na premierę do Opery, podeszła do mnie w domowej sukience i powiedziała cichutko:

- Muszę z tobą pomówić.

Zauważyłem, że ma czerwone oczy i spuchnięty nos. Zatrwożyłem się: Marta nieczęsto płakała.

— Co się stało? — spytałem.

- Usiądźmy — powiedziała i pierwsza usiadła na otomanie.

Przeszył mnie ostry ból przecucia. W pełni doceniałem dosłowność tej metafory.

Stałem przed nią z nie dopiętym gorsem i białą muszką w rękę. Patrzyłem na jej zapłakaną twarz z takim uczuciem, jak gdybym nie miał jej więcej oglądać. Czekała na moje pytania, nie podnosząc oczu. Wreszcie powiedziała bezbarwnym głosem:

— Andrzej, musimy się rozstać.

Milczałem.

- Nie mogę postąpić inaczej. Ty to zrozumiesz.

Milczałem, zawiesiwszy muszkę na palcu.

Wybuchnęła płaczem i wykrztusiła z siebie między jednym łkaniem a drugim:

- Wychodzę za mąż. Za Dumarcka.

Był to wchodzący w modę producent filmowy.

Usiadłem obok i wziąłem ją za rękę.

- Kochasz go?

Kiwnęła głową i załkała jeszcze rozpaczliwiej.

Jak wiele może przeżyć i przemyśleć człowiek w ciągu paru minut!

Zobaczyłem całe swoje życie dawne i terażniejsze, leżało w gruzach, jak po trzęsieniu ziemi. Wydało mi się, że nic nie ocaleje. W tamtej chwili pragnąłem tylko jednego: wytrzymać aż do chwili, kiedy zostanę sam i będę mógł rzucić wszystko w diabły.

- Marta, przecież wiesz, że możesz być wolna. Kiedy chcesz dostać rozwód?

Po raz pierwszy spojrzała mi w twarz i łzy zaczęły jej powoli wysychać.

— Jak najprędzej. Marcel mówi, że w polskiej ambasadzie można załatwić wszystkie formalności.

Bardzo śpieszyło się Marcelowi. Jej widać też.

- Dobrze. Dziś jeszcze przeniosę się stąd do innego hotelu.

- Jaki ty jesteś... jaki ty... — zachłysnęła się spazmem. — Jaki jesteś... nadzwyczajny!

I zarzuciła mi ręce na szyję.

Trzymałem ją w objęciach, przytulałem do siebie mocno, z całą świadomością, że to już się nigdy nie powtórzy.

Jeszcze trzy tygodnie musiałem czekać na powrót do kraju.

Zmieniwszy hotel zostałem sam i wtedy dopiero zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, co zaszło.

Odejście Marty przestało być abstrakcją, musiałem wciąż na nowo przyzwyczajać się do tego — co rano, co wieczór, co godzinę. Nie było jej przy mnie i już nie będzie. Nie mam po co informować jej o moich sprawach, ani też wiedzieć, co i kiedy zamierza robić. Będziemy istnieć oddzielnie.

To jeszcze nie chciało mi się pomieścić w głowie.

Czułem się jak człowiek, któremu nagle amputowano nogę czy rękę. Kiedy mija oszołomienie narkozy, ból i świadomość kalectwa spadają na niego z całą brutalnością. Najokrutniej boli pustka po tym, co odcięto — ból absurdalny, a mimo swej absurdalności najbardziej rzeczywisty.

Czy mój ojciec przeżył to, kiedy amputowano mu stopę? Nigdyśmy o tym nie rozmawiali.

Umysł mój wiedział, że Marta odeszła ode mnie, ale cała moja czująca istota buntowała się przeciw tej prawdzie. Czy ona potrafi przeskoczyć z jednego wcielenia w drugie i nawet się nie obejrzyć wstecz? Czy ta nasza jedna rozmowa mogła unieważnić fakt, że przez pięć lat byliśmy całością?

Nie mogłem uwierzyć, że nasz wspólny dom przestał istnieć; nasze wspólne życie, nasze wspólne sprawy, znajomości, przyjaźnie, troski, sentymenty, zmartwienia, roz.- rywki — czy ja wiem co jeszcze? Że samo pojęcie „my”, „nasze” już nie ma sensu, że „moje” będzie teraz oznaczać tylko moje, a to, co Marty... a sama Marta...

Musiałem sobie powtarzać w kółko: Marta należy do innego.

Nie wymawiałem jego imienia, mierzilo mnie. Nieraz przedtem spotykałem go w towarzystwie, gdzie bywała moja żona, lecz teraz z trudem przypominałem sobie jego

rysy — Bogu dzięki! W chwilach wymyślnych katuszy, jakie zadawała mi zazdrość, widziałem go z białą plamą w miejscu twarzy, tak było odrobinę znośniej.

Nienawidziłem go za to, że zniszczył wszystko, co stanowiło naszą — moją i Marty — własność. Och, jak nienawidziłem! Delektowałem się wprost tą nienawiścią, marzyłem o zemście, snułem ponure wizje jego męczarni. Wstyd teraz wspominać.

Najgorsze, że chwilami nienawidziłem i Marty. Przecież ten Dumarck nie porwał jej siłą, sama chciała odejść do niego! Jeżeli mogła z taką łatwością w ciągu paru dni zburzyć to, co było naszym życiem, to znaczy, że cały czas łączyła nas -więź pozorna, fikcyjna, nie lepsza od innych konwencji i zakłamań!

Nie kochała mnie. Jasne, że nie kochała! Podła, podła, podła... Niechże jej będzie z nim źle, bardzo źle, niech pożałuje, że mnie rzuciła, niech się wykończy zgryzotą i żalem!

Tak bluzgałem na Martę, rozjuszony do utraty przytomności. A potem opadały mnie wyrzuty sumienia, prze-rażałem się, że ściągnę na nią nieszczęście. Już byłem gotów sam usuwać z jej drogi przeszkody, byleby była szczęśliwa.

Te wzniosłe porywy też nie trwały długo, przychodziło po nich wyczerpanie i zniechęcenie do wszystkiego, w pierwszym rzędzie do siebie. Żyłem na ustawicznej huśtawce, która wykańczała mnie nerwowo i fizycznie.

Musiałem kilka razy zadzwonić do niej w sprawach rozvodu. Jeżeli telefon odbierał Dumarck, odkładałem słuchawkę — byłoby ponad moje siły wymienić z nim choćby parę słów. Marta powiedziała, że on jest raną zachwycony (!), że pragnąłby ze mną pomówić, osobiście podziękować za moją szlachetną, rycerską postawę i tak dalej...

Czy kobiety doprawdy są takie głupie, nie rozumieją najprostszyc rzeczy? Albo nie mają wycucia i wyobraźni? Ja bym miał wysłuchiwać jego idiotycznych podziękowań! Mój ty Boże Jedyny, skoczyłbym mu chyba do gardła.

Pewnego razu zatelefonowałem i dowiedziałem się, że Marta ma atak wątroby. Zdjął mnie paniczny strach, że rozchoruje się nie mając tu należytej opieki, chciałem

natychmiast lecieć do jej hotelu. W domu, kiedy dostawała tych bólów, od razu w^Tzywałem lekarza, w naszej apteczce zawsze leżał zapas potrzebnych jej leków. Czy zabrała je ze sobą do Paryża?

Ileż to razy za radą lekarzy namawiałem ją, żeby zdecydowała się na operację woreczka żółciowego. Nie chciała, bała się jak tchórzliwa dziewczynka. A przecież lepiej byłoby zrobić to w Warszawie, miałyby teraz spokój, zawsze to kłopot — leczyc się w obcym mieście...

I nagle przypomniałem sobie: Paryż nie jest już dla niej obcym miastem, tu upłynie jej dalsze życie, tu będzie chorować, leczyc się, powracać do zdrowia — tu, beze mnie.

Oprzytomniałem, nie pobiegłem do jej hotelu.

Pierwsze trzy tygodnie (dokładniej: dwadzieścia trzy dni) były najtrudniejsze do przebycia.

W pełni odczułem sens takich banalnych zwrotów, jak „czas się zatrzymał”, „pogrążam się w rozpacz”, „konam z miłości”. Tyle razy czytałem to, słyszałem, mówiłem — a nie wiedziałem, co to oznacza naprawdę.

Konałem z miłości niemal dosłownie. Nie odczuwałem głodu, z trudem zmuszałem się do przełknięcia czegokolwiek, po nocach nie spałem, godzinna drzemka nad ranem pozwalała mi odzyskać siły, by rozpocząć nowy dzień. Instykt samozachowawczy nie odzywał się prawie, w każdym razie nie słuchałem jego sygnałów.

Poznałem wtedy Paryż ludzi nieszczęśliwych.

Wyczuwałem ich w tłumie, byłem jednym z nich. Nie tworzyliśmy wspólnoty, każdy cierpiał na własny rachunek i pozostawał samotny, nie mogąc podzielić się swoim ciężarem.

Nigdzie chyba człowiek nieszczęśliwy nie czuje się takim wyrzutkiem, jak w tym mieście światła, elegancji, miłości i sztuki, gdzie pełno jest istot rozradowanych, jak w krainie wiecznej szczęśliwości — tak w 'każdym razie odczuwa to cudzoziemiec.

Uratowało mnie poczucie obowiązku zawodowego, a także konwenanse, które w nieszczęściu są jednak zbawienne. Zamiast zaszyć się w hotelu i gnić w samotności, musiałem co

rano wstawać, myć się, golić, pić kawę i jechać do pracy. Musiałem udawać przed kolegami, że nic się nie stało.

Szedłem z nimi na obiad, słuchałem paplaniny o wydarzeniach politycznych, o sensacjach dnia, o zmianach personalnych w centrali, dorzucałem swoje trzy grosze. Włączony w ich codzienność, sam po trosze wierzyłem, że nie jestem rozbitkiem.

Urządowanie się kończyło, a ja zostawałem jeszcze w gabinecie i harowałem, póki nie przepędzała mnie nocna sprzątaczką. Był to najgorszy moment.

Czarna ulica zdejmuje hamulec z cierpienia, ból wychodzi z ukrycia. Człowiek jest bezbronny, zdany na łaskę przywidzeń i żalów, własna imaginacja jest mu katem, znikąd pomocy.

Na czarnych ulicach nie byłem sam. Wmieszany w tłum pijaków, prostytutek, turystów, clochardów, nieomylnie poznawałem tych bliskich mi — trafionych nieszczęściem.

Jeżeli mężczyzna niewprawnym ruchem przytykał do ust butelkę i brnął dalej na oślep bezwolny, jak wypatroszona lalka, wiedziałem: to nie nałogowy alkoholik. Jeżeli prostytutka gubiła nagle zaczepny uśmiech, oczy jej wbijały się w ciemność, a ciało kuliło bezwładnie, wiedziałem: przyszła na nią godzina rozpaczy.

Nieraz widziałem, jak ludzie przystają na moście, pochylają się nad poręczą niby szukając oczami zguby, jak odchodzą i krążą w pobliżu, potem wracają i znów patrzą w Sekwanę niczym w magiczny kryształ, który może obdarzyć ich zapomnieniem.

Brzmiał mi w uchu wiersz Pawlikowskiej:

Rudą nocą, pod mostem, w Sekwanie,

Płynie kotka, przemokła i sina,

Pod następnym mostem, niespodzianie,

Przyłącza się do niej dziewczyna.

Opryskują je lampy naftowe,

Owijają je posępne fale,

A one prowadzą rozmowę,

Nie oddychając już wcale...

Nie było lamp naftowych, noce nie świeciły się rudo, lecz

różnobarwnie, neonowo. A Sekwana wabiła nadal.

Nie wszyscy skaczą do wody, ja też ocalałem.

W październiku wróciłem do Warszawy jako mężczyzna wolny.

... Kelner wstąpił po naczynia, a zainkasowawszy napitek, powiedział poufnym tonem, lak jakby powierzał mi tajemnicę służbową:

- Mamy znów opóźnienie. Tak to chodzą teraz nasze pociągi! Dałby Bóg dowlec się o północy.

- Niech to wszyscy diabli! — wykrzyknąłem znienacka.

Speszony moim wybuchem, wyniósł się bez dalszych komentarzy. Może w duchu narzucał sobie zbyteczną rozmowność.

Poczułem ćmiący ból w plecach, wędrujący wzdłuż kręgosłupa między karkiem a pasem, ten sam, który długo dręczył mnie po odejściu Marty, zwłaszcza w nocy. To osobliwe cierpienie, nie tyle ból, co podrażnienie naskórka na niedużej powierzchni, nasilające się czasem do takiej ostrości, że gotów jestem wyskoczyć z czwartego piętra.

W Warszawie życie moje potoczyło się na pozór normalnie. Nie ratowałem się alkoholem, bo nie pomaga. Skuteczniejsza była harówka robocza, środek wypróbowany. Jak na ironię, dostałem odznaczenie i wzniosłem się o szczebel wyżej w karierze. Komu to było teraz potrzebne?

Przestałem prawie zupełnie odwiedzać rodziców, tłumacząc się nawałem pracy. Rozmawialiśmy telefonicznie, ojciec dzwonił częściej niż Anna. Ona zgadywała wszystko, dlatego jej unikałem. Z nikim nie mógłbym mówić o tym, jeszcze za bardzo bolało.

Teraz zaboląo na nowo. Zacisnąłem szczęki jak w dzieciństwie, kiedy podczas bezsenności czyhały na mnie w kątach pokoju przerażające widziadła. Zacząłem liczyć w myśli od jednego wzyż. Przy którejś setce pomyliłem się i oprzytomniałem.

Dziecinne wykręty! Przecież nie obronię się przed obrazami przeszłości, a zresztą wszystkie razem nie byłyby groźniejsze od tego wczorajszego nad Żlebem.

Pozwoliłem moim myślom toczyć się w dowolnym kierunku.

Moje kawalerskie życie było takie, jakie powinno być. Powróciłem do przedmażeńskich zwyczajów: jednodniowe, kilkudniowe lub kilkutygodniowe przygody, likwidowane łagodnie, bez krzywdy dla obu stron. Nie żywiłem do partnerek głębszego przywiązania i dbałem, żeby i w nich czegoś podobnego nie wzbudzić. Wspominały mnie pewnie bez żalu.

Strzegłem się przed jakimś dłuższym związkiem, nękanie bezsensownym uczuciem, że to byłoby zdradą. Kogo? Czego? Oczywiście nie Marty, tylko jej obrazu w mojej pamięci, chociaż wyobraźnia najczęściej podsuwała mi ją w objęciach producenta filmowego.

Hamowało mnie inne jeszcze uczucie, również bezsensowne i śmieszne: nadzieja, że kiedyś w przyszłości, może po jakichś rozczarowaniach, Marta zechce do mnie powrócić. Jeżeli taka szansa istniała, musiałem być wolny.

Nadzieję tę podsycali wieści z Paryża. Znajomi spotykali tam Martę: zawsze szczegółowo rozpytywała o mnie — czy jestem zdrowy, jak mi się powodzi, czy się nie ożeniłem. Musi wiedzieć, że czekam.

Nie wiem, co znaczą słowa „wielka miłość”. Nie wiem, czy moja była wielka. Była nieuleczalna, jak choroba, która nie zawsze daje się we znaki, ale którą człowiek nosi w sobie aż do końca.

Siłą inercji awansowałem nadal w karierze służbowej, chociaż bez Marty moje wysokie kontakty towarzyskie częściowo kurczyły się, usychały.

Również siłą inercji „trzymałem fason”, dobrze się ubierałem, dbałem o samochód i sporo pieniędzy zostawiałem w drogich lokalach. Nikt by się nie domyślił, jak mnie to wszystko niehumanie nudziło.

W maju 1967 roku wysłano mnie do Paryża na międzynarodowe spotkanie urbanistów. Opierałem się, dopóki nie sprawdziłem, że państwo Dumarck zwiedzają Hiszpanię.

Przeglądałem regularnie francuskie gazety i tygodniki,

parę razy widziałem Martę na zdjęciach różnych wielkoświatowych festynów. Z „Paris Match” dowiedziałem się, że ostatni film Marcela miał niezłą prasę i że teraz wzięty producent postanowił sięgnąć po laury reżysera filmowego.

Zapowiadano nie bez rezerwy jego debiut — fantastyczny obraz kostiumowy z czasów inkwizycji hiszpańskiej, obsadzony znanymi nazwiskami, w tym Marina Vlady. Odniosłem wrażenie, że Dumarck szuka tematów sensacyjnych, kasowych.

Tak więc znów się znalazłem we Francji.

Paryż tym razem pokazał mi swoje inne oblicze. Unikałem bogatych dzielnic, luksusowych hoteli — przypominałyby mi poprzedni pobyt, wspólny z Martą. Wprost z dworca pojechałem taksówką do Dzielnicy Łacińskiej, wysiadłem na ciasnej, krętej uliczce, gdzie na niewielkiej powierzchni murów aż ciasno było od szyldów hotelowych.

Były to bardzo stare i brzydkie domy o wydłużonych, wąskich fasadach z odrapanym tynkiem. Nie dziw, że tutejsi hotelarze nie obawiali się wzajemnej konkurencji — wszystkie ich posiadłości mieściły chyba mniej lokatorów, niż Crillon na Place de la Concorde.

Naokoło pełno było młodzieży w kolorowych bluzeczkach, koszulkach, sweterkach, wdziankach, które aż raziły oczy swoją papuzią barwnością. Wzdłuż chodników tłoczyły się sfatygowane auta i motory, jezdnie były pełne ludzi, chłopcy sklepowi z rowerami-wózkami krzyczeli na przechodniów, żeby zeszli z drogi.

Zamieszkałem w najbrzydszym chyba czteropiętrowym domu z dwuokienną fasadą, upstrzoną szczerbami i śladami po obitym tynku. Osobliwością hoteliku było to, że wchodziło się przez restaurację na parterze.

Ciemne schody prowadziły do pokoiów położonych na piętrach. Mój był na pierwszym — jedyny luksus, na który sobie pozwoliłem. Był podłużny i mroczny, okno wychodziło na podwórze zagrodzone ze wszystkich stron murami sąsiednich gmachów.

Byłem przygotowany na brak wygód, toteż sprawiło mi miłą niespodziankę światło elektryczne i wodociąg, nie było natomiast ciepłej wody ani telefonu. Z tym pogodziłem się łatwo, zwłaszcza że telefonować można było z restauracji, nabywszy żetony na połączenie. Dokąd zresztą mógłbym telefonować? Chyba do przedstawiciela naszego zjednoczenia albo do biura informacji.

Przyzwyczałem się szybko do nowej dzielnicy i do mojego pokoju, nie zważałem na kiepską izolację ścian i ustawiczne hałasy na podwórku. Anemiczna pokojówka była małomówna, co sobie bardzo ceniłem. Właścicielka, pięćdziesięcioletnia trzpiotka, była za to aż nadto towarzyska i wtajemniczała mnie we wszystkie etapy swojego życia.

W ten sposób dowiedziałem się, że małżonek madame Perrut przed ożenkiem miał restauracyjkę koło Place Pigalle, którą musiał sprzedać. Bardzo tęsknił za swoim ulubionym zakładem, więc kiedy wygasł kontrakt z cukiernikiem odnajmującym u właścicielki parter, przekazała lokal mężowi i odtąd każde miało swoje zajęcie i swoje obowiązki — ona prowadziła hotel, on restaurację.

Jadałem tam niekiedy obiady i kolacje. Była to właściwie obskurna knajpa: na stołach plastikowe serwety, dwudaniowe menu za trzy franki, dla zamożniejszych dania z karty. Kuchnia była zaledwie znośna, do stołu podawała ta sama anemiczna pokojówka, której, wbrew pozorom, starczało sił na wszystkie te czynności.

Klientelę stanowiła głównie studenteria (do Sorbony niecałe pięć minut drogi!), a także przygodne parki szukające schronienia na kilka godzin, drobni urzędnicy, niekiedy clochardzi. Ciekawe, że nigdy nie spotkałem tam hippisów, którzy włóczyli się w tej dzielnicy, jak i po całym mieście. Widocznie nie odpowiadała im kuchnia, a może pomieszczenie.

Monsieur Perrut, mały człowieczek z ogromną i bardzo dostojną głową starego doga, przyglądał się gościom zza lady barowej, szacował ich kieszeń i obliczał, komu można dać na kredyt. Głowił się też zapewne, co mnie tu spro-

wadziło. Gatunek mojego ubrania, a także wyraźne przyzwyczajenie do lepszej kuchni prawdopodobnie nasunęły mi domysł, że jestem aferzystą wysokiego lotu, ale w złej passie.

Pewnego razu sam mnie obsłużył, a podając zamiast zamówionego homara krewetki, cicho wyjaśnił:

- Pan nie zjadłby homara, nieświeży.

Innym razem, nalewając mi wina, zapytał z mrugnięciem:

- No jak: uda się panu wykręcić?

- Nie wiem - odpowiedziałem zupełnie szczerze. — Postaram się.

- Trzeba spróbować. Niejeden w ostatniej chwili od stryczka uciekł.

Wzruszyła mnie ta miła łotrzykowska solidarność.

Kiedy byłem jedynym gościem na sali, Perrut ucinał sobie drzemką. Nieruchomiał nad ladą, tylko powieki mu drgały i dolna warga wydymała się przy każdym wydechu. Jeszcze bardziej upodabniał się do mądrego psa, który przeżył już tyle, że nic nie jest w stanie go zadziwić. Lubilem go wtedy.

Dyskusja wśród urbanistów rozkręcała się opornie, uczestnicy poprzestawali na wzajemnych grzecznościach. Miałem sporo wolnego czasu, poszedłem do Muzeum Człowieka. Napatrzyłem się na szkielety bliższych i dalszych naszych przodków, było to widowisko ponure. Może pod wpływem oglądanych eksponatów źle spałem tej nocy.

Para w sąsiednim pokoju nie zachowywała dyskrecji, raz po raz otwierano tam kran, wtedy w zepsutych rurach wodociągowych rozlegał się bulgot i ryki. Jakby tylko czekając na ten sygnał, zaczynały nacierać na mnie kościotrupy szerniałych pitekanthropów, klaskając cofniętymi szczękami i wydobywając z pustych klatek piersiowych groźne pomruki. Czulem się absolutnie bezbronny.

Nazajutrz bolała mnie głowa, nie pojechałem na konferencję. Jak co dzień, podano mi do pokoju kawę ze świeżą bułeczką, ale jej nie tknąłem. Anemiczne stworzenie powiadomiło o tym pracodawców.

W pewnej chwili, otworzywszy oczy, zobaczyłem tuż nad

sobą bardzo dużą i bardzo dostojną głowę starego doga, który przemówił głosem pana Perrut:

- Ma pan gorączkę.

Nie odezwałem się, więc dotknął dłonią mojego czoła i orzekł zwięźle:

- Grypa.

Poprosiłem, żeby powiadomił o mojej chorobie kolegów. Kiedy podałem mu numer telefonu i nazwę instytucji, nie mógł ukryć zaskoczenia. Mimo wysokiej gorączki doceniłem komizm sytuacji.

- A ja myślałem... — zaczął w tonie przeprosiny.

- Dobrze pan myślał — przerwałem mu. — Nie jestem aferzystą z zawodu, ale wielkim hochsztaplerem w życiu prywatnym: udaję kogoś, kim nie jestem. Sam zacząłem już wierzyć, że chce mi się robić karierę.

Pewnie nie zrozumiał, ja zresztą też nie bardzo wiedziałem, co chcę powiedzieć.

Polska ambasada przysłała do mnie lekarza, który stwierdził gripę azjatycką. Poprosiłem państwa Perrut o spakowanie moich rzeczy, po czym odjechałem karetką pogotowia. -Należność, wypłacona za tydzień naprzód, oraz suty napiwek dla pokojówki złagodził ból naszego rozstania. Madame, zdaje się, ocierała łzy chustką.

Umieszczono mnie w prywatnej klinice profesora Charpentona. Koszta wzięło na siebie, w ramach służbowej troski o człowieka, nasze zjednoczenie. Byłem już dostatecznie wysoko szacowaną jednostką fachową.

Mimo końskich dawek antybiotyków, grypa przeszła w obustronne zapalenie płuc. Przez dwa tygodnie walczyłem ze śmiercią i nic o tym nie wiedziałem, wciąż nieprzytomny.

W trzecim tygodniu nastąpiło przesilenie, gorączka spadła, zaczęła się powolna poprawa. Byłem tak osłabiony, że robiono mi kroplówki i karmiono z łyżeczki, wbrew mojej woli, ponieważ wcale nie miałem apetytu. Stale zapadałem w sen, niczym w omdlenie.

Jak na umarlaka szybko powracałem do zdrowia. Z wdzięcznością wspominam tę rekonwalescencję.

Przebyty kryzys odnowił, zdaje się, nie tylko moją strukturę fizyczną. Uprzytomniając sobie, że mógłbym być leżeć już na którymś z paryskich cmentarzy, nie myślałem z gorzką obojętnością: „Tym lepiej!” Cieszyłem się.

Świat, podarowany mi po raz drugi, na nowo kusił urodą. Zachwycaly rzeczy najprostsze: pierwsze nawoływania się ptaków o świcie, ciepło słonecznych promieni na twarzy, szum gałęzi za oknem, żabi rechot gdzieś w oddali. Budząc się w nocy, podziwiałem białe cieniutki księżyc wśród ciżby gwiazdnej. Wszystko wydawało mi się młode, ładne i miłe.

Klinika mieściła się na krańcach Paryża w przestronnej piętrowej willi z ogródkiem. Żywopłot odgradzał ją od mało uczęszczanej ulicy, w powietrzu nie czuło się spalin samochodowych ani kurzu.

Chorych było około dwudziestu, personel zaś zdumiewająco nieliczny: właściciel, profesor Charpenton, jego asystentka, pełniąca także funkcje siostry i sekretarki, oraz salowa, która zajmowała się również kuchnią pospołu z dochodzącą gosposią. Stróż był jednocześnie ogrodnikiem, palaczem, zaopatrzeniowcem i majstrem w każdej potrzebie.

Mieszkałem w pokoiku na piętrze. Nie było w nim nic z izolatki szpitalnej: ani białych ścian i sprzętów, ani linoleum na podłodze. Meble były ciemne, wypolerowane przez czas, drzwi i posadzka dębowe, ściany wyta- petowane jasnym kretonem w bukieciki ze wstążką. W rogu stała fajansowa miska i pękaty dzban z wodą. Było to wnętrze przytulne, rodzinne, niemal wierzyłem, że mieszkam tu od dzieciństwa.

Z rana odwiedzała mnie asystentka, a po południu profesor. Miał chyba siedemdziesiątkę, był wysoki, suchej budowy, wykwinny — pociągła twarz, gładkie uczesanie gęstych, nie całkiem siwych włosów, szkła w złotej oprawie, uśmiech miły, przekonująco życzliwy.

Ubierał się zgodnie z modą, oczywiście bez ekstrawagancji, jednakże nowoczesność stroju nie umniejszała jego staroświeckiego wdzięku, polegającego na sposobie bycia raczej niż na zewnętrznych oznakach.

O takich lekarzach opowiadali mi ludzie starszego po-

kolenia, sam nie miałem okazji się z nimi zetknąć, ponieważ prawie nigdy nie chorowałem. Profesor w pewnym sensie należał do rasy ginącej, do typu doktora ubiegłowiecznego.

Każdy pacjent był dlań ciekawym żywym organizmem, a nie „wypadkiem klinicznym”. Stawiał diagnozę przede wszystkim na podstawie olbrzymiego doświadczenia, wyczucia i tylko sobie wiadomych sygnałów, rejestrowanych przez jego niezwykle wyostrozony „szósty zmysł”. Technika pomocnicza, jak rentgen, kardiogramy, wszelkiego rodzaju analizy itp., służyła mu do potwierdzenia tego, co mówiło jego własne oko, ucho, dotyk, cała jego intuicja i dar obserwacyjny.

Przed wyjazdem, kiedy jaż robiłem dłuższe spacerunki za ogrodzeniem, pewnego popołudnia spotkałem profesora na ulicy, przeszliśmy razem spory kawałek. Rozmowa nabrała bardziej prywatnej tonacji.

- Cieszę się, że miałem okazję poznać pana, profesorze — powiedziałem, żegnając go.

- Ja też się cieszę, zwłaszcza z tego, że pan odzyskał zdrowie. Były chwile, kiedy niezupełnie w to wierzyłem.

- Wiem. Pan przywrócił mi coś więcej niż zdrowie, bo chęć do życia.

Rzucił przelotne spojrzenie i wydało mi się naraz, że wie o mnie więcej, niż sądzę.

- Niech pan pomyśli: ja, człowiek tak stary, nie straciłem jeszcze chęci do życia. Lubię to wszystko — zatoczył krąg ręką — i chciałbym opuścić jak najpóźniej. Na nieistnienie zawsze mamy czas.

Właśnie tak to odczuwałem, odkąd zaczęło mi przybywać sił.

Po wyzdrowieniu od razu wyjechałem do Polski. Za zaoszczędzone dewizy kupiłem dla rodziców prezenty — adapter Philippsa, dobre płyty, perfumy itd. Dla siebie - nie kupiłem nawet zapasu gauloise'ów, chciałem prędzej zatrzeć w pamięci ten mój samotny pobyt w Paryżu. Jedyną pamiątką, jaką wywiozłem, była widokówka z dzielnicy, w której mieściła się klinika profesora Charpentona.

W Warszawie czekały na mnie ważne zmiany. W zjed-

noczeniu wakowało dużo stanowisk, szukano ludzi z inicjatywą, a choć do takich nie należałem, zarząd uznał za niezrozumiałych dla mnie powodów, że właśnie ja nadaję się najlepiej na członka zarządu. Moich sprzeciwów nie wzięto pod uwagę i musiałem zamienić pracę żywą, związaną z budową, na biurko administratora. Nazywano to awansem służbowym.

Stało się tak bez żadnego z mojej strony udziału — jakaś anonimowa potężna fala wrzuciła mnie na fotel, o którym nie marzyłem. Zabrakło mi po prostu siły oporu, jak nieraz w decydujących chwilach mojego życia, przedtem i później. „Czy to nie wszystko jedno?” — pocieszałem się zwykłą formułką.

Paradoksem było, że robiłem zawrotną karierę wtedy właśnie, kiedy mi kompletnie na tym nie zależało. Mówiąc ściślej, nie robiłem jej sam, byłem tylko biernym obiektem czyichś zabiegów. Na zewnątrz zdawało się, że wszystko u mnie zaczyna się stabilizować.

W sierpniu tegoż 1967 roku przeczytałem w „Mondzie”, że karawella „Loire” uległa katastrofie podczas lotu z Barcelony do Paryża. Na liście ofiar znalazłem madame Marcel Dumarck.

Wstrząs był jeszcze straszniejszy niż wtedy, kiedy mnie porzuciła. Teraz utraciłem ją naprawdę na zawsze, nieodwołalnie.

Słabo widzę następne miesiące, wszystko zamazuje mi się w pamięci, jak okres majaczeń w klinice Charpen- tona.

Marta zginęła dokładnie tak, jak tego sobie życzyłem w latach studenckich, kiedy próbowałem zgadnąć finał swojego życia: w katastrofie samolotowej, nagle i błyskawicznie, nie zostawiając nawet garstki popiołów, które można by złożyć w grobie.

Żałowałem tego. Chciałbym odbyć pielgrzymkę do miejsca, w którym spoczywa. A przecież, jeżeli nawet postawili jej jakiś nagrobek, kryje on pod sobą pustkę, jest jedynie symbolem. Nie potrzebuję symbolów, obraz jej przechowuję lepiej w kapliczce własnej pamięci.

Wyszedłem i z tego kryzysu. Utraciłem jednak zapas siły witalnej, tego biologicznego przywiązania do życia, jakim obdarzył mnie francuski profesor. Na samą myśl o przespaniu się z jakąś kobietą ogarniał mnie wstręt. Z dość chętnego do przygód kawalera, jakim byłem długi czas po rozwodzie, zamieniłem się teraz w niepokieszonego wdowca.

Byłoby w tym coś z groteski, gdyby ktoś o tym wiedział. W stanie ciężkiej żałoby przetrwałem cały rok, mimo że w chwili zgonu Marty miałem trzydzieści osiem lat — wiek bynajmniej nie emerytalny.

A więc, lato roku 1968... Kłębek wspomnień doprowadził mnie do punktu wyjścia: do Celiny. Musiałem i ten wątek odtworzyć w naturalnej jego kolejności, chociaż tak straszliwie wolałbym tego uniknąć.

Jakby chcąc mnie wyręczyć, wagon drgnął, zgrzytnął i nagle się zatrzymał. Walizka rąbnęła o sklepienie, ja zaś uderzyłem głową o ścianę.

Konduktor pognął do wyjścia, na korytarzu wszczęła się bieganina. Z urywków rozmów zrozumiałem, że stoimy w szczerym polu przed zamkniętym semaforem.

Zapaliłem papierosa na podeście' koło otwartych drzwi wagonu, obserwowałem krzątających się przy torach kolejarzy. Zapadał już mrok, deszcz siąpił niemrawo, ceratowe kaptury lśniły w świetle latarek.

Czekałem na koniec przymusowego postoj, tak jakby mi naprawdę na tym zależało, i nie myślałem o niczym. Nie, owszem, pomyślałem, że najlepiej, żeby teraz naskoczył na nas towarowy — i byłoby już po wszystkim. Ruszyliśmy jednak i musiałem wrócić do swojego przedziału.

Wszędzie już zapalono światła, tylko u mnie było ciemno. Zamknąłem drzwi na korytarz i zasunąłem na nich firanki, jednak z zewnątrz sączyła się żółta poświata, wydobywając z mroku przeciwległą kanapę, lustro, rozkraczonych górali. Miękkie siedzenia, kołysane przez łagodny truchcik pociągu, zachęcały do drzemki.

Dziecko z dalszego przedziału, które tyle razy przypominało o sobie głośnym krzykiem, teraz widocznie usnęło.

Pies, jak zauważyłem, wysiadł wraz ze swoim panem na poprzedniej stacji. Naokoło zaległa cisza zmęczenia, jaka następuje w przydługiej podróży, kiedy nawet najbardziej oporni ulegają zniecierpliwieniu i tracą ochotę do rozmów.

Nie mogłem zasnąć, nacierało na mnie wspomnienie Celiny. Głos wewnętrzny znów przypominał: zabiłem...

Tak, zabiłem! Ale to nie było morderstwo. Nie chciałem jej zabić, jeszcze sekundę przedtem nie wiedziałem, że tak się stanie. Trudno uwierzyć, że to się zdarzyło w niecały rok po naszym ślubie.

Nie jestem wierzący, ale trochę przesądny. Patrząc teraz wstecz, pomyślałem z przerażeniem, że być może całe moje życie doprowadzało mnie stopniowo do wczorajszej katastrofy. I nagle ujrzałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Przed wieczorem zaczęło padać. Nie zważając na to, poszliśmy w góry. Droga była śliska, kilka razy potknąłem się, ale Calina twardo stawiała stopę na mokrym kamieniu, wybierając ścieżki. Straciłem orientację, słabo znam te okolice.

Weszliśmy w las porastający bardzo strome zbocze. Gałęzie świerków kłuły nas w twarz. Znaleźliśmy się w jakiejś sytuacji nie do wybrnięcia i byłem z tego powodu wściekły.

- Ty, łajdaku — powiedziała, zatrzymując się nagle.

Nigdy przedtem nie odzywała się do mnie w ten sposób, bardzo mnie to zaskoczyło.

Pokonywaliśmy z trudem ostatnie podejście. Czulem, jak wzbiera w niej złość. Wzniecała swoją histerię, doprowadzając się do wybuchu.

Wdrapaliśmy się wreszcie na skrawek gołej skały, nie było już gdzie iść. dalej zaczynało się urwisko.

- Czarci Żleb — oznajmiła jakby z triumfem. — Akurat dobre dla nas miejsce.

Przysunęła się do mnie gwałtownie. Milczałem, zdyszany.

Stojąc tuż obok, zbliżyła do mnie twarz wykrzywioną brzydkim grymasem. Odruchowo zasłoniłem się dłonią, ale ona znienacka chwyciła lewą ręką mój płaszcz i prawym

ramieniem pchnęła mnie z taką siłą, że ledwie ustałem na nogach.

- Puść! — krzyknąłem i chciałem uskoczyć przed nią.

Nie mogłem, bo jeszcze trzymała mnie, zaciskając palce. Jak w skurczu.

- Puść! - krzyknąłem rozpaczliwie, odrywając jej rękę od siebie i czując, jak moja noga ślizga się, nie znajdując solidnego oparcia.

Wtedy pchnąłem ją w prawy bark. Raz i drugi, z całej siły. Rozluźniła palce, uskoczyłem w bok.

Wszystko, co nastąpiło, stało się w ciągu paru sekund. Dostrzegłem przez mroczną mgłę, jak rozrzuciwszy ramiona kiwa się nad przepaścią, jak łapie powietrze szeroko otwartymi ustami, jak nadaremnie szuka, czego się chwycić, a potem krzywo, bokiem jakoś spada, znika za krawędzią skarpy.

Jednocześnie usłyszałem jej krzyk, nasilający się jak syrena alarmowa i urwany tuż po upadku. Jeszcze słyszałem łoskot staczających się w dół kamieni. Potem już nic, tylko pluskanie wody o skały. Byłem sam na szczycie, a w tym miejscu, gdzie przed chwilą stała Celina, rozciągała się równa zasłona deszczu. Widziałem to. a wciąż nie rozumiałem, co zaszło.

Ukląknąłem nad żlebem, wpatrywałem się w deszczową mgławicę pode mną i nic nie mogłem rozróżnić. Wołałem, nasłuchiwałem, znów wołałem. To było bez sensu, ale długo nie mogłem wstać i odejść. Wołałem i nasłuchiwałem, choć nie miałem już żadnej nadziei.

Nieraz mogłem stwierdzić, że w gwałtownym nieszczęściu pierwsza reakcja myślowa jest najprawdziwsza, najbardziej klarowna i miarodajna. Dopiero później wszystko zaczyna się zaciemniać i gmatwać.

A więc: co pomyślałem, wstając z klęczek?

Otrzeptałem błoto z kolan, wyprostowałem się i powiedziałem głośno:

- Cholera! Doigrała się.

To jeszcze nie była świadoma reakcja, tylko odczyn złości.

Potem wsłuchiwałem się jakoś inaczej w szum deszczu,

równomierny i spokojny, jak cisza. I powoli (właśnie powoli, doskonale pamiętam!) odczułem ulgę, tak jakby bez udziału mej woli stało się to, czego właśnie pragnąłem.

- Jestem wolny — powiedziałem.

Gdybym zobaczył jej ciało, kłębek skrwawionych strzępów, rozwleczonych wzdłuż kamienistej drogi, gdybym zobaczył jej martwe oczy, z których przerażenie przepędziło zapiekłą nienawiść, pewnie nie' mógłbym tak pomyśleć. Ale nie widziałem tego, naokoło był tylko deszcz, szaruga, coraz gęstszy mrok.

- Jestem wolny — pomyślałem znów.

Wykonałem tenże ruch ramieniem, pchnięcie — i poczułem opór jej barku. Pojąłem wreszcie, że ją zabiłem.

- Jestem wolny — pomyślałem po raz trzeci i dopiero wtedy napadło mnie zawstyżenie. Nie dlatego, że zabiłem, tylko dlatego, że tak pomyślałem.

Tak właśnie było, przypomniałem sobie to wszystko bardzo dokładnie.

Nigdy nie życzyłem jej śmierci, nawet w przystępie złości. Nie marzyłem o jej fizycznym zniszczeniu, chciałem tylko, bardzo chciałem, żeby zniknęła z mojego życia.

Nie planowałem zabójstwa Celiny. Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Nie ja go spowodowałem, sam mogłem zginąć.

Ale odczułem ulgę zrozumiawszy, że Celina nie żyje. I dlatego jestem jednak mordercą.

Skoro o tym wiem — jakże mam bronić się przed oskarżeniem?

ZESZYT DRUGI

Czas już przystąpić do głównego tematu, z czym tak długo zwlekałem w podróży i w tej relacji. Mógłbym go zatytułować: „Moje drugie małżeństwo”.

Do K. zaprowadziła mnie w sierpniu 1968 roku afera gospodarcza -przy budowie zakładów przemysłowych na krańcach tego miasta.

Nie będę wchodził w szczegóły sprawy, szeroko znanej z relacji prasowych. Chodziło o marnotrawstwo cennych materiałów oraz o przecieki importowanych budulców w ręce prywatne. Złodziejstwo było zakrojone na szeroką skalę i drogo nasze zjednoczenie kosztowało.

Wysłano mnie wraz z komisją dla reorganizacji dalszych prac, z uwzględnieniem następstw rabunkowej gospodarki. Praca była ciężka, nerwowa, nie pozostawiając?) czasu na prywatne rozdarcia. Cenilem w niej to przynajmniej, że po niemiłej harówce administracyjnej w centrali znów robiłem coś konkretnego w swoim zawodzie Usunięty dyrektor pozostawił mi w spadku luksusowy gabinet z monstrualnym biurkiem ustawionym na wprost drzwi, w dostatecznej odległości, żeby wchodzący od razu odczuł dystans, dzielący go od szefa instytucji. Z kolei szef, spoglądając na wchodzącego z wysokości swojego fotela, mógł widzieć go w odpowiednio zmniejszonych wymiarach.

Te psychofizyczne proporcje były oczywiście zmienne, zależnie od układów hierarchicznych. Jeżeli, na przykład, do gabinetu wkraczała osoba równej rangi, gospodarz wychodził zza biurka, witał gościa na środku pokoju i zapraszał do okrągłego stolika na filiżankę kawy lub na kieliszek mocniejszego trunku. Protokół był urozmaicony i giętki.

Znałem ten proceder z praktyki stołecznej, tylko że w Warszawie stosowano go na górnych szczeblach instytucji centralnych. Teraz się okazało, że na prowincji taki gabinet mógł sobie zafundować dyrektor przedsiębiorstwa

budowlanego, wprowadzając przy tym bardziej skomplikowaną etykietę. Łatwiej mu było, jak widać, w tej wielkodygnitarzkiej scenerii montować nielegalne transakcje.

Rzadko zaglądałem do tego gabinetu. Większość czasu spędzałem na budowie, a był to teren rozległy. Zapoznawałem się ze stanem materialnym obiektu, z organizacją procesu technicznego, z załogą, z kadrą kierowniczą.

Na każdym kroku stawały przede mną problemy, których nie można było rozstrzygnąć bez dokumentacji złożonej w biurze. Kiedy nagromadziło się więcej takich problemów, jechałem do dyrekcji, położonej w centralnej części miasta.

W dwa tygodnie po przyjeździe do K. spotkałem w dyrekcji Celinę.

Wzbraniałem się przed relacjonowaniem, jak to się odbyło. Rzecz wypadnie groteskowo, nieprawdopodobnie, w najgorszym guście, taki mały Guignol z nędznymi efektami, mieszanka melodramatyczno-mistyczna.

Mnie przypada w tej farsie autorstwo i główna rola, ja za nią odpowiadam. To moja fantazja narzuciła Celinie rolę partnerki. Dlatego, choć bardzo nie chcę, muszę dokładnie opisać przebieg wypadków. Wiem, że wyjdę na durnia i psychopatę. Trudno. Taka widocznie jest prawda.

Tego dnia, idąc korytarzem do swojego gabinetu, w połowie drogi usłyszałem zza uchylonych drzwi głos kobiety. Wszystko we mnie zamarło: to był głos Marty! Ten sam dźwięk, ta sama barwa, intonacja, to samo zawieszenie w środku zdania, jakby dla złapania tchu. Kobieta mówiła dalej, potem się roześmiała. To był śmiech Marty!

Oparłem się o ścianę, drżałem. Złudzenie było zupełne; oczekiwałem, że zaraz zobaczę Martę. Ta, która mówiła jej głosem, musiała mieć jej twarz, jej sylwetkę!

Przeżyłem chwile nieludzkiego napięcia, jakie miewają chyba tylko wizjonerzy. Z całych sił pragnąłem cudownej wizji: żywej kobiety, absolutnie podobnej do mojej zmarłej żony.

Na korytarz wyszła dziewczyna z tekturową teczką w ręku. Minęła mnie, poprawiając wolną ręką uczesanie, i weszła do

mojego sekretariatu. Nie zdążyłem zobaczyć jej twarzy.

Odczekałem, aż serce przestanie mi walić w piersiach, i poszedłem w ślad za nią. Stała obok mojej sekretarki, pokazywała jej jakiś maszynopis. Obie wyprężyły się służbiście, odpowiadając na moje przywitanie.

Nie była podobna do Marty. Była małą, pulchną blondynką o pyzatej buzi i śmiesznym dołeczku na brodzie. Sekretarka powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, zrozumiałem tylko, że to maszynistka.

- Czy mogłaby pani napisać coś pod moje dyktando? — zwróciłem się do niej.

- Proszę bardzo, panie dyrektorze.

Ten głos! Znów poczułem zawrót głowy.

Moja sekretarka widocznie czuła się dotknięta, bo za-pytała:

- Może lepiej ja napiszę, panie dyrektorze? Mam wprawę.

- To nie ma znaczenia. Będę dyktował powoli, bo muszę zastanowić się nad formułowaniem pewnych zdań. Panią natomiast poproszę o uporządkowanie materiałów, które przyniosłem, to sprawa pilna.

Przekazałem sekretarce plik papierów z mojej teczki i przeszedłem razem z maszynistką do gabinetu.

Usiadła obok mnie przy niskim stoliku. Dyktowałem rzeczywiście powoli, zatrzymywałem się często, by zadać jakieś pytanie — bez żadnej potrzeby, tylko po to, żeby znów usłyszeć jej głos.

Tak się zaczęło moje opętanie.

Po kilku dniach wszyscy w dyrekcji już wiedzieli: dyrektor zakochał się w Celinie Bielak. Takie rzeczy są nie do ukrycia.

Cóż innego mogli pomyśleć, jeżeli znienacka zmienilem zwyczaj: zamiast na budowie, spędzałem niemal cały czas w gabinecie i wciąż musiałem dyktować coś maszynistce, a żadna nie mogła zadowolić moich wymagań prócz małej Bielakówny, która przecież nie była rekordzistką w swoim zawodzie.

Ledwie Celina zjawiała się na moje wezwanie, sekretarka dyskretnie znikała z sekretariatu. Miała istotnie bardzo pilne

zadanie gdzie indziej, bo każdy dzień przynosił świeży materiał do plotek, których była główną roznosicielką.

Ostatnie dni sierpnia ziały żarem, wszystkie okna w moim gabinecie otwierano na oścież. Tuż obok mnie głowa Celiny, gorliwie pochylona nad maszyną do pisania, odbijała złote promienie, ale ja tego nie chciałem dostrzegać. Patrzyłem ponad tą głową.

Widziałem główkę czarną, o spadających do ramion, lekko falujących włosach — tak Marta czesała się trzy lata temu w Paryżu. Widziałem oczy niebieskie jak niebo wiosenne, oczy miłe i szczerze, w uśmiechu promieniste, w zadumie zamglone. Widziałem dłonie szczupłe, kruche, o delikatnych palcach.

Kobieta obok mnie miała, zdaje się, oczy zielonkawe, a ręce mocne, wyrobione, energiczne — to było zupełnie bez znaczenia. Zadawałem jej pytania przypadkowe, może nawet, bez sensu — oby tylko wsłuchiwać się w wibrowanie jej głosu, nie wnikając w sens odpowiedzi.

Po kilku dniach musiała się zorientować, że jej nie słucham. Nie wiem, czym sobie to tłumaczyła. Czy i ona myślała, że się w niej zakochałem? Możliwe. W każdym razie nie zdziwiła się, kiedy zaprosiłem ją na kolację. Bez oporów poszła potem do mojego pokoju i została na noc.

Była już moją kochanką, a ja wciąż jeszcze nie umiałbym powiedzieć, jaką ma twarz, jakie ciało. Jej głos wprawiał mnie w ekstazę, w której górowało uniesienie duchowe, ale przychodziła też i kolej na zmysły. Miałem za sobą cały rok celibatu.

Romans — o ile to można nazwać romansem — z miejsca przybrał formy dziwaczne. Przestałem ją wzywać do gabinetu, przestałem dostrzegać w biurze, w ogóle przestałem obijać się w dyrekcji, powróciłem na budowę. Chciałem natomiast, żeby cały swój czas poza pracą Celina spędzała ze mną.

Zaczęła okazywać mi sprzeciw.

Rozumiałem doskonale, że podobnie jak z mojej, tak i z jej strony nie ma mowy o zaangażowaniu się uczuciowym.

Wiedziałem dobrze, czego w niej szukam, płaciłem szczerze w materialnych równoznacznikach wdzięczności i sądziłem, że to najlepiej reguluje sprawę.

Tak było istotnie, Celinie odpowiadał ten układ, tylko nie zgadzała się poświęcać mi całego wolnego czasu i w swym oporze była wytrwała. Wynikałoby z tego, że poza mną miała kogoś „od serca”.

Domyśliłem się tego, kiedy pewnego wieczoru stanowczo odeszła od razu po kolacji, tłumacząc się jakąś pilną sprawą. Domyśliłem się tego — i pogodziłem natychmiast z istnieniem kochanka.

Cóż mnie to właściwie mogło obchodzić?

To nie Marta mnie zdradzała, tylko Celina. Nie byłem o nią zazdrosny.

Noce bez Celiny miały nawet swój urok, rozmawiałem z Martą swobodnie i bezpośrednio, snując niemy dialog. Zupełnie tak, jak zdarzało się dawniej, jeżeli coś rozłączało nas na parę dni i rozmawiałem z nią w wyobraźni. Wiedziałem, że rozłąka nie potrwa długo, ale tęskniłem i musiałem z nią o tym pomówić.

Te krótkie intermezza w odtwarzanym wraz z Celiną misterium powoli stały się dla mnie elementem nowym, ciekawym i cennym.

Pojmuję teraz, jak ludzie stają się narkomanami. Głos Celiny był moim haszyszem, wchłaniałem go głęboko, nigdy nie nasycony, zawsze chciwy następnej, większej dawki. Zazywałem go coraz częściej. Normalna droga narkomana.

Dziwne były te moje stany wizjonerskie, kiedy leżałem z zamkniętymi oczami obok Celiny i bredziłem, żeby pobudzić ją do mówienia.

Jej głos wyzwał reakcję łańcuchową wspomnień, skojarzeń, odruchów i w jakiejś chwili stawał się cud, obok mnie była Marta — nie ta, która mówiła między jednym a drugim łkaniem: „musimy się rozstać”, tylko ta z dawnych warszawskich czasów — delikatna, czuła i kochająca.

Brałem ją w ramiona, byłem ogromnie szczęśliwy. Między szczęściem a powrotem do rzeczywistości następnego dnia

leżała cezura, mocny sen bez przywidzeń.

Pewnego razu Celina zapytała mnie:

- Dlaczego zawsze zamykasz oczy, kiedy leżymy w łóżku?

Zaskoczyła mnie. Spojrzałem na nią po raz pierwszy z uwagą. Przez okno wpadało wprost na uas światło księżyca. Obok leżała dziewczyna o jędrnym ciele i nieco prostackiej twarzy, dołeczek na brodzie nadawał jej wyraz dziecinny.

- Dlaczego? — powtórzyłem, żeby zyskać na czasie. — Sam nie wiem, głupie przyzwyczajenie.

- Nie możesz się odzwyczaić?

- Spróbuję.

Był to moment przełomowy, Celina przestała być dla mnie abstrakcją, anonimową formułą magicznego zaklęcia — odzyskała własny kształt, a przeto i osobowość. Tej nocy spałem z nią, a nie z Martą.

Nie od razu uświadomiłem sobie, co zaszło. Myślałem na początku, że widok Celiny przez kontrast z urodą Marty daje mi nowe, przewrotne doznanie.

Dziś myślę inaczej: ten nowy odcień był tylko uzupełnieniem rzeczy ważniejszej — pożądałem już Celiny jako Celiny. Pozostało jednak nie wyjaśnione, dlaczego nadal nieodzowne mi było brzmienie jej głosu, tego ekwiwalentu obecności Marty, choćby wtórnej.

Nie wiem, czy oddaję płataninę tych odczuć. Lepiej naprawdę nie umiem.

Zmiana sytuacji objawiła się między innymi w tym, że zacząłem się niepokoić, kiedy Celina spędzała noc nie ze mną. Męczyła mnie bezsenność, prześladować brzydkie obrazy, złościłem się na nieobecną.

Nie wiedziałem, kim jest mój rywal, nic mnie ten człowiek nie obchodził, ale nie chciałem więcej godzić się, na taki podział. Gotów byłem zażądać: ja albo on. Nie zażądałem jednak, nie byłem pewien wygranej, a nie mogłem już ryzykować.

Poprzestałem na kilku awanturach, które nic nie dały prócz złej passy w naszych stosunkach. Na nic nie przydała się też nowa fala prezentów: przyjmowała je bardzo miło, z

podziękowaniem, ale robiła po swojemu. Musiałem się z tym pogodzić, choć przyszło mi to z trudem.

Tymczasem zbliżał się ostateczny termin mojego powrotu do Warszawy.

Nie wyobrażałem sobie rozstania z Celiną, na samą myśl o tym ogarniał mnie popłoch. Spróbowałem namówić ją, żeby przeniosła się do stolicy, przyrzekałem wspaniałe warunki: lekka praca na pół etatu, własny pokój, duże pieniądze.

Rozważała moją propozycję długo i gruntownie, po czym odmówiła.

- Mamusia by mi tego nie wybaczyła — powiedziała jak mała dziewczynka.

Po raz pierwszy wtedy usłyszałem, że ma matkę. Zacząłem zadawać pytania i dowiedziałem się z grubsza jej życiorysu.

Urodziła się w Toruniu dwadzieścia pięć lat temu. Ojciec, teraz już nieżyjący, był inkasentem elektrowni, matka jeszcze teraz pracuje w gabinecie kosmetycznym.

Pięć lat temu Celina, mimo sprzeciwów matki, wyszła za mąż za księgowego spółdzielni spożywczej, w której pracowała jako ekspedientka. Przeniosła się z nim do K. i od tej pory kontakt jej z matką się urwał.

W K. mąż Celiny awansował na kierownika spółdzielni, ale w dwa lata później wpadł za defraudację i dostał pięć lat. Po wyroku rozwiodła się z nim, lecz do Torunia nic powróciła. Nauczyła się pisać na maszynie i przez jakąś protekcję dostała posadę w dyrekcji budowy.

Oto cała jej króciutka historia, oczywiście z pominięciem drastycznych szczegółów.

Nie wynikało z tej opowieści, aby tak bardzo liczyła się z matką, toteż zdziwiłem się, że obawia się macierzyńskiej dezaprobaty w sprawie przeniesienia się do Warszawy.

Zapytałem:

- Czy widzisz się teraz z matką?

- Nie. Kiedy Lutka zabrali, mamusia przekazała mi przez znajomych, żebym się jej nie pokazywała na oczy.

- A potem, jak już się rozwiodłaś?

- Też nie. Moja mama to twarda sztuka.

- No dobrze. Skoro nie spotykacie się, czemu ci tak zależy na jej zdaniu?

- Zawsze to matka — rzekła tonem sentencjonalnym, który zwykle służył jej do uników.

- Przecież ludzie i tak na pewno przekazują jej różne nowiny. O mnie... i o innych.

Puściła to zakończenie mimo uszu.

- Niech przekazują.

- No więc? Z Warszawy do Torunia też kawał drogi, jak i stąd.

Wzruszyła tylko ramionami.

Nie mogłem jej przekonać, bo też nie chodziło tu o logiczne argumenty. Po prostu, jak widać, mój rywal posiadał większą siłę przyciągania niż ja. A termin mojego wyjazdu się zbliżał.

Do ostateczności popchnęło mnie to, że Celina już zawnazę zaczęła mnie traktować jak „etap miniony” — - mniej się wysilała na wykręty, skracala swoje u mnie wizyty, częściej spędzała noce gdzie indziej.

W tym stanie rzeczy chwyciłem się jedyne go środka, który mi jeszcze pozostał: propozycji małżeńskiej.

Nie oft razu się zgodziła, przetrzymała mnie kilka dni w napięciu.

Niemal w przededniu wyjazdu odbył się nasz ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego. Świadkami byli koleżanki i koledzy z biura.

Matka Celiny nie przyjechała.

...Wyjrzałem przez okno. Już nie padało. Gęsty mrok zalegał szybko.

Usiadłem z powrotem i nagle zmogła mnie senność, odrętwienie, bezwład. Możliwe, że się zdrzemnąłem. W każdym razie popadłem niejako w stan duchowej nieważkości, pustki całkowitej, rozpraszającej wszelkie napięcia.

Było to uczucie błogie, lecz krótkotrwałe. Ocknąłem się z żalem, ze świadomością utraty czegoś niezmiernie cennego: chwili niemyślenia.

W końcu października rozpocząłem znów życie małżeńskie w Warszawie.

Obawiałem się, że każdy, kto znał Martę, usłyszawszy głos Celine domyśli się, dlaczego się z nią ożeniłem. Byłoby to dla mnie okropnym poniżeniem, męką, jak obca ingerencja w najintymniejsze sprawy.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że moje obawy były śmieszne, nikt nie zauważył podobieństwa tych dwóch głosów. Może ja sam je zmyśliłem?

Jednakże nie, podobieństwo istniało, co dzień się o tym przekonywałem: podobieństwo niezaprzeczone i całkowite, aż do najcieńszych modulacji, drgnień, niuansów. Tylko że nikt już nie pamiętał głosu Marty, która wyjechała trzy lata temu. Nikt oprócz mnie.

Miesiąc miodowy, zgodnie z regułą, nie był łatwym okresem. Zamieszkaliśmy w jednym mieszkaniu, spaliśmy na szerokim tapczanie małżeńskim, jadaliśmy wspólne posiłki; to wszystko nie pociągało automatycznie za sobą zbliżenia, nawet przeciwnie — zdawało się uwidaczniać naszą wzajemną inność i obcość.

Celina czuła się chyba niedobrze w tym wnętrzu, urządzonym nie przez nią i nie dla niej, może i ładnie, ale zgoła inaczej, niż zwykła była wyobrażać sobie własne mieszkanie.

Było ono oczywiście luksusem w porównaniu do jej sublokatorskiego pokoiku w K., a ponieważ luksusy ją wyraźnie nęciły, takie mieszkanie powinno by jej imponować. Obawiam się, że na tym kończyła się przyjemność, jaką sprawiło jej posiadanie ogniska domowego.

Wtedy nie zastanawiałem się nad tym.

Różnica wieku ponad trzynaście lat, różnice usposobienia, przebytych doświadczeń, nawyków, otoczenia, zamiłowań itd. itp. — to bariera niemała. Staralem się ją zmniejszyć, ale bez większego skutku, może dlatego, że starałem się z obowiązku raczej niż z potrzeby serca.

Nieporozumienia zaczęły się od pierwszego dnia, z byle powodu i dokuczliwe, za to noce nadal były cudem niepojętym. Teraz z kolei Marta — widzę to już jasno — pełniła funkcje magicznej formuły. Kochanką rzeczywistą była Celine.

Wkrótce po przyjeździe zawiozłem Celinę do moich

rodziców. Denerwowałem się, miał to być pierwszy sprawdzian tego, jak moje otoczenie ją zaakceptuje.

Sytuacja drugiej żony zawsze jest nie do pozazdroszczenia, kobieta narażona na stronicze porównania i ukryte niechęci. Tego uniknąć się nie da, trudno. Liczyłem na dobroduszne nastawienie ojca, na niezawodny takt Anny. Nie byłem natomiast pewien Celiney.

Wypadło lepiej, niż się spodziewałem. Ojciec pocałował Celinę w rękę, potem przyjrzał się jej, zawołał:

- To przecież dzierlatka!

I wycałował jej oba policzki.

A ja przypomniałem sobie, że zbliżam się do czterdziestki.

Jowialność ojca nadała tonację naszej wizycie. Częstoowano nas słodyczami i winem, tatuś szybko wypił bruderszaft z synową, Anna poszła za jego przykładem. Rozmowa toczyła się wartko, bez zahamowań, tak jakby wszyscy od dawna już byli w dobrej przyjaźni.

Wyszliśmy obdarowani ładnymi drobiażdżkami, w samochodzie Celinea orzekła zwięźle:

- Fajni!

Pierwsza próba przeszła gładko.

Zaczęliśmy zapraszać moich najbliższych znajomych — na raty, po kilka osób.

W pierwszej paczce był rzeźbiarz, który nie tak dawno wrócił z Włoch, gdzie przez lat kilka studiował arcydzieła Renesansu. Przywiózł ze sobą żonę Włoszkę, stworzenie skromne, milczące, w miarę urodziwe, które miało cenny dar nie krępowania sobą innych, z czego korzystać stano może z przesadną swobodą.

Rzeźbiarz, dla kontrastu, był hałaśliwy, przedsiębiorczy i wszędzie okazywał się na pierwszym miejscu. Przekroczył już czterdziestkę, byłby jednak przystojny, gdyby nie wyłysiał kompletnie w latach młodości na skutek jakiejś choroby skórnej. Nazywali go mimo to „piękny Antonio”.

Cała paczka przyjechała jednocześnie dwoma samochodami. W przedpokoju zrobiło się ciasno i gwarno. Piękny Antonio, wręczając Celinie kwiaty, obrzucił ją uważnym

spojrzeniem i w nagłym natchnieniu .zawołał:

- W Rzymie zrobiłaby pani furorę: słowiańska bachantka! Fenomenalna nowoczesna uroda. Ta linia...

Z bezceremonialnością, którą miał usprawiedliwić jego zawód, dotknął jej kości policzkowej, po czym przesunął palec ku brodzie.

- Właśnie, właśnie — dorzucił pośpiesznie znany pieśniarz, z którym rok temu wypilem brudzia w SPATiFie. — I ta linia, proszę zobaczyć... niebywała!

To mówiąc dotknął jej ramienia, zahaczając o wystającą pierś. Myślałem, że zaraz rozpocznie się lekcja anatomii, ale Malina Kary, olbrzymka pracująca na niwie sztuki ludowej, otoczyła moją żonę ramieniem i uprowadziła ją do jadalni.

- Moje dziecko — tłumaczyła — pani ich nie zna, to łobuzy. Jeśli im nie dać po łapach, gotowi panią rozszarpać. Jesteś rzeczywiście śliczna, dziecinko, do nikogo ani trochę niepodobna!

Nawiasem mówiąc, nigdy nie dostrzegalem w Celinie szczególnej urody, tak samo zresztą, jak nasi koledzy i znajomi w K. Mówiono tam tylko, że to babka „szałowa”, co po prostu oznacza sex-appeal, który niekoniecznie idzie w parze z pięknnością. Toteż nie uległem presji moich gości warszawskich, choć w ciągu wieczoru kwestię tę walcowali na wszystkie sposoby, umacniając się coraz bardziej w swojej opinii.

Ważne było jedno: odtąd renoma Celiny jako piękności bachicznej w wariancie słowiańskim ustaliła się mocno w kręgach, w których się obracaliśmy. Droga do sukcesów towarzyskich stała przed nią otworem, nie wymagając specjalnych wysiłków ani talentów: wyznaczono jej efektowne miejsce w naszym niewielkim światku.

Tako pani domu Celina spisała się nie najgorzej przy swoim debiucie. Pilnowała, żeby talerze nie zostawały puste, odpowiadała na dowcipy z miłą dezynwolturą, która wywoływała powszechny aplauz. Dobrze jej zrobiła scena w przedpokoju, poczuła się mocno w siodle.

Potem mówiono, że wydobyłem gdzieś w głębi kraju perłę

ludową, dziecko natury.

O poziom intelektualny biesiady zatroszczył się rzeźbiarz pospołu z popularnym dziennikarzem, zresztą po pewnej ilości alkoholu ta kwestia straciła znaczenie. Dobrze spełniałem swój obowiązek gospodarza, dopływ gatunkowych napojów nie ustawał.

Uczta skończyła się o trzeciej nad ranem, mieszkanie wyglądało jak pobożowisko. Na szczęście pani Maria, moja gosposia, przyszła do pracy, mimo że była niedziela.

Osobny rozdział tej opowieści powinien by stanowić temat: Celina – gosposia.

Pani Maria pracowała u mnie od dwóch lat i była tak zwanym skarbem, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Starsza osoba ze średnim wykształceniem, zupełnie samotna, wyjątkowo schludna, rzetelna i zapobiegliwa, zajęła się moim domem – bez przesady – jak swoim własnym.

Gdy przychodziłem z biura, zastawałem ją z książką w ręku, jakby miała masę wolnego czasu, a obiad już czekał na podanie i wszystko naokoło lśniło czystością. Gotowała smacznie i nie tłusto, na modłę francuską. Mnie traktowała z respektem, ale też z zaangażowaniem uczuciowym, rodzinnym.

Idealna gosposia dla kawalera! Naszej sielanki ani razu nic nie zakłóciło.

Sytuacja musiała się zmienić po moim ożenku. Nie istniała na świecie kobieta, którą pani Maria zaakceptowałaby w charakterze mojej małżonki.

Gdyby nie ten szkopuł, Celina powinna by jej odpowiadać. Mając po raz pierwszy pomoc domową, chętnie pozostawiła w jej gestii całe gospodarstwo, uznając jej autorytet, kwalifikacje i uprawnienia. Ale pani Maria była rozgoryczona i nieprzejednana, czego nie zamierzała ukrywać.

Gołąc się w łazience, słyszałem rozmowy takiego rodzaju:

- Proszę pani, co ja mam przygotować na dzisiejszą kolację?

- Coś lepszego. Przyjdą państwo Kalińscy.

- Ale co lepszego?

- Wszystko jedno. Może być, jak zeszłym razem: szynka, potem ryba faszerowana, potem...

- Dobrej ryby dziś nie dostanę.

- To niech będzie barszczyk z pasztecikami, potem...

- Barszczyk był ostatnim razem, kiedy państwo Kalińscy przyszli z Duńczykami.

- To niech gospościa sama zaproponuje.

- Na przystawkę może być pasztet, polem rosół z kury, potem...

- Dobrze już, dobrze, niech będzie pasztet! Mówiłam, że mi wszystko jedno!

- No tak, pani może być wszystko jedno, bo i tak wszystko na mojej głowie: i pomyśleć, i dostać, i zrobić. Jeżeli pani nie chce nawet zastanowić się chwilę...

Celina nie była aniołem, o czym dokładnie przekonałem się później, ale przy scysjach z gospością podziwiałem w duchu jej wytrzymałość. Gospościa zachowywała się jak klasyczna teściowa, więc nie dziw, że Celina szybko do niej się zraziła i zaczęła ją traktować źle.

Nie wiem, gdzie nauczyła się tych wielkopańskich manier, odzywała się do niej per „niech Maria poda”, „mówiłam Marysi”, a ta była o trzydzieści lat od niej starsza! Nie mogłem tego strawić, klóciłem się o panią Marię, ale bez skutku.

- Rozpuściłeś ją jak dziadowski bicz! — krzyczała tak, że słyhać było w kuchni. — Nie pozwolę, żeby byle kuchta skakała mi po głowie!

Może pobierała lekcje od pani Renaty?

Gospościa miała więcej taktu i nigdy nie skarżyła mi się na żonę, ale jej spojrzenia i pełne dezaprobaty miny wystarczały zupełnie. Atmosfera w domu stawała się co dzień bardziej napięta, grożąc wybuchem.

Zdawałem sobie sprawę, że nie da się utrzymać na dłuższą metę choćby względnej równowagi, przewidywałem sytuację, kiedy dojdzie do głupiej alternatywy: gospościa czy małżonka? Czekałem biernie, świadom swojej bezsily.

Sylwestra w roku 1968 spędzaliśmy w Grand Hotelu, w szerokim gronie. Mój ożenek jeszcze nie zatracił posmaku

atrakcji, Celina ściągała na siebie uwagę.

Czułem się skrępowany tym, że moja żona wyglądała cudacznie, za co ponosiła odpowiedzialność orędowniczka mody polskiej w świecie, dobrze mi znana Irka Lipska. Ubrała ją w strój, godny opisu.

Długa biała atlasowa tunika, poprzecinana wszędzie, gdzie tylko, się dało, a zwłaszcza na piersiach, które Celina miała istotnie bachiczne niczym Sofia Loren. Na tunikę narzucono białą wełnianą chustę z góralskim haftem (akcent swojski, ludowy), jeden koniec umocowano w klamrze szerokiego mosiężnego pasa, wykonanego ściśle według wzorów wieku szesnastego. Do tego złote sandały z plastyku i wieniec żywych róż we włosach, trefionych na tę okazję w drobne loczki.

Najbardziej zaskoczyło mnie, że czuła się w tym stroju zupełnie swobodnie.

- No, jak ci się podoba nasza Celinka? — spytała z dumą Irka, podchodząc do mnie z kieliszkiem. — Udała się nam, co? Fajna dziewczucha.

- Upadłaś chyba na głowę — oburzyłem się. — Coś ty zrobiła z normalnej kobiety?

- Nie znasz się na tym, bęcwale. Popatrz, jak cudownie wygląda pas łowicki na jej biodrach!

- Wolę jej biodra bez pasa.

- Boś stary cap!

I odeszła.

Dziwne to, ale nikogo prócz mnie, zdaje się, nie uraził wygląd Celiny.

Rozejrzałem się naokoło i powstrzymałem swoje krytyczne zapędy, bo inne panie nie wyglądały lepiej: ta w kontuszu i turbanie na rudych włosach, tamta w jedwabnych spodniach i aksamitnej haftowanej kamizelce na gołym torsie, sama zaś Irka, źródło powszechnego natchnienia, w czarnym smokingu z cieniutkiego jedwabiu, który lepił się w najmniej pożądanym sposobie do jej grubaśnej figurki z odstającym tyłkiem.

W nikim wysoki krawieckiej wyobraźni nie budziły zdziwienia, co świadczyłoby o upowszechnieniu osiągnięć

Mody Polskiej.

Nastrój przy naszym stole był isticie sylwestrowy, pełen bez troski. O północy wszyscy już mieli w czubie.

Sędziwy prezes Krajewicz, mój bezpośredni szef w zjednoczeniu, wznosił wysoko spieniony kielich i zawołał, przekrzykując hałasy sali:

- Żebyśmy wszyscy przeżyli ten rok!

Trąciłem się z Celiną i zaczęliśmy saczyć szampana. Wtem ktoś zawadził o jej łokieć, upuściła swój kielich na podłogę. Stłukł się z żalonym brzękiem.

- Na szczęście, na szczęście! — krzyczeli naokoło.

Pomyślałem, że to zły omen, ale krzyknąłem, jak wszyscy:

- Na szczęście!

Celina trochę zbladła. Wziąłem ją za rękę i ścisnąłem lekko.

- Ślicznie wyglądasz! — powiedziałem nieszczerze, ale z zapalem. — Chciałbym już być z tobą w domu.

Objąłem ją w pól i natychmiast zaczępiłem się guzikiem o haftowaną chustę.

Tak się zaczął rok 1969, w którym Celina miała stracić życie.

...W przedziale już nie było czym oddychać od dymu papierosów. Otworzyłem na oścież okno i wyszedłem na korytarz. Przechadzałem się, mimo woli zerkając do otwartych przedziałów, gdzie wszyscy już drzemali lub spali na dobre.

Zatrzymałem się przed tym, w którym jechało dziecko.

Był to chłopak może półroczny, z czerwoną buzią i lepiącymi się od potu jasnymi włoskami. Matka ułożyła go wygodnie, podniósłszy poręcz między dwoma miejscami kanapy, sama zaś przykucnęła w przejściu, czujnie wpatrzona w synka, gotowa pochwycić go, gdyby zsunął się na brzeg. Spał mocno, poruszając piąstkami.

Przystanąłem naprzeciw. Obrazek tchnął jakimś kojącym spokojem. Matka obróciła się na chwilę i uśmiechnęła się do mnie: była pewna, że podziwiam jej dziecko. Szczuplutka, długonoga, krucha miała krótko ostrzyżone ciemne włosy i

oczy ogromne, czarne.

„Ładna dziewczyna” — pomyślałem, starając się sobie przypomnieć, do kogo jest tak uderzająco podobna.

Przecież nie do Marty? Nigdy nie widziałem Marty w stanie szczęśliwej kontemplacji, tak zupełnej, że aż do zatracenia siebie, do wniebowzięcia... O, właśnie! Tak może patrzeć tylko matka — młoda, nieprzytomnie kochająca matka... Madonna!

Siedziała w kucki, okrągłe kolana wystawały daleko spod kusej spódniczki, nagie ramiona oparła o kanapę, ciemną główkę schyliła nad synkiem. Coś wzruszająco bezbronnego, ufnego było w wygięciu jej szyi, przypominającej obciążoną łodygę. Była chemicznie oczyszczona z wszelkiej erotyki, nieosiągalna dla pożądania męskiego.

Madonna współczesna, Madonna w mini, Madonna wieczna.

Zauważywszy, że jeszcze stoję na korytarzu, zapytała:

- Czy nie mógłby pan przez chwilę popilnować mojego synka? Ja bym skoczyła do toalety.

- Oczywiście.

Zająłem jej miejsce, a ona pobiegła szybko.

Stałem przy kanapie, zagradzając bachora. Leżał spokojnie okryty białym płóciakiem, zalatywało od niego zapachem mokrych pieluszek i skwaśniałego mleczka. Tak pewnie zawsze pachnie w domu, gdzie jest niemowlę. Nie wiem zresztą, moje żony nie chciały mieć dzieci Teraz już się nie dowiem.

Wróciła w pośpiechu, podziękowała, znów kucnęła na podłodze. Przypominała mi teraz inną matkę — młodą kotkę, która niechętnie opuszcza koszyk z kociętami w pierwszych dniach po porodzie. Była piękna, chciałem jej to powiedzieć w jakiejś formie pośredniej.

- Pani ma piękne dziecko — powiedziałem.

Rozkwitła w uśmiechu, lecz zaprzeczyła, by spowodować nowe pochwały:

- Nie, on nie jest piękny, tylko bardzo miłutki i zdrowy.

Niechący powiedziała prawdę, było mu do piękności bardzo daleko.

— Pani ogląda go codziennie — upierałem się. — Dlatego pani nie widzi, jaki jest śliczny.

— Może... — powiedziała, znów modlitewnie wpatrzona w synka.

Chyba nie tak dawno była zwykłą ładną dziewczyną, lubiła modnie się stroić i latać na prywatki, dansingi, zmieniała swoich chłopaków, aż zaszła w ciążę i może wtedy dopiero pobrała się z tym ostatnim... Jak odbywa się ten cud, ta niepojęta przemiana zwykłej dziewczyny w Przenajczystsza?

Tego już także nigdy się nie dowiem.

Wróciłem na swoje miejsce.

Pewnie jeszcze przed następnym tysiącleciem podróż naokoło świata będzie się odbywała w ciągu paru godzin. Na razie nasz pociąg dowlókl się do Kalisza, a już po dziewiętej. Kiedyż będziemy wreszcie w Warszawie? Jasne, że nie dziś.

Patrzyłem na dworzec kaliski. Za długim parterowym budynkiem nie widać świateł, wydaje się, że miasto pograżyło się we śnie. Nie mając o co zaczepić myśli, wróciłem do Celiny.

Nie pracowała, nie studiowała, nie zajmowała się gospodarstwem, nie wiem, czym wypełniała swój dzień.

Sporo czasu pochłaniało jej chyba chodzenie do kawiarni i kin, w czym nie uczestniczyłem, bo zwykle byłem piekielnie zajęty. Musiała też dużo godzin spędzać w sklepach, dbając o swoją garderobę.

Warszawskie panie patronowały swojej pupilce w dobieraniu odpowiedniej oprawy dla jej słowiańskiej urody, w którą nikt z naszego kręgu nie wątpił. Oczywiście z wyjątkiem mnie, do czego, Broń Boże, nie przyznawałem się, bo i po co?

Wszystko to wymagało wydatków wcale okazałych. Coraz częściej wypisywałem dla Celiny czeki na podjęcie pieniędzy z konta bankowego PKO, na który przelewano mi honoraria za prace zleczone, wykonywane poza biurem.

Ktoś widocznie oświecał ją w kwestiach finansowych, bo pewnego dnia zaproponowała:

- Po co masz za każdym razem się fatygować? Zgłoś w PKO upoważnienie dla mnie na to konto bankowe i

będziesz miał spokój.

Tak też zrobiłem i odtąd książeczka czekowa przeszła w jej ręce. Na razie nie brakło pokrycia, musiałem jednak podjąć się prac dodatkowych, żeby intensywniej zasilać domowe fundusze. Bodźce ekonomiczne działały sprawnie.

Przyznaję, słabo znałem Celinę; jej motyw i reakcje często zostawały dla mnie tajemnicą. Nie przypuszczam jednak, żeby była chciwa — może raczej łatwowierna i lekkomyślna. Gdyby była „pazerna”, chciałyby to ukryć i działałaby sprytniej, tymczasem jej posunięcia rozbrajały swoją dziecinną prostotą.

Pewnego razu, pamiętam, znalazłem na swoim biurku pseudoabstrakcyjny kicz, który przytaszczyła z jakiejś wystawy nowoczesnego malarstwa.

- Po co przyniosłaś to paskudztwo? — spytałem, zmiotając obrazek do kosza.

- Zostaw! — krzyknęła, wyciągając go z powrotem. — Jak możesz? Powiedziano mi, że ten malarz już ma rozgłos za granicą, za kilka lat można będzie odsprzedać jego obraz z dużym zyskiem, zobaczysz!

- Lokata kapitału, co? No, no, gratuluję. Ale schowaj toto na pawlaczu, póki nadejdzie ten wielki dzień.

Usłuchała mnie.

Innym razem, wróciwszy do domu na obiad, zastałem ją w moim gabinecie z agentem PZU. Skoczyła do mnie:

- Słuchaj, ten pan mówi, że byłoby dobrze, żebyś ubezpieczył swoje życie ze względu na częste wyjazdy w teren. Możesz ubezpieczyć się na moją korzyść!

Powiedziała to wszystko jednym tchem i tak radośnie, jak gdyby zapraszała mnie na premierę radzieckiego cyrku.

- Właśnie, panie dyrektorze — wtrącił facet. — Wydatek niewielki, a w razie, nie daj Boże, nieszczęścia wdowa dostaje solidne odszkodowanie.

Bardzo mnie to ubawiło. Byłem głodny, więc nie pytając o szczegóły i nie zaglądając do dokumentów, podpisałem jakieś papierki, po czym agent uroczyście wręczył Celinie polisę. Była zachwycona.

- A może i ciebie ubezpieczę na moją korzyść? — spytałem chowając do kieszonki parkera.

- Nonsens, przeżyję cię — odrzekła szybko — bo jestem młoda i zdrowa.

Jednym zdaniem rozstawiła nas po przeciwnych stronach bariery, która dzieli starców i młodzież.

Nie po raz pierwszy mogłem zauważyć, że ożenek z Celiną gwałtownie postarzył mnie w oczach otoczenia. Dlaczego? Nie wiem. Nie ukończyłem jeszcze czterdziestki, ona zaś rozpoczęła już dwudziesty siódmy rok życia. Czy ludzie nie umieją liczyć?

Daleko mi było do feralnej pięćdziesiątki, kiedy to najstateczniejsi tracą rozum dla byle smarkuli, ośmieszając się nielitościwie. A jednak coś z takiej farsowej postaci do mnie zdołało już przylgnąć. Jakim sposobem?

Zrobiłem się wrażliwy na świadczące o tym objawy, bo zaczęły mnie deprymować. Trochę rozjaśniło mi się w głowie, kiedy niechcący stałem się świadkiem spotkania Celiny z przyjaciółkami w kawiarni.

Trafiłem tam przypadkowo, wracając skądś do biura. Zamówiłem przy barku pół czarnej. Doleciał mnie w gwarze głos Celiny i zobaczyłem ją w głębi lokalu, przy stoliku. Magia tego głosu trwała, odróżniłbym go wszędzie.

- Dziękuję, dziękuję, dosyć śmietanki, boję się utyć! — mówiła.

- Nie gadaj, dziecińko! — odezwała się Malina Kary. — W twoim wieku żadna śmietanka zaszkodzić nie może. W ogóle nie powinnaś chudnąć, to nie twój *genre*.

- Jeżeli schudniesz, nie chcę cię znać! — poparła Malinę Irka. — Mam dla ciebie jeden model... cud! Ukaże się w jesiennej serii. Namówię Modę Polską, żeby zabrała cię do Paryża jako modelkę. Musisz zobaczyć świat, koniecznie! Już czas najwyższy.

- Mają rację, pani Celino — odezwała się przymilnie żona mojego kolegi z biura. — Nie wolno pani psuć swojej urody! Och, ten dołczek...

Celina roześmiała się, z wdziękiem zajądając bitą śmie-

tanke.

- A jak Andrzejek, trzyma się? — zapytała Malina.

- Jakoś się trzyma. Zmizerniał ostatnio, źle sypia, biedaczek.

- Bo dużo pracuje. Dzielnego masz męża, dziecinko. Nie zamieniłabyś go na młodszego, co?

- Pewnie że nie. Przypomina mi mojego tatusia Tatuś miał pięćdziesiąt lat, kiedy umarł.

Nie znałem pana Bielaka, inkasenta elektrowni toruńskiej. Widocznie był wysokim, szczupłym panem, który dobrze się ubierał, lubił tańczyć i miał powodzenie u kobiet, przynajmniej w młodości. Kawa utknęła mi w gardle, szybko wyszedłem z goryczą w ustach i w sercu.

Później w domu przyjrzałem się uważniej mojej dzierlatkowej małżonce.

Moda mini już w zeszłym roku zaczęła przekwitać. Celina jednak upodobała sobie super-mini, jej spódniczki, niczym falbanka przy pasie, spływały na biodra akurat do linii, gdzie się kończyły majtki.

Nie powinna była tak się ubierać. Na super-mini mogą sobie pozwolić autentyczne smarkule albo kobiety o wyjątkowo zgrabnych nogach. Nie należała ani do pierwszych, ani do drugich. Przyznać jednak muszę, że dzięki temu osiągała pożądany efekt, sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie podlotka.

Nie powiedziałem Celinie o podsłuchanej w kawiarni rozmowie. Ostatecznie, cóż mogłem jej zarzucić: że zachowuje się tak, jakby jeszcze uczęszczała do szkoły, że przyrównuje mnie do podstarzałego tatusia? Sam bym się ośmieszył. To jej mizdrzenie jednak mnie denerwowało.

Scena w kawiarni pociągnęła za sobą inną jeszcze refleksję — że Celina ma doskonałe warunki na to, by mnie zdradzać: nie kontrolowany rozkład całego dnia, a podczas moich wyjazdów w teren wolną chatę we własnym mieszkaniu. Jeżeli w K., będąc moją kochanką, trzymała w zanadrzu gościa „od serca” — czemuż by miała rezygnować z tych praktyk w Warszawie? Pod pewnymi względami

sytuacja przecież się nie zmieniła.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy — rozumowałem. — Nadal jestem dla niej przede wszystkim źródłem materialnych korzyści. Zasób ich się powiększył, doszły jeszcze znajomości w „lepszym towarzystwie”, drogie rozrywki itd. Jednakże w sprawach sercowych nic nie wskazuje na postęp. Jestem mężem gorącym, troskliwym, wyrozumiałym — ale nie kochającym. O tym wiemy oboje.

Powiedziałem sobie wobec tego, że faktycznie deprawuję Celinę, skłaniając ją do współżycia ze mną wyłącznie z wyrachowania. Takie małżeństwa uważałem zawsze za legalną formę prostytucji.

Dziewczyna nie chciała za mnie wychodzić, opierała się mimo wszelkich korzyści, nie leciała na tytuł dyrektorowej ani na słodkie życie w stolicy. Zmieniła się dopiero w Warszawie, rozmiłowawszy się w tym słodkim życiu. Któż w gruncie rzeczy ponosi za to odpowiedzialność?

Wyrzuty sumienia osłabiły moją wewnętrzną opozycję, nie osłabiły jednak zazdrości. Zastanawiałem się: gdzie i kiedy Celina spotyka się ze swoim facetem, a jeżeli przyjmuje go w domu — czy pani Maria dostrzega kompromitujące ślady?

Nie upadłem tak nisko, żeby pytać o to gosposię, wystarczająco wszakże, by za każdym razem po powrocie do domu odbierać jej mimiczne sygnały i potem trawić je w samotności, zaopatrując w obszerny komentarz.

Podejrzliwość moja wzrastała i pewnie doprowadziłaby w końcu do awantury małżeńskiej, gdyby nie zdarzenie, które zmieniło kierunek moich niepokojów. W maju Celina zachorowała na dyfteryt, chorobę w jej wiele u groźną.

W pełni doceniłem wówczas możliwości, jakie daje stanowisko, tudzież rozległe kontakty towarzyskie. Okazało się, że mnóstwo przyjaciół, a zwłaszcza przyjaciółek chce przyjść nam z pomocą i z cenną radą.

W domu i w biurze bez przerwy byłem atakowany telefonicznie.

- Czy wezwałeś lekarza?

- Tak, z naszej kliniki.
- Zwariowałaś? Trzeba było zaprosić profesora B.
- Doktor powiedział, że to dyfteryt.
- Matko boska! Trzeba ją natychmiast umieścić pod opieką lekarzy.
- Właśnie zamierzam tym się zająć.
- Czy już załatwiłaś lecznicę numer jeden?
- Jaki numer jeden?
- Nie bądź dzieckiem! Przecież nie umieścisz jej w miejskim szpitalu!
- Nie wiem, właśnie...
- Zaraz zadzwonię do Witka, on zwróci się, gdzie trzeba. Czekać na wiadomość.

Tak mniej więcej brzmiały moje rozmowy z przyjaciółmi.

Witek dzwonił, gdzie trzeba, ktoś stamtąd dzwonił też tam, gdzie trzeba, akcja ratownicza zataczała coraz szersze kręgi, a w środku ja, z nieprzytomną z gorączki Celiną, czekałem na pomyślne wyniki.

Koło północy zadzwonił prezes naszego zjednoczenia, Krajewicz:

- Panie inżynierze? Sprawa załatwiona, zaraz przyjeżdżie karetka po pańską małżonkę. Może pan być spokojny, tam są idealne warunki! Wiem z doświadczenia.
- Dziękuję serdecznie, panie prezesie!
- Nie ma za co. Dobranoc!

Rozpoczęła się „bitwa o Celinę”, w której brali udział nie tylko lekarze i pielęgniarki. Codziennie odwiedzałem ją i przekazywałem wieści zatrwożonym rzeszom kibiców.

Na czoło wysunęły się Malina i Irka. Żądały ode mnie szczegółowych sprawozdań i w krytycznych momentach oświecały, jak należy rozmawiać z personelem, z lekarzami — czego od nich żądać.

- Nie bądź dzieckiem! — krzyczały groźnie, kiedy okazywałem sprzeciw.

Ten argument działał na mnie bez pudła. Wpadałem w popłoch, gotów uwierzyć, że przez brak doświadczenia mogę spowodować nieszczęście.

Celina, jako chora na zakaźną chorobę, leżała w osobnym pokoju. Wszystko tam aż raziło nieskazitelną bielą: ściany, łóżko, pościel, pokrowce, umywalka, klosz pod sufitem, sztywne czepki sióstr i kitle lekarzy.

Żal było patrzeć na nią, wyciągniętą płasko na wysokim łóżku pod lekkim kocem. Miała obandażowane gardło i nie mogła rozmawiać. Gestem prosiła mnie o łyk herbaty, o plasterki cytryny.

Ze względu na ciężki stan żony, pozwolono mi odwiedzać ją o dowolnej porze. Niekiedy przyjeżdżałem o trzeciej, niedługo przed „głównym” obchodem lekarskim z udziałem ordynatora. Odbywało się to z niezwykłą, niemal rytualną powagą.

Na czele całego orszaku wkraczał pan docent, bardzo przystojny pan, który z całą stanowczością zatrzymał się między czterdziestką a pięćdziesiątką. Zawsze starannie ogolony, miał gęste jeszcze, może zanadto czarne włosy oraz ciemne oczy ładnego wykroju. Cała jego sylwetka tchnęła spokojnym wdziękiem człowieka dobrze wychowanego, dobrze prosperującego i dobrze świadomego własnych walorów.

W ślad za nim wchodziły, w kolejności hierarchicznej, starsza i młodsza asystentka oraz trzy siostry Oddziałowe, jedna z historią choroby, druga z notatnikiem dla wpisywania kolejnych zaleceń, trzecia bez przydziału

Zrywałem się z miejsca, żeby opuścić pokój, ale docent uprzejmie witał się ze mną i zatrzymywał na parę minut.

Siadał w fotelu obok łóżka Celiny, poprawiał fałdy białego kitla nad kantem spodni, przeglądał kartę z relacją o przebiegu ostatniej doby i uśmiechał się do mnie z wyrazem, który miał dodać mi otuchy.

Odwzajemniałem się uśmiechem pełnym ufności, włączając się w ten sposób w ustalony rytuał, i wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Potem wysuwałem się dyskretnie na korytarz, paliłem nerwowo i czekałem na wyjście ekipy.

- Sytuacja jest poważna — mówił docent. — Robimy wszystko, co można, ale medycyna nie jest na razie

wszechmocna. Dziś wypróbujemy nowy lek, szwajcarski. Cierpliwości!

Wracałem do Celiney. Zmęczona badaniem, drzemiała dysząc ciężko, chrapliwie. W pokoju, mimo uchylonego okna, unosił się przykry szpitalny zapach.

Znikały mi z oczu białe ściany, widziałem pokoiak, w którym dokładnie rok temu walczyłem z grypą azjatycką.

Rozkołysane wiatrem gałęzie uderzały o szyby okna, z tapet patrzyły na mnie bukieciki ze wstążką, nocą świecił, w oczy wążutki księżyc, o brzasku rozlegał się opętańczy świergot ptasi. „Na nieistnienie zawsze mamy czas” — mówił profesor Charpenton ściskając mi rękę delikatną, lecz mocną dłońią.

Siostra z termometrem budziła Celinę i wyrывała mnie ze wspomnień.

Codziennie przywoziłem świeże kwiaty, a pani Meria, pocziwina, przechodziła sama siebie, przyrządzając dietetyczne potrawy. Celina nie chciała nic jeść.

- Żądaj konsylium, nie można jej tak zostawiać bez żadnej pomocy! — krzyczała w słuchawkę Malina, aż huczało mi w uchu.

- Nie przesadzajmy, robi się wszystko, co można, medycyna nie jest na razie wszechmocna... — oponowałem słabo.

- Zdumiałeś czy co? Mamy wspaniałych specjalistów, trzeba zaprosić profesora Kondratowicza, sprowadzić z Łodzi Halperna, wezwać laryngologa, który leczył Maryskę Kowalską, zapomniałam, jak się nazywa. Zaraz się dowiem.

- Może poczekamy jeszcze?

- Na co? Na zmiłowanie boskie?

- Na przesilenie. Mówił docent...

- Nie bądź dzieckiem!

Ustępowałem, nazajutrz prosiłem dyrektora lecznicy o zwołanie konsylium. Odbyło się jedno, potem drugie. Nie wiem, czy dzięki temu, a może mimo to nastąpiło wreszcie długo oczekiwane przesilenie. Celina zaczęła powoli się poprawiać.

Przyszedł dzień, kiedy usiadła w łóżku, blada i wychudzona.

Spojrzała na mnie wielkimi zielonymi oczami i powiedziała marszcząc się z wysiłku:

- Nie wiesz, kiedy mnie wypiszą do domu?

Głos miała zachrypnięty, basowy, obcy. Udałem, że tego nie dostrzegam.

- Myślę, że za jakiś tydzień, może za dwa. Zapytam pana docenta.

Pan docent powiedział, że rekonwalescencja może potrwać czas dłuższy.

- To był ciężki wypadek, proszę pana — dodał. — Gdyby nie ekstra środki, które zdobyliśmy i zastosowali, kto wie... Chwała Bogu, już po niebezpieczeństwie.

Cokolwiek mówił, aksamitny blask jego ciemnych oczu dodawał słowom szczególnej wagi.

- Panie doktorze — zapytałem — dlaczego moja żona ma taki dziwny głos?

- Bo przeszła zapalenie strun głosowych, to nierzadka komplikacja w takich wypadkach.

- Czy to ustąpi?

- Miejmy nadzieję, ale ręczyć nie można. Niekiedy zapalenie pozostawia nieprzemijające ślady.

Przez dwa tygodnie, które Celina spędziła jeszcze w lecznicy, z niepokojem wsłuchiwałem się w przykre brzmienie jej głosu. Po powrocie do domu mówiła już bez skrzekliwych zgrzytów, ale głos miała jakby pęknięty, niski i bezbarwny.

Poczułem się jak człowiek obrabowany.

Zastrzegam się: znów nastąpiła rzecz groteskowa, której wolałbym nie opisywać. Ale chyba muszę?

To, co się stało, przyrównać by można do odwrócenia wstecz taśmy filmowej: cofanie się mojej fascynacji aż do punktu, w którym jeszcze nie istniała. Odkryło się to znacznie szybciej niż proces pierwotny.

Poszły w zapomnienie magiczne zaklęcia, wywoływanie duchów, mistyczna ekstaza. Ocknąłem się jak po długim letargu, ze zdumieniem pytając siebie: co robi w moim domu obca kobieta?

Robiła to, do czego ją upoważniłem: korzystała z praw mojej

małżonki. Z ogromnym wysiłkiem ukrywałem przed nią dokonaną we mnie przemianę. Na szczęście lekarze zalecali jej dłuższy pobyt nad morzem. Z wielką ochotą zorganizowałem jej luksusowe wczasy w Juracie na lipiec i sierpień.

Wyjechała, a ja nareszcie mogłem zostać sam i swobodnie zastanowić się nad sytuacją, bądź co bądź niezwykłą i trudną do rozwiązania. W pierwszym rządzie postarałem się odprężyć po napięciu ostatnich miesięcy.

Pani Maria chyba nie mniej ode mnie doceniała powrót do spokojnych czasów sprzed mojego ożenku. Znowu byłem jedynym jej podopiecznym, szczerze lubianym i godnym poświęceń. Z niewyczerpaną inwencją starała się umilić mi pobyt w domu.

Mieszkanie przybrało wygląd odświeżony: firanki i zasłony na nowo uprane, posadzki wyfroterowane do lustrzanego blasku, wazony zawsze pełne świeżych kwiatów. Karmiła mnie tak smacznie i wykwintnie, że zacząłem spraszać gości, żeby nie oddawać się łakomstwu w pojedynkę, co byłoby grzechem niewybaczalnym.

Mam wrażenie, że cała ta wzmożona troskliwość miała mi dać do zrozumienia, że niepotrzebnie się ożeniłem, skoro bez żony jest mi o wiele wygodniej i spokojniej. Istotnie, ta prosta myśl coraz częściej gościła w mojej głowie, powodując jedynie irytację i poczucie bezsily.

Jakże mogłem wyplątać się z kabały, w którą zapędziłem się dobrowolnie? Komu i jak mogłem wytłumaczyć, że pewnego dnia uległem opętaniu, które skończyło się innego dnia z tego powodu, że moja żona zachorowała na chroniczne zapalenie strun głosowych? Nawet Annie nie ośmieliłbym się opowiadać podobnych rzeczy, choć w moim przekonaniu ona, jak nikt, potrafiłaby wszystko zrozumieć.

Niemniej, w głębi mojej świadomości kiełkowało pytanie: w jaki sposób zlikwidować tę abrakadabrę i powrócić do stanu wolnego?

Odkładałem te rozważania na później, wydawało mi się, że mam mnóstwo czasu przed sobą, aż Celina zakończy swoją

kurację nad morzem. Na razie korzystałem z tymczasowej beztroski, zesłanej mi przez łaskawych bogów, i cieszyłem się dobrym zdrowiem tudzież humorem.

Jak wiadomo, taki stan ducha sprzyja przelotnym miłościom. Nie widziałem nic zdrożnego w tym, żeby rzucić się w małą przygodę, pamiętając, że Celina zdradzała mnie w K., a może i później. Czy nie byłoby to zwykłym wyrównaniem rachunku?

Na to konto pozwoliłem sobie na zbliżenie z Basią Łozińską, miłą i ładną rozwódką, która nie paliła się do nowego małżeństwa.

Znałem ją od paru lat i ceniłem za wyraźnie zarysowaną osobowość i niezależność. Po zerwaniu z mężem, dość znanym architektem, odeszła od jego kręgu towarzyskiego i pracowała w Cepelii jako sprzedawczyni w dziale tkanin artystycznych. Tam spotkałem ją i odnowiłem dawną znajomość.

Basia po rozwodzie zamieszkała z rodzicami, więc nie mogliśmy widywać się u niej. Uczyniłem to, o co podejrzewałem Celinę: zapraszałem przyjaciółkę wieczorami do siebie. Było to rozwiązaniem najprostszym, zważywszy, że mogłem być całkowicie pewien dyskrecji gosposi. Wiedziała oczywiście o moim grzechu, ale wątpię, żeby mnie potępiała.

Pisałem do Celiny regularnie raz na trzy dni: pytałem ją o zdrowie, o rozrywki, o nastrój. Nie inaczej pisałbym do kilkunastoletniej córki, gdybym ją miał, bo listy Celiny wprost zdumiewały swoją nieskomplikowaną treścią i prymitywną formą. Wyliczenie osób, którym przekazywała pozdrowienia, wypełniało pokaźną część epistoły. Ta korespondencja niewiele zabierała mi czasu i nie przysparzała wyrzutów sumienia.

Na początku sierpnia poprosiła, żebym wysłał jej trzy tysiące dodatkowo. Nie miałem tyle gotówki, więc otworzyłem zapasowym kluczem szufladę biurczka, w którym trzymała moją książeczkę czekową. Na wierzchu leżała książeczka PKO, bezwiednie zajrzałem do niej.

I tu spotkała mnie niespodzianka. Książeczka była wypisana

na Celinę Kawoń z datą 15 stycznia 1965 i zawierała ni mniej, ni więcej — wkład na sumę stu dwudziestu tysięcy złotych!

Ochłonawszy ze zdumienia, przypomniałem sobie, że pierwszy mąż Celiny, który w kilka miesięcy później poszedł do więzienia za defraudację, nazywał się Ludwik Kawoń.

Przykre to było odkrycie. Prawdopodobnie kierownik spółdzielni, przewidując wpadkę, przelał pieniądze na nazwisko żony. Nie mogła przecież nie wiedzieć, o co chodzi w tej kombinacji! Pieniądze przyjęła, a kiedy mąż dostał wyrok, rozwiodła się z nim. Pięknie!

Nie chciałem potępiać jej zaocznie, ale postanowiłem zadać szereg pytań, kiedy powróci.

Bojąc się nowych rewelacji, schowałem czym prędzej tę książeczkę i nawet postarałem się chwilowo wyrzucić z pamięci fakt jej istnienia.

Nadeszła połowa sierpnia. Nie miałem żadnej ochoty wznowić pożycia z Celiną, było mi z Basią dobrze. Uzgodniliśmy, że miesiąc urlopu spędzimy w Iglicach, zapadłej wiosce powiatu jeleniogórskiego. Basia mieszkała tam kiedyś, знаła kilku gospodarzy i listownie zamówiła dla nas dwa pokoje w małym domku z ogródkiem.

Celina miała wrócić 28 sierpnia, wobec czego ustaliliśmy następujący harmonogram. Basia wyjedzie 26 sierpnia i poczeka na mnie w tej wiosce. Ja spędzę dwa dni w domu po przyjeździe Celiny i wyjadę w sobotę 30-go w południe, żeby wieczorem już być na miejscu.

Plan był ułożony przemyślnie, lecz bez udziału głównej osoby.

Wczesnym rankiem 26 sierpnia spaliśmy z Basią na moim małżeńskim łóżku snem sprawiedliwych. Wydało mi się naraz, że ktoś otwiera drzwi wejściowe: pomyślałem, że to pani Maria już przyszła do pracy, i nie bardzo tym się przejąłem. Zapadałem ponownie w sen, kiedy ktoś stanął w progu sypialni. Podniosłem głowę i zobaczyłem Celinę.

Podeszła bliżej, popatrzyła uważnie na twarz śpiącej kobiety i wyszła bez słowa.

Obudziłem Basię, wskoczyłem z łóżka, szybko się ubrałem i

wyszedłem do Celiny. Znalazłem ją w kuchni. Nastawiła czajnik na ogniu i smarowała bułkę masłem.

- Niech ona wyjdzie — powiedziała spokojnie.

Była siódma. Umówiłem się z Basią, że wpadnę do jej sklepu przed południem i powiadomię, jak stoją sprawy. Prosiłem, żeby nie zwracała do Orbisu biletu sypialnego na nocny pociąg do Jeleniej Góry, bo na razie jeszcze nic nie wiadomo. Zamknąłem za nią drzwi i wróciłem do kuchni.

Zdumiewało mnie zachowanie Celiny: można by pomyśleć, że w podobnej sytuacji była już wiele razy i nie widzi w tym nic osobliwego. Przygotowałem się jednak na niespodzianki. Udając, że też jestem zupełnie spokojny, zaparzyłem sobie neskę i usiadłem przy kuchennym stole.

Jadła z apetytem kanapki z serem i popijała herbatą. Wyglądała czerstwo, cerę miała opaloną, włosy rozjaśnione słońcem. Chciałem, żeby to ona pierwsza się odezwała, ale widać było, że tego nie robi. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżowały, oczy jej kompletnie traciły wyraz.

„Twarda sztuka” — przypomniałem sobie, jak wyraziła się kiedyś o swojej matce.

Dałem za wygraną, odezwałem się pierwszy:

- Dlaczego wróciłaś wcześniej?

- Bo mi się znudziło.

- Chciałem cię oczekiwać na dworcu.

Uśmiechnęła się. Poczujęm się głupio.

Skończywszy śniadanie, poszła do łazienki.

Postanowiłem zaprzestać prób nawiązania rozmowy.

Poczekalem w gabinecie na swoją kolej do łazienki, wziąłem prysznic. Po przyjściu pani Marii zjadłem śniadanie i pojechałem do pracy.

Celina nie ukazała się. Było to wypowiedzeniem zimnej wojny.

„Można i tak — pomyślałem. — Mam tę przewagę, że za cztery dni wyjadę, o czym ona nie wie.”

O jedenastej, kiedy otwierają sklepy Cepelii, skoczyłem do Basi i powiadomiłem ją, że nic w naszym planie nic ulegnie zmianie. Wieczorem odprowadziłem ją na dworzec.

Zjedliśmy kolację w restauracji kolejowej, pomachałem za odchodzącym pociągiem i z ciężkim sercem wróciłem do domu. Nie jest jednak rzeczą przyjemną — zostać sam na sam z żoną, która przyłapała mnie na zdradzie.

W gabinecie znalazłem przygotowane dla siebie posłanie — widocznie tak zarządziła Celina. Bardzo byłem z tego rad i natychmiast zasnąłem.

Nazajutrz wezwałem sekretarkę, pocziwą matkę trojga dzieci i dobrze wykszoloną urzędniczkę. Unikając jej wzroku, poprosiłem, żeby od dziś zaprzestała udzielania jakichkolwiek informacji mojej małżonce, a w razie nalegań łączyła ją ze mną.

Ani drgnęła.

- Rozumiem, panie dyrektorze — powiedziała spokojnie, tak jakby chodziło o pozbycie się natrętnego interesanta. — Załatwię to.

- Dziękuję. I jeszcze: proszę nie mówić żonie, że w sobotę wyjeżdżam na urlop. W ogóle proszę nie wspominać jej o moim urlopie.

- Rozumiem, panie dyrektorze.

Wiedziałem, że nic nie rozumie i jest zaskoczona gwałtowną zmianą w moim traktowaniu małżonki, ale trzyma się żelaznej zasady, że niczego nie musi rozumieć, tylko wykonywać. Jeszcze raz doceniłem wygody, jakie uzyskałem wraz z tym fotelem.

Ostatnie dni spędziłem wyjątkowo spokojnie.

Dopiero w sobotę rano sekretarka powiadomiła Celinę, że wyjeżdżam służbowo do Wrocławia i proszę gospozię o spakowanie mojej walizki. Uprzedziła, że wstąpię do domu o drugiej, na obiad.

Celina była nieco mniej pewna siebie.

- Na długo wyjeżdżasz? — spytała przy stole.

- Nie wiem, to zależy od obrotu spraw na budowie.

- Ale mniej więcej?

- Chyba na dwa tygodnie — wyjąłem portfel. — Zostawiam trzy tysiące. Gdyby nie starczyło, masz przecież książeczkę czekową.

Widziałem, że je bez apetytu.

— Nie wrócisz na swoje urodziny? — podjęła.

A więc pamiętała tę datę, siódmego września.

- To nie ode mnie zależy. Wrócą, jeżeli będę mógł.

- Gdzie się zatrzymasz we Wrocławiu?

- Pewnie jak zwykle — w orbisowskim „Monopolu”.

- Przyślę ci życzenia.

- To miłe z twojej strony, będę wdzięczny.

- Jedziesz pociągiem?

- Tak. O czwartej z minutami.

Przybrała znów postawę skrzywdzonej niewinności, uzbrojonej w dumne milczenie. Co myślała i czuła naprawdę? Nie mam pojęcia.

Pani Maria zeszła z kierowcą na dół, zostaliśmy sami. Ucałowałem rękę Celinie i powiedziałem z nagłym porywem:

- Nie gniewaj się. W życiu człowieka różnie bywa, sama wiesz.

Nic nie odrzekła.

Nie pojechałem pociągiem, jak mówiłem Celinie. Wóz służbowy dostarczył mnie wprost do Iglic, nazajutrz kierowca odprowadził go z powrotem.

Wioska była prześliczna, zagubiona wśród szczytów górskich i przez turystów nie uczęszczana. Czas miał tu inny wymiar, płynął powoli, dostojnie, bez krzątaniny i nagłych spieć, więc wydawało się nam, że dni są dłuższe, pełniejsze.

Dobrze było żyć w tym rytmie zwolnionym, nie pytając siebie, co przyniesie jutro. Dawno już tak nie żyłem i przeczuwałem, że to będzie ostatnia podarowana mi radość.

Nie wysłałem oczywiście do domu mojego adresu i czułem się w bezpiecznym schronieniu. Los zazwyczaj uderza wtedy, kiedy nabieramy do niego ufności.

Po południu szóstego września Basia dostała telegram z domu, że ojciec jest umierający. Najbliższy pociąg z Jeleniej Góry do Wrocławia odchodził koło pół do ósmej, stamtąd miała nocny do Warszawy.

Wynająłem od sąsiada ciężarówkę i chciałem ją odprowadzić do Jeleniej. Nie zgodziła się, bo zaczęło gęsto padać,

wóz nie miał plandeki, a w szoferce bym się nie zmieścił.

- Zmkniesz — powiedziała. — Lepiej rozstańmy się tu, nie lubię długich pożegnań.

Rozstaliśmy się przed furtką. Uściskałem ją mocno i ucałowałem. Ciężarówka odjechała.

Stałem w deszczu i patrzyłem za nią, chociaż ściemniło się gwałtownie i wóz szybko znikł z oczu. Ruszyłem w tymże kierunku, wpatrując się w drogę. Było pół do siódmej.

Uszedłem zaledwie kilka kroków, kiedy ktoś z tyłu dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się i poprzez zawiesinę deszczu dojrzałem niewysoką postać w płaszczu z kapturem, przykrywającym twarz. Poznałem ją dopiero, kiedy przemówiła niskim, skrzeczącym głosem:

- Jednak odnalazłam cię. No widzisz, jest nam sądzone spędzić razem dzień twoich urodzin.

Zaśmiała się szczekliwie — to jej pozostało po dyfteryście.

...Im dalej, tym trudniej było mi snuć wspomnienia, natrafiałem na sprzeciw niemal fizyczny moich nerwów, mózgu, wyobraźni.

Stałem znów w korytarzu, wpatrując się beznadziejnie w czarną pustkę szyby. Za mną w przedziale dudnił niemłody kobiecy głos:

- Wiem, co mówię: dziś nikomu wierzyć nie wolne. Jeżdżę ja wte i wewte, napatrzyłam się na ludzi, ile razy siedziałam obok złodzieja albo jeszcze gorzej! Dziś trudno zgadnąć, co za człowiek, nawet jeżeli przyzwoicie ubrany. Ubranie, proszę państwa, nic dzisiaj nie znaczy...

Obejrzałem się: gruba pani pod sześćdziesiątkę, z wyglądu tutejsza badylarka, siedzi przy drzwiach, zżuła pantofle i oparła obrzękłe stopy o przeciwległą kanapę.

Staralem się nie słuchać, a jednak słyszałem, jak opowiadała zawiłą historię o kradzieży w pociągu, dokonanej przez jegomościa, wzbudzającego powszechne zaufanie.

- ... a nie mówiłam: nie brać pierścionka, nie kusić złodziejów! — zakończyła tryumfująco i zakrztusiła się, może z nadmiaru emocji.

Znudziło mnie nagle to gadanie. Poszedłem do bufetu. Był

już nieczynny, kelner spał na kanapie, zrzuciwszy fartuch na podłogę.

Obudziłem go i spytałem, czy ma jakiś alkohol. Wybałuszył na mnie oczy, a przypomniawszy sobie widocznie, jak zbeształem go za gadatliwość, postanowił, że ze mną lepiej żyć w zgodzie.

- Mam, proszę pana — powiedział tłumiąc ziewnięcie i drapiąc się w plecy. — To moja prywatna. Czysta.

- Proszę odsprzedać mi setkę.

Wyciągnął butelczynę z czerwoną kartką, nalał pół szklanki. Wypiłem, dałem mu dwudziestaka i wróciłem na miejsce w nieco lepszej formie.

A więc to była Celina. Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, pomyślałem, że ze względu na moich gospodarzy nie mogę wprowadzić jej do domu, w którym spędziłem tydzień z inną kobietą. Szliśmy szosą, oddalając się od mojego domu. Cieszyłem się w duchu, że za zasłoną deszczu i szybko gęstniejącego zmroku nikt nie może nas dostrzec.

Celina skręciła w boczną ścieżkę, która pieła się w górę. Weszliśmy w las porastający strome zbocze. Kroczyłem za nią w milczeniu, głowiąc się: skąd ona wytrzasnęła tutejszy adres?

Przed chwilą widziała, jak zęgnąłem Basię; jeżeli chodziło jej o zdobycie dowodu mojej zdrady, to już osiągnęła swój cel. Prawdopodobnie postanowiła wszcząć sprawę rozwodową, obciążając mnie winą — w takim wypadku może uzyskać znaczne materialne korzyści. Sprawa jej nagłego przyjazdu przestawała być tajemnicza.

Droga była śliska, potykałem się, ale Celina szła pewnym krokiem. Teraz, we wspomnieniu, uprzytomniłem sobie, że to ona wybierała kierunek. Dreptałem za nią jak baranek, czekając cierpliwie, żeby zaczęła rozmowę.

Kiedy byliśmy na wąskiej ścieżce, przystanęła nagle i powiedziała tym swoim schrypniętym, brzydkim głosem, który w złości brzmiał jak psi kaszel:

- Ty łajdaku, myślałeś, że mnie oszukasz?

Nie byłem przyzwyczajony do tego, że może tak się do mnie odzywać.

- Zostaw — powiedziałem ponuro. — Czy musimy być ordynarni?

- Łajdactwo to zawsze łajdactwo — orzekła tym swoim sen-tencjonalnym tonem, który u niej sygnalizował nieszczerłość.

- Wolę nazwać go po imieniu.

- Tylko że każdy z nas co innego nazywa łajdactwem — powiedziałem, hamując rosnące rozdrażnienie.

- Wykręty! — rzuciła ruszając dalej. — Znam się na twoich wykrętach.

Umilkliśmy, pokonując z wysiłkiem strome podejście. To nowe oblicze Celiny, przez kontrast z jej wyniosłą postawą przed moim wyjazdem, przerażało mnie i napawało niesmakiem.

Mój ty Boże, ile jeszcze niespodzianek sprawi mi ta kobieta, z którą przeżyłem rok, nie nauczywszy się jej rozumieć? Widziałem, wprost czułem, jak wzbiera w niej mściwa nienawiść.

-Gdzie idziemy? - spytałem.

- Zaraz zobaczysz.

Miałem już dość tej głupiej wspinaczki w deszczu. Stałem w miejscu i powiedziałem:

- To nie ma sensu. Możemy pomówić tu.

Zatrzymała się też, spojrziała na mnie uważnie spod ociekającego wodą kaptura, chciała najwyraźniej powiedzieć coś obraźliwego, lecz po prostu ruszyła dalej. Wbrew woli ruszyłem za nią, klnąc w duchu.

- Czarczi Żleb — powiedziała znienacka.

Zobaczyłem, że już jesteśmy na szczycie wzgórza, które kończy się od razu skarpą. Wystarczyło zrobić jeszcze dwa kroki, żeby zlecieć w dół.

- Akurat dobre dla nas — dodała z kpiną.

- Lubisz teatralną scenerię — mruknąłem.

Byłem zdyszany, mokry i zły. Nie znoszę zainscenizowanych sytuacji w życiu prywatnym.

Nie wiedzieć czemu, ta uwaga jakby zerwała tamę z jej nieprzytomnej złości.

- A lubię! — wrzasnęła. — Żebyś wiedział.

Zmroziło mnie błyskawiczne przeczucie, że zaczyna się coś, co jest możliwe tylko w złym śnie.

Przysunęła się do mnie. Ujrzałem z bliska jej twarz bladą, mokrą, wykrzywioną, z latającą szczęką. Górna warga skurczyła się, obnażając drobne, ostre zęby, jak w paszczy małej bestii. Zły sen. Zły sen.

„Sabat czarownic — zdążyłem pomyśleć. — Zaraz obryzga mnie śliną.”

Podniosłem rękę, by się osłonić, i w tejże chwili Celina lewą ręką chwyciła mój deszczowiec, a prawą z niespodziewaną siłą, jaką miewają wariaci w ataku furii, pchnęła mnie ku przepaści. Myślałem, że zaraz zlecę z lej przeklętej skarpy, ale ustałem na nogach.

- Puść! — krzyknąłem, próbując uskoczyć od niej.

Trzymała mnie mocno, zaciskając palce w desperackim wysiłku.

- Puść! — krzyknąłem znów, czując, jak moja noga ślizga się na mokrym kamieniu, próżno szukając oparcia.

Z całej siły ścisnąłem przegub jej lewej dłoni, aż syknęła z bólu i rozluźniła palce. Jednocześnie z rozmachem uderzyłem ją swoim ramieniem. Raz i drugi. Wyswobodziwszy się, uskoczyłem wreszcie jak najdalej w bok.

Przez gęsty deszcz, w zupełnym prawie już mroku widziałem jej sylwetkę nad brzegiem przepaści: chwiała się, rozrzucając ramiona, chwytając palcami pustkę i szeroko otwierając usta. Krzyczała.

Trwało to parę sekund, potem jej ciało z przerażającą szybkością zsunęło się na lewo, jakoś bokiem, niczym spadająca torpeda — i już nic nie majaczyło przede mną na skale.

Jej krzyk nieprzytomny wświdrował się w powietrze, jak alarmowa syrena, i urwał na najwyższej nucie. Słyszałem jeszcze łoskot spadających kamieni. Potem wydało mi się, że nastąpiła śmiertelna cisza, choć deszcz nadal chlapał o skały. Byłem sam.

Minęła długa chwila, zanim przemogłem się i zbliżyłem

do krawędzi urwiska. Ukłakłem na twardym, nierównym kamieniu, zająrzałem w mokrą czerń, przypominającą ginący gdzieś w mroku kocioł bez dna.

- Celina! Celina! Celina! — wołałem.

Nasłuchiwałem chwilkę, potem znów wołałem i znów nasłuchiwałem. To nie miało sensu, ale nie mogłem przestać. W końcu już nie krzyczałem, tylko trwałem na klęczkach, pochyliwszy twarz nad czarną pustką.

Ocknąłem się, poczuwszy ukłucie wstydu, jak pod czyimś szyderczym spojrzeniem. Nie było oczywiście nikogo, to moja wyobraźnia uraczyła mnie takim obrazkiem: mężczyzna w pozie czatującego psa, w ulewnym deszczu, nie może oderwać się od miejsca, gdzie go uwiązano na łańcuchu.

Wstałem, przepelniony uczuciem wstrętu do siebie, do Celiny, do wszystkiego, co tu się stało. Strzepnąłem ze spodni grudki błota, i odruchowo sięgnąłem po chustkę, by otrzeć palce. Nie wsadziłem mokrej dłoni do kieszeni, po prostu umyłem ręce pod deszczem, jak pod kranem w łazience.

- Cholera! Doigrała się — mruknąłem pod nosem.

Nie odchodziłem jednak. Jeszcze nie oswoiłem się ze świadomością, że nigdy już nie zobaczę Celiny żywej. Podobnie jak w Paryżu, kiedy Marta oświadczyła, że mnie opuszcza, w ciągu paru minut przeżyłem i przemyślałem niewiarogodnie dużo. Takie pojemne minuty zdarzają się tylko w złej godzinie.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Celina od samego początku była mi zawadą — od chwili, kiedy na korytarzu biurowca usłyszałem jej głos i uległem fascynacji słuchowej. Weszła do mojego życia jak skrawek obcej tkanki, która nie może zrosnąć się z moją własną; taką pozostała do końca.

Ta jej niemożność wrośnięcia w to, co było moim życiem, sprawiała mi wielką niewygodę (chyba tak: niewygodę, a nie cierpienie). Godziłem się z tym, rad bym zapłacić każdą cenę za swoją fascynację, której była sprawczynią.

No i tak już szło: rosła moja zależność, rosła i cena, którą zgadzałem się płacić. Niewygoda się nie liczyła, nawet nie

byłem jej świadom. Żyłem w świecie ułudy, jak mawiają poeci; nie mogłem przecież tam zostać. Za próby łamania praw życia, śmierci, zdrowego rozsądku — teraz mi przyszło zapłacić. A raczej Celinie.

Ciekaw jestem, pytałem siebie:, jak długo mogło jeszcze trwać sztuczne współistnienie dwu obcych sobie istot, oparte (z mojej przynajmniej strony) na nadużyciu zaufania partnera?

Trudno powiedzieć, skoro naturalny bieg wypadków został przerwany przez chorobę Celine i, w następstwie, zeszpecenie jej głosu. Fakt sam w sobie nic nie znaczący, więc jego wpływ niszczycielski na nasze współzycie jest śmiesznym i głupim nonsensem. Czy wolałbym w tej chwili, żeby fakt ten nie zaistniał? Żeby Celina nadal mówiła głosem Marty, utrzymując mnie w fascynacji?

Nie wiem.

Diabelnie chciało mi się zapalić, lecz nie było sposobu: ani drzewka na łysym szczycie, ani wgłębienia, gdzie by można się ukryć na parę sekund i przytknąć ogień do papierosa. Nie mogłem też odejść, tak jakbym miał jeszcze jakiś obrządek do spełnienia.

Pokonałem głód tytoniu, snułem dalej swe rozważania.

Przed zeszpeceniem swojego głosu była Celina moją nieuświadomioną niewygodą, potem stała się jawną. Przeszkadzała mi coraz bardziej. Najchętniej bym od niej uciekł, jak uleczony narkoman ucieka przed dawnym nałogiem. I tak właśnie należało postąpić, rzucając wszystko na jej korzyść.

Zabrakło mi odwagi i przekonania. Stosowałem półśrodki, jak wysłanie Celine nad morze czy mój wyjazd bez niej na urlop. Paliatywy, rozwiązania tymczasowe, na krótką metę. Chowanie głowy w piasek, jak zwykle — nieskuteczne.

I oto stoję tu, w miejscu jej zgonu, zadając sobie różne bezsensowne pytania. Zwłaszcza jedno mnie draży: jak to się staje, że jakiś człowiek zaczyna tak bardzo przeszkadzać drugiemu, że ten drugi decyduje się na zbrodnię, aby się go pozbyć?

Do jakiego nasilenia musi dojść nienawiść do przeszkody

(to więcej niż niewygoda!), żeby przesłonić wszystkie inne uczucia i względy, nawet wzgląd na własne bezpieczeństwo?

Czy nienawidziłem już Celinę w ten sposób?

Na Boga, nie! Nigdy, ani przez jedną chwilkę nie życzyłem jej śmierci, nawet w przystępie złości, jakie zdarzały mi się ostatnio. Pragnąłem jedynie, żeby przestała istnieć obok mnie, niby związana ze mną, a właściwie zupełnie obca, nie lubiana, nie rozumiana, nie kochająca.

Pragnąłem, bardzo pragnąłem, żeby ta nedorzecznosc się skończyła. Jak? Tego nie wiedziałem. Prawdę mówiąc, nie zacząłem nawet szukać radykalnego wyjścia.

Gdyby nienawiść bierna, nienawiść hodowana w podświadomości lub w myśli mogła zabijać — ilość ludzi żyjących zmalałaby w skali przerażającej. Jednakże od życzeń morderczych do powzięcia decyzji mordu daleko, a jeszcze dalej — do jej realizacji. Zwłaszcza do wykonania mordu trzeba, jak sądzę, sytuacji zupełnie wyjątkowej, stanu psychicznego absolutnie niezwykłego: czegoś w rodzaju szału zniszczenia.

Nie śmiałem sobie zadać ostatniego pytania, ale bez słów pojąłem, że mógłbym kiedyś dojść do takiego stanu — gdyby przeciąganie moich z Celiną stosunków zapędziło mnie w ślepy zaułek. Za rok, za dwa czy za kilka lat.

Wzdrygnąłem się z zimna.

Myślałem: nie wiem, po co ona wyciągnęła mnie na tę wariacka przechadzkę, po co zaprowadziła na ten piekielny żleb, czego w ogóle chciała ode mnie. Jakkolwiek było, wyszła moim nieuświadomionym pragnieniom naprzeciw.

- Jestem wolny — powiedziałem sobie, ujmując w te słowa istotę rzeczy.

To zabrzmiało w moim mózgu jak abstrakcyjne twierdzenie. Powtórzyłem, chcąc przeżyć sens tych słów:

- Jestem wolny.

Było mi wciąż zimno, nie odczułem ulgi.

Wtedy, jak automat, wykonałem tenże ruch ramieniem, jakby ponownie spychając kobietę z krawędzi. Znów poczułem opór jej barku, znów usłyszałem krzyk przestachu,

potem łoskot spadających kamieni. Pojąłem wreszcie, że ją zabiłem.

- Jestem wolny — powiedziałem po raz trzeci, z całym rozeznaniami, co to dla mnie oznacza.

Dopiero wtedy przyszło zawstydzenie, że tak o tym myślę — jak doświadczony, zimny, pospolity morderca.

A przecież nie chciałem jej zabić.

Nie wiem, kiedy i jak wróciłem do domu. Zgubiłem, zdaje się, drogę i długo błądziłem. Byłem zmoknięty do ostatniej nitki, trzęsa mną febra.

W domu nie paliły się już światła, gospodarze dawno spali. Po omacku dobrnąłem do swojego pokoju i zwałem się na łóżko, zrzucając na podłogę mokrą odzież.

Nie mogłem zasnąć ani się rozgrzać. Przyciskałem dłonią usta, żeby ściszyć dzwoniące zębów — bałem się, że zaraz obudzę wszystkich. Strzępy myśli, obrazów, wspomnień tańczyły wściekle w mojej mózgowicy, wypełniając ją wrzaskiem i bólem.

Pamiętam: kilka razy zrywałem się z łóżka, chciałem biec, czym prędzej uciec stąd — byle gdzie, na oślep. Nie mogłem ustać na nogach, padałem z powrotem, jakiś ciężar wgniatał mnie w materac, miotałem się bezradnie na zmiętym, mokrym od potu posłaniu. Nad ranem ogłuszył mnie sen czarny i nieprzejrany, jak zapadnia Czarciego Żlebu.

Ocknąłem się po dziewiątej. Spakowałem rzeczy, zapłaciłem gospodarzom za pobyt do końca września. Kiwali z wyrozumieniem głową:

— No tak, pogoda się psuje i kobita odjechała.

Odjechałem i ja tą samą ciężarówką, co Basia.

Najbliższy pociąg odchodził z Jeleniej Góry do Wrocławia o jedenastej trzydzieści osiem. Stałem przy oknie, powtarzając w myśli: „Zabiłem Celinę...”

W Warszawie byłem dopiero o pierwszej w nocy. Tu, jak widać, nie padało, rozprażony asfalt jeszcze wydzieliał fale gorąca. Wsiadłem do taksówki i wkrótce znalazłem się w domu.

Stałem w przedpokoju z walizką przy nodze jak z czujnym

psem. Namacałem kontakt, lecz nie nacisnąłem. W ciemności nasłuchiwałem ciszy i rosnącego we mnie uczucia lęku.

Coś nieznanego a potwornego zaczęło się w kątach pustego mieszkania — może mściwy cień Celiny, a może męka, która miała odtąd towarzyszyć mi wierniej niż zmarła żona.

Stojąc tak z palcem na kontakcie, przez krótką chwilę ulegałem złudzeniu, że — jak tyle już razy! — raptem się obudzę z ponurej zmory.

Nie obudziłem się, tym razem to nie było możliwe, zmora przemieniła się w rzeczywistość.

U LEKARZA

Poniedziałek 15 września roku 1969 był dniem ciężkim, bo wietrznym i zmiennym. O świcie zanosiło się na burzę, potem wyrzało słońce ziejąc gwałtownym żarem, potem znów zaczęły gromadzić się chmury i gdzieś tam dały się słyszeć grzmoty. W południe sytuacja wciąż jeszcze była nie wyjaśniona.

Na przystanek Tworki Warszawskiej Kolei Dojazdowej przybył pociąg z Warszawy i odjechał, zostawiając na jezdni nieliczną gromadkę pasażerów, którzy rozeszli się w różnych kierunkach. Jeden tylko zatrzymał się i rozglądał z niepewną miną – wysoki, chudy pan w garniturze z szarego tergalu. Był to mężczyzna może czterdziestoletni o krótko przystrzyżonych ciemnych włosach, śniadej twarzy i bardzo niebieskich oczach.

- Przepraszam – powiedział podchodząc do kiosku Ruchu – gdzie znajduje się Zakład Psychoneurologii?

- Za panem – rzuciła zwięźle kioskarka.

Obejrzał się i zobaczył po przeciwnej stronie torów szeroko otwartą żelazną bramę. Wyglądała gościnnie, może nawet zbyt gościnnie, zważywszy, że nie każdy, kto tu wchodził, mógł swobodnie opuścić teren, gdzie mieścił się między innymi szpital dla obłąkanych. O tym właśnie pomyślał samotny pasażer, mijając strażnika, który dyskretnie krył się w swej budzie przy bramie

Wśród drzew widać było liczne budynki – administracyjne, zabiegowe, lecznicze. Jeszcze w dziewiętnastym wieku wznoszono te domy niewielkie i przysadziste, najwyżej dwupiętrowe, z czerwonej cegły lub otynkowane. Całość mogłaby sprawiać wrażenie zwykłego obiektu szpitalnego starej daty, gdyby nie zakratowane okna w niektórych pawilonach, co je upodabniało raczej do gmachów więziennych.

Zwiedzający po raz pierwszy słynne podwarszawskie Tworki najczęściej zapominają, że szpital psychiatryczny stanowi tu

tylko część kombinatu leczniczego różnych specjalności, jak interna, neurologia itd. W każdym napotkanym chorym — czy to będzie kobieta w szlafroku, czy mężczyzna w piżamie — widzą „wariata”, natychmiast odczuwają przestrach i chęć ucieczki. Zwłaszcza ludzie nerwowi nie umieją ukryć tych swoich odruchów

Fan w garniturze z tergalu szedł powoli główną aleją, patrząc na chodnik z takim skupieniem, jak gdyby był geometrą sporządzającym mapę terenu. Nieomal natknął się na dozorcę z miotłą, przeprosił i zapytał, gdzie się mieści Zakład Psychoneurologii.

- Pójdzie pan prosto do trzeciego skrzyżowania, potem skręci na prawo, potem zapyta kogoś, to już będzie niedaleko.

Na skrzyżowaniu musiał przepuścić fotel na kółkach popychany przez dwie sanitariuszki. Siedziała w nim bardzo stara kobieta w przykrótkim szlafroku, spod którego zwisały patykowate nogi w opadających pończochach. Twarz kobiety nie wyrażała nic prócz zupełnego znużenia, wracała pewnie po jakimś zabiegu. Sanitariuszki terkotały wesoło, tak jakby wiozły worek z bielizną, a dopchawszy fotel do pawilonu z zakratowanymi oknami, zniknęły w czeluściach korytarza wraz ze swoim ładunkiem.

Przybysz skręcił na prawo i przyśpieszył kroku.

Oto pawilon bez krat, lecz ogrodzony ze wszystkich stron wysoką metalową siatką. Chorzy w piżamach przechadzają się w ogródku, siedzą lub leżą na ławkach. Na ganku pielęgniarka robi na drutach, ścieg widocznie jest skomplikowany, bo zatrzymuje się często i porusza wargami, liczy oczka. Obrazek niby pogodny, ale coś w nim budzi niepokój. Dlaczego nikt z nikim nie rozmawia, dlaczego nad ogródkiem zawisła taka dławiąca cisza? Zdaje się, że zaraz ktoś nie wytrzyma, zerwie się jak z łańcucha, wrzaśnie z całych sił, a wtedy wszyscy zawyją dziko...

- Nerwy — szepce pan o niebieskich oczach i biegnie naprzód, straciwszy kierunek. — Nerwy.

Przed nim polana usłana zeszlými liśćmi. Kilkunastu, ludzi

w szpitalnej odzieży zbiera suche rośliny do koszyków, układa w wysokie sterty. Z dala przygląda się tym czynnościom pielęgniarz w białym fartuchu. W tej zbiorowej pracy też jest coś niepokojącego: brak wspólnego rytmu i zgodności ruchów, każdy działa jak w uśpieniu, śniąc swój własny odrębny sen. Ci także milczą. Może tu obowiązuje niepisany zakaz rozmowy? A może milczenie jest najpewniejszą więzią porozumienia przy tym rodzaju nieszczęścia?

Młoda, starannie uczesana kobieta z bladą twarzą, przytrzymując dworskim gestem szlafrok niczym suknię balową, schyla się bez pośpiechu, podnosi jeden jedyny listek, niesie go starannie do sterty, rozluźnia palce i patrzy, patrzy jak żółty płatek wiruje w powietrzu i opada powoli; wraca potem na środek polany po następnym listku. Ma zwolnione ruchy nurka pokonującego opór masy wodnej. Mijając obcego człowieka na ścieżce, zawadza o niego pustym, -nic nie widzącym wzrokiem. Ten zrywa sir; i ucieka, aż zdyszany opada na kamienną ławkę w bezludnej alejce. Tam zapala drżącymi palcami playera.

- Nerwy — szeptce znów. — Wszystko to nerwy.

Wypaliwszy papierosa idzie dalej pewniejszym już krokiem, rozglądając się za kimkolwiek, kto by mógł wskazać mu drogę. Dostrzega barwną sukienkę między drzewami, śpieszy tam.

Młoda para siedzi na ławce pod dębem. Chłopak w pi-dżamie, oparłszy głowę o gruby pień, utkwil wzrok w niebie i jakby skamieniał. Dziewczyna coś mówi do niego głaszcząc jego-dłoń, ale on jej pewnie nie słyszy; dziewczyna milknie, potem wydaje krótki szloch i przyciska twarz do jego ramienia. Zastygają oboje w bezruchu, tylko przez plecy dziewczyny przebiega drobniutki dreszcz.

Uciec od nich! Pan w tergalu znów biegnie, przystaje przy głównej alei, znów się rozgląda. Twarz mu pobladła.

- Proszę pani — zwraca się do mijającej go pielęgniarce — czy jeszcze daleko do Zakładu Psychoneurologii?

- To zupełnie w innej stronie, musi pan zawrócić. Tu pawilon sądowy.

- Sądowy? — powtarza i patrzy na biały gmach.

Dom aż po kraty górnego piętra jest zasłonięty kamiennym murem z drutem kolczastym na wierzchu.

- Po co tu pawilon sądowy? — pyta.

- Tu siedzą zbrodniarze — wyjaśnia obojętnie kobieta.

- Dlaczego nie w więzieniu?

- Z więzienia przywożą ich tu na badania, czy ktoś jest niepoczytalny, a może tylko udaje. Wie pan, jak to bywa.

Tak, naturalnie... A dalej co z nimi robią?

- Symulantów zabierają z powrotem, a chorych zostawiają u nas na leczeniu. Różnie. Gdzie pan idzie? Mówiłam, że Neurologia w tamtej stronie, a tą alejką trzeba do wyjścia.

- Dziękuję... Jest już późno, wrócę chyba jutro.

- Pan do szpitala czy do przychodni?

- Nie wiem. Szukam doktora Gellerta.

- Ma pan szczęście, idzie tu jego asystentka. Ten pan do pana doktora — zwraca się do nadchodzącej lekarki.

- Pan ze skierowaniem od rejonowego psychiatry? — pyta asystentka, taksując nieznanego spojrzeniem.

- Nnnnie... Ja właściwie w prywatnej sprawie.

- Proszę ze mną. Przyjmowanie chorych się skończyło, ale doktor Gellert jest jeszcze w swoim gabinecie.

Pan w tergalu z widowym przymusem zawraca i kroczy obok lekarki. Poznaje z daleka polanę z ekipą chorych zbierających zeschnięte liście. Pracują dalej.

- Po co oni to robią? — pyta.

- To tak zwana terapia pracą, jeden ze środków leczniczych.

- Pomaga?

- Nawet bardzo, ale nie wszystkim. To zależy od typu schorzenia.

Mijają ławkę, na której siedzi młoda para w tej samej, nie zmienionej pozycji: on z głową opartą o drzewo, ona wtulona kurczowo w jego ramię.

- Ten nie podlega chyba terapii pracą? — pyta niebieskooki pan, kiedy ławka zostaje daleko w tyle.

- W jego wypadku to nie jest wskazane. Ma organiczne uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego. Pan zwiedzał nasz park?

- Tak.

- Prawda, że ładny?

- Bardzo. Chciałbym zapytać... o ile to nie jest tajemnicą, czy dużo ludzi siedzi w pawilonie sądowym?

- Obecnie niedużo, najwyżej dziesięciu. Czasem mamy tam przepełnienie, brakuje miejsc. Poddajemy badaniom przestępców, u których występują objawy jakiejś choroby umysłowej.

- Czy stosuje się ściśle metody badań?

- Takie, na jakie pozwala współczesny poziom medycyny. Pana to interesuje zawodowo?

- W pewnym sensie tak.

- Jesteśmy już na miejscu.

Schludny piętrowy dom z kwietnikiem po obu stronach ganku, łagodne schodki, niska sień. W szerokim jasnym korytarzu za Oszklonymi drzwiami siostra dyżurna wstaje od biurka z jakimś papierkiem w ręku, wychodzi do asystentki:

- Pani doktor, apteka przysłała leki, ale nie wszystkie. Czy mam pokwitować odbiór?

- Zaraz tym się zajmę, siostrzo, tylko zaprowadzę pana do doktora Gellerta. Jest u siebie?

- Tak, proszę pani.

Idą bocznym korytarzem, lekarka wchodzi do gabinetu ordynatora, zostawiając przybysza sam na sam z rzędem pustych krzeseł. Naokoło nie ma żywego ducha. Lśni woskowane linoleum na podłodze, pachnie świeżą olejną farbą, niewysoki sufit i ciemne odrzwia przywołują jakieś dalekie wspomnienia, może z dzieciństwa — wizyta u lekarza w klinice prowincjonalnej.

- Doktor prosi pana — mówi asystentka wychodząc, kiwa mu przyjaźnie głową na pożegnanie i oddala się energicznym krokiem.

Mimowolna, bardzo krótka chwila wahania — i gość przekroczył próg gabinetu. Siedzący przy biurku mężczyzna w

białym płaszczu wstał wyciągając dłoń:

- Gellert.
- Zborowski.
- Proszę — doktor wskazał krzesło.

Siedzieli rozdzieleni biurkiem i przyglądali się sobie ukradkowym spojrzeniem.

Gość widział twarz zmęczonego człowieka, który pewnie nie ukończył jeszcze czterdziestki, a wyglądał starzej. Gęste szarawo-blond włosy zaczęły już rzednąć po bokach wysokiego czoła, kreśląc dwie małe zatoczki, piwne oczy patrzyły smętnie, jak po świeżym zmartwieniu. Cera była żółtawa niczym u wątrobiarza, łagodny zarys policzków zawężał się ostro przy spiczastym podbródku, blade usta układały się w linię niezdecydowaną, a przydługie, na samym czubku zadarty nos stanowił pointę nieoczekiwaną i nieco komiczną.

Doktor widział przed sobą eleganckiego mężczyznę w sile wieku z czerstwą, mocno opaloną twarzą, zniszczoną obecnie przez jakieś przeżycia i powleczonej szarością niewyspania. Rzadkie błyski siwizny w czarnych włosach, rysy niespecjalnie ładne, ale wyraziste, desperacki upór w układzie zaciśniętych ust i niemal popłoch w jaskrawo niebieskich oczach.

Tak sformułował doktor swoje pierwsze wrażenie, porządkując papiery na biurku. Gość tymczasem popadł w zadumę. Siedział zgarbiony, zwiesiwszy nisko swoją szczeciniastą głowę i wbiwszy spojrzenie w podłogę. Lewą dłoń położył na kolanie, prawą oparł się o brzeź? siołu i automatycznie postukiwał palcami o blat, może do taktu melodii, która brzmiała mu w uszach. Drgnął usłyszawszy pytanie:

- Czy pan po raz pierwszy zwraca się do psychiatry?

Potarł dwoma palcami nasadę nosa i odrzekł po namyśle:

- Tak.
- Potrzebuje pan rady lekarskiej?

Znów zastanowił się, zanim oświadczył:

- Panie doktorze, będę zupełnie szczery. Potrzebuję nie tyle rady lekarskiej, co... Nie jestem chory.

Doktor był przyzwyczajony do podobnych oświadczeń, zwłaszcza przy ciężkich schorzeniach. Z zawodowego nawyku udał zaskoczenie:

- W takim razie czym mogę służyć?

Jasne oczy wpatrywały się w niego z niesłabnącym napięciem:

- Czy to prawda, że pan jest doktorem Gellertem?

- Prawda.

- Na pewno?

- Z całą pewnością.

- A więc: doktor Leszek Gellert, ordynator w Tworkach?

- Czy mam okazać legitymację służbową?

Nawet się nie uśmiechnął, odpowiedział po prostu:

- Przepraszam.

Jego oczy zniemacka straciły wyraz, tak jakby przestał cokolwiek widzieć i słyszeć, pogrążony w swoich myślach. Doktor cierpliwie go obserwował, nie przerywając milczenia.

- Dużo o panu słyszałem, panie doktorze — odezwał się nagle. — Jest pan znanym psychiatrą, lecz nie to jest dla mnie ważne. Współpracuje pan z milicją stołeczną jako rzeczoznawca w swojej dziedzinie, to też bez większego znaczenia. Ale wiem, że trzy lata temu zainteresował się pan zawiłą sprawą kryminalną, którą prowadził pewien kapitan; przejął pan jego funkcje i skutecznie wykrył mordercę.

Po twarzy Gellerta przemknął cień.

- Wątpię, żeby to miało jakikolwiek związek z pańską sprawą — powiedział odrobinę ostrzej, niż zamierzał. — Jeżeli pan ma do mnie interes, bardzo bym prosił przystąpić do rzeczy.

- Właśnie to robię, doktorze. Chcę tylko najpierw wyjaśnić, dlaczego nabrałem do pana tak ogromnego zaufania, że nikomu innemu nie powierzyłbym mojej tajemnicy. Bo mam tajemnicę, wie pan...

Automatycznie wyciągnął do Gellerta paczkę player- sów, ten odmówił i zapalił ekstra-mocnego. Zborowski też zapalił i zapatrzony w smużki dymu podjął:

- Wiem, że tamta sprawa była debiutem, że potem jeszcze nieraz wciągano pana do rozwikłania trudnych zagadnień i to bynajmniej nie w charakterze biegłego lekarza. Mówili mi, że zasłynął pan w Komendzie Głównej jako detektyw z nerwem, z wyczuciem, z pasją...

- Proszę pana — przerwał mu doktor, nie kryjąc już irytacji — sprawy kryminalne omawiam wyłącznie w Komendzie, my zaś rozmawiamy w szpitalu. Może zechciałby pan trzymać się ściślej tematu?

- Przepraszam. Powiedziano mi, że pan nie jest formalistą.

Zapadło milczenie.

- Kto podał panu tę... informację? — odezwał się Gellert nieco łagodniej.

- Czy to nie wszystko jedno? Osoba, która pana dobrze zna i której nazwiska wolałbym na razie nie wymieniać. A zresztą... już to, że pan przyjął mnie bez żadnego skierowania i polecenia, potwierdza, że pan nie trzyma się formalnych przepisów.

- I pewnie źle robię — uśmiechnął się pojednawczo Gellert. — Mówiąc otwarcie, nie lubię, kiedy przypinają mi łątkę detektywa, chcąc tym sprawić przyjemność.

- Nie chodzi o pańską przyjemność! — zawołał Zborowski. — Może mi pan wierzyć, że najmniej o tym myślałem. Chciałbym omówić z panem moją osobistą sprawę, bardzo przykrą, nawet więcej niż przykrą: obawiam się, że kryminalną.

Gellert bystro spojrział na niego, powstrzymał się jednak od repliki.

- Dlatego tu przyjechałem, doktorze. Tak się złożyło, że do nikogo nie mam dziś zaufania, nawet do siebie... Musi pan mnie wysłuchać.

- Słucham pana.

Uzyskawszy zgodę lekarza, gość jakby się speszył. Ponownie popadł w głęboką zadumę, najwyraźniej zapominając, gdzie się znajduje. Znow siedział zgarbiony, zwiesiwszy głowę i wbiwszy oczy w podłogę. Tak upłynęło sporo czasu, wreszcie

westchnął i rzekł ze znużeniem, jakby wracając z dalekiego świata:

- Zapewniano mnie, że mogę mieć do pana absolutne zaufanie. Czy tak?

- Przypuszczam, że tak.

- Bo, widzi pan, moja sprawa jest... dosyć dziwna.

- Zwykle wszystkim wydaje się, że przeżywają rzeczy niezwykle.

- Możliwe, ale ja dotychczas nie myślałem, że moje przeżycia są dziwne. Na odwrót. Myliłem się prawdopodobnie... na pewno się myliłem.

Robił teraz małe pauzy w środku zdań, jakby pod presją włączanych nagle hamulców.

- W każdym razie — podjął z naciskiem — zależy mi bardzo na pańskiej dyskrecji... zwłaszcza na dyskrecji.

- Nie wiem, czy zdołam być panu pomocny, ale dyskrecję mogę zagwarantować z całą pewnością.

- Dziękuję. To dla mnie bardzo ważne. Chciałbym to wszystko rozwikłać, a sam nie potrafię.

Urwał, spochmurniał, nagle uśmiechnął się, po czym popadł w jeszcze większą ponurość. Gellert, kręcąc w palcach pudełko zapalek, ukradkiem śledził tę grę jego twarzy.

- Powiedziałem na początku, panie doktorze, że nie jestem właściwie chory. Skłamałem, to wcale nie jest takie pewne. Dręczy mnie ostatnio jeden problem... problem moralny. Otóż nie wiem, czy ten problem istnieje naprawdę, czy może tylko... w mojej wyobraźni. To się zdarza, prawda? I chyba posiada jakąś uczoną nazwę? Zresztą, nieważne.

Przez chmury przebił się ostry promień słoneczny i uderzył go wprost w oczy. Zmrużył powieki, zaczerwienione jak po płaczu czy długiej bezsenności, i odsunął się wraz z krzesłem od okna. Doktor palił w milczeniu.

- Przepraszam, że zabieram panu tyle czasu, doktorze... Doprawdy nie wiem, od czego zacząć.

- Od czego bądźź. Ludzie biegli w piśmie i w mowie twierdzą, że najtrudniejszy jest zawsze początek. A więc nie

warto nad nim się głowić, bo rzadko komu udaje się zacząć ładnie.

- Racja, racja... A jednak to nie takie proste...

Parsknął urywanym śmiechem, przy tym błysnął mu w oku ogień wesołości, tak dziwnie nie pasujący do jego stanu i nastroju.

- „To nie jest takie proste” — wyrecytował z ironiczną powagą. — Ulubione powiedzonko mojego szefa, człowieka bez krzty humoru. Zawsze to mówi, kiedy zupełnie nie wie, co mógłby powiedzieć innego. Co do mnie, trudność, rozumie pan, polega na tym... a przynajmniej wydaje mi się, że na tym polega... słowem, nie wiem, czy ten problem rzeczywiście istnieje. Głupia sytuacja, prawda?

- Niejednemu już się zdarzyła.

- Słaba pociecha. A z drugiej strony, wiem, i to już bez cienia wątpliwości, że nie jestem w porządku. Jestem nawet grubo nie w porządku!

Zerwał się z krzesła, nie pytając o pozwolenie zsunął zasłony i usiadł z powrotem.

- Bardzo przepraszam, oczy mnie bołą. Pan jest bardzo cierpliwy, panie doktorze, już przechodzę do sedna. Tylko najpierw jeszcze pytanie... Przypuśćmy, że cały mój problem jest fikcją, owocem chorej wyobraźni lub, jeszcze lepiej, chorego sumienia... bo i taka rzecz istnieje, prawda? Powiem bez osłonek: możliwe, że jestem wariatem. Czy w takim razie pan od razu mnie tutaj zatrzyma?

- Wykluczone. Mógłbym pana zatrzymać w jednym jedynym wypadku: gdyby pan sam tego się domagał.

- Ewentualność, szczerze powiedziawszy, bardzo wątpliwa. W każdym razie dziękuję za zapewnienie, że nie grozi mi przymus. Pan rzeczywiście nie jest formalistą.

- Przeciwnie, w tym wypadku trzymam się ściśle naszych przepisów. Póki człowiek jest w stanie zdecydować o swoim leczeniu, nie narzucamy mu naszych metod, które wtedy są najskuteczniejsze, kiedy chory poddaje się im dobrowolnie, z całym do nas zaufaniem. Wyjaśniam to teoretycznie, bo w planie praktycznym nie przewiduję w pańskim przypadku

potrzeby leczenia.

- Nawet w pawilonie sądowym?

- Nawet. Do tego pawilonu trafiają ludzie podejrzani o zbrodnię, na prośbę własną, a częściej na wniosek sądu.

- I pewnie za zgodą psychiatry, takiego jak pan?

- Owszem, taka zgoda jest konieczna.

- A co ich czeka, kiedy uznajecie ich za... jak to się mówi fachowo... niepoczytalnych?

— Zależy. Niekiedy sąd obniża im karę, a niekiedy przekazuje nam na leczenie. Czy pana ktoś oskarżył o zbrodnię?

- Do niedawna sam oskarżałem siebie o popełnienie morderstwa. Ale teraz zaszły nowe okoliczności, które wszystko stawiają pod znakiem zapytania.

- Okoliczności dla pana szczęśliwe?

- Nie wiem, czy nie wolałbym pozostać mordercą. Widzi pan... to naprawdę nie jest takie proste.

Miętosił nie zapalonego papierosa, aż mu się skruszył w palcach. Podniósł na doktora nieśmiałe spojrzenie:

- Ja rozumiem, że to nieprzyzwoitość z mojej strony tak zwlekać... Oderwałem pana od ważnych zajęć... narzuciłem się ze swoją sprawą... I...

Zacisnął w garści resztki tytoniu i zniecka zerwał się na równe nogi.

- Dosyć już... Pójdę... Przepraszam.

Gellert też wstał, nalał z karafki szklankę wody i bez słowa podał Zborowskiemu. Ten wypił i opadł na krzesło.

- Pan jest po prostu wyczerpany brakiem snu — powiedział lekarz. — Czy przyjmował pan ostatnio dużo proszków nasennych?

- Nie. A może tak. Gospościa dawała mi jakieś pigułki. Właściwie od tygodnia nie spałem jak człowiek.

- Dam panu dobry i nieszkodliwy środek, nie warto doprowadzać się do takiego stanu. Możemy umówić się na jakiś inny dzień, o ile pan nadal chce naradzić się ze mną.

- Wolałbym dziś, panie doktorze! Już mi lepiej. Proszę wybaczyć to rozhisteryzowanie. Słowo daję, zazwyczaj nie

histeryzuję.

- Wierzę panu. Może i pan mi uwierzyć, że każdy człowiek normalny miewa takie chwile rozchwiania, niezgodne ze stałym jego usposobieniem.

Zapalili.

- Żebym tylko wiedział, od czego zacząć...

- Radziłbym, jak w dobrych staroświeckich powieściach: „Urodziłem się...” Bo tego każdy jest mniej więcej pewien.

- Dobrze. Urodziłem się czterdzieści lat temu. W zeszłym tygodniu, dokładniej siódmego września, miałem urodziny. Dzień ten spędziłem w podróży, wracałem z Dolnego Śląska do Warszawy. Sam.

Byłem wzburzony... Nie. Byłem zamroczony. Zupełnie jakby mnie ktoś zdzielił maczugą w głowę. Ale byłem właściwie zdrow, nic mi się nie stało. To ona... to jej... No, krótko mówiąc, poprzedniego wieczora zepchnąłem w przepaść moją żonę.

Od kilku minut trwało milczenie.

Opowieść Zborowskiego zajęła całą godzinę. Mówił bezładnie, z gorączkowym pośpiechem, przeskakiwał z tematu na temat, gubił ważne ogniwa, to znów powracał do błahych szczegółów i nie mógł się z nimi uporać. Doktor nie przerywał mu i nie zadawał pytań, żeby go nie płoszyć. Teraz też czekał cierpliwie, aż gość znów się odezwie.

Podjął wreszcie:

- Pociąg strasznie się spóźnił... o tym już wiele razy mówiłem. Była pierwsza, kiedy dojechałem do domu. Dobrze, że dostałem taksówkę, gdyby nie to... A potem, w pustym i ciemnym mieszkaniu... w moim mieszkaniu, w którym znam każdy kąt... zniecka się przeraziłem, nie wiadomo czego. Jakież to wstrętne! — wykrzyknął z nagłą irytacją. — Nic mi nie ulżyło, wciąż nie rozumiem, jak i dlaczego to wszystko się stało...

Zamknął oczy i przechylił się w krzesło na bok, jak worek gotowy spaść na podłogę.

- W tej chwili pan jest zanadto zmęczony — orzekł Gellert i wstał od biurka. — Odłóżmy to. Opisał pan wypadki

sprzed tygodnia. Czy potem zdarzyło się jeszcze coś równie ważnego?

Właśnie wczoraj zdarzyła się ta... okoliczność, o której wspomniałem. Ale nie mam sił opowiadać

- Zrobmy przerwę. Teraz muszę pójść do pawilonu szpitalnego na obchód, to potrwa ze dwie godziny. Radzę poczekać tu, na tej kanapie, jest dość wygodna. Dam panu valium, może pan się zdrzemnąć. Zgodza?

Kiwnął głową, już prawie spał.

Połknął posłusznie tabletkę, wyciągnął się na kanapie i zasnął natychmiast kamiennym snem.

Spał jeszcze, kiedy Gellert wrócił z obchodu.

Przychodnia opustoszała, personel skończył urzędowanie, tylko w dalszych pokojach pracowała sprzątaczką Gellert posłał ją do sklepu po jakieś jedzenie, wróciła z górą pieczywa i z kawałem szynki. Kiedy postawiła na małym stoliku kanapki i dymiący dzbanek mocnej kawy, Zborowski poruszył się na kanapie, przewrócił na drugi bok, westchnął i otworzył oczy. Zobaczył doktora i uśmiechnął się do niego całkiem przytomnie.

- Która godzina? — spytał.

- Niedługo już będzie pora na kolację, ale podejrzewam, że pan, podobnie jak ja, nie jadł dzisiaj obiadu. A więc, proszę do stołu.

Obaj mieli niezgorszy apetyt i póki stos kanapek nie zmałał pokaźnie, nie wymienili ze sobą ani słowa. Przy kawie zrobili się bardziej rozmowni, a po wypiciu całego dzbanka i zapaleniu papierosa poczuli się znacznie raźniej. Parę minut poświęcili delektowaniu się uczuciem błogości, jakie daje całkowite zaspokojenie głodu, po czym Zborowski odezwał się z przeproszającym uśmiechem:

- Zdaje się doktorze, że ja tu plotłem trzy po trzy. Byłem u kresu sił.

- Owszem, na to wyglądało. Nie wszystko mogłem zrozumieć z pańskiej relacji, była nieco... chaotyczna. Podstawowe jednak fakty i główne osoby, jak sądzę, zapamiętałem dobrze. Ma pan ochotę na ciąg dalszy?

- Mam, wielką! Czuję się jak nowo narodzony, dzięki tej uczcie rozsadza mnie. energia oraz pragnienie, żeby jak najprędzej wtajemniczyć pana we wszystkie szczegóły sprawy.

- Ja też odświeżyłem się i gotów jestem do wysłuchania całości.

- A może należałoby najpierw wypełnić luki w części pierwszej? Potrafiłbym teraz wyłożyć wszystko klarowniej.

- Szkoda czasu. Wolałbym, żeby pan po powrocie do domu uporządkował tę część relacji w formie zapisków — nie koniecznie dziś, może jutro.

- A co pan sądzi o zdarzeniu?

- Na określoną, przemyślaną opinię jeszcze za wcześnie, chyba dopiero po przeczytaniu tych zapisków będę mógł powiedzieć coś sensownego. Czekam teraz na dalszy ciąg wypadków. Proszę, panie inżynierze!

Tym razem Zborowski rozpoczął swoją opowieść spokojnie, z namysłem, zatrzymując się między jednym zdaniem a drugim. Stopniowo nabrał rozpędu, mówił potoczystymi, długimi okresami, z literacką niekiedy swadą. Doktor pomyślał, że lektura jego notatek może okazać się zajęciem nie takim znów uciążliwym. Słuchał z wrastającą uwagą.

- Zatrzymałem się na powrocie do domu, prawda? — mówił inżynier. — No więc tej nocy zasnąłem od razu i spałem jednym ciągiem do rana. Obudziłem się z myślą: jak czuje się człowiek, który zabił?

Człowiek czuł się znośnie, choć bolały go gnaty i męczył katar. Słyszałem gdzieś, że pewien skazaniec, kiedy zapytano go, jakie ma ostatnie życzenie, powiedział: żebym już raz pozbył się tego przekłętego kataru! Przepraszam za marną próbkę wisielczego humoru, ale ja naprawdę po obudzeniu się najdokuczliwiej odczułem właśnie serię kichnięć i dopiero później przypomniałem sobie, że mam większe zmartwienia.

Mocny sen dobrze mi zrobił — tak samo jak dziś. Skończyła się gonitwa myśli, obsesja wspomnień, miałem tego dość. Uświadomiłem sobie, że znalazłem się w sytuacji groźnej i muszę szukać ratunku. Gdzie, jak? O tym należało pomyśleć z

całym skupieniem. Oprzytomniałem na dobre, zacząłem porządkować fakty, układać plan koniecznego działania.

Cel miałem konkretny, ukryć swój udział w zgonie Celiny. Zaznaczam: jej osoba już nie budziła we mnie żadnych emocji — ani litości czy skruchy, ani żalu o własne krzywdy. Nic. Widocznie wszystko, co kotłowało się we mnie przez ostatnie miesiące, rozładowałem podczas podróży, zwierając się sobie. Szkoda, że pana doktora nie było w pociągu w charakterze spowiednika, zawsze różniej to robić we dwójkę.

Rzecz ciekawa: tego ranka Celina przestała dla mnie istnieć nie tylko cieleśnie, przestała istnieć także jako zagadka psychologiczna, którą poprzedniego dnia z uporem starałem się rozgryźć. „Było, minęło i kropka” — powiedziałem sobie, jak kiedyś w latach chłopięcych, tylko z większym przekonaniem. Pilno mi było przejść nad nią do porządku dziennego, najpierw jednak musiałem dokładnie rozważyć tysiące okoliczności, żeby nie trafiana ławę oskarżonych.

Rozumowałem rzeczowo, jak chyba nigdy przedtem. Zadanie było trudne, piekielnie trudne, może nawet niewykonalne, z tym też należało się liczyć. Nie miałem jednak wyboru, musiałem próbować. Zastanowiłem się: co by zrobiła na moim miejscu Celina? Uśmiechnąłem się: pewnie dałaby sobie radę. Był to jedyny akcent uznania pod adresem mojej małżonki.

A więc rozpatrzyłem na wstępie czysto formalne pytanie: dlaczego nie mogę podać do wiadomości publicznej prawdziwego przebiegu onegdajszego wieczoru?

Odpowiedź brzmiała: z tej prostej przyczyny, iż nie miałbym żadnych dowodów, że to ona zaatakowała mnie na skarpie i że działałem w obronie własnej. Przecie? nie było ani jednego świadka tego zdarzenia!

Z tej okoliczności, która pogrążyłaby mnie na sali sądowej, uczyniłem punkt wyjścia dla całego planu działania.

W ogóle nie było świadków, że spotkałem się z Celiną w Iglicach. Padał gęsty deszcz, ona podeszła do mnie, kiedy Basia odjechała ciężarówką, po czym, nie wstępując do

mojego mieszkania, ruszyliśmy w stronę lasu. Jeżeli nawet ktoś zauważył nas wtedy na ulicy, w żaden sposób nie potrafiłby stwierdzić, kto mi towarzyszy, bo postać w wysokich kaloszach i deszczowcu z kapturem równie dobrze mogła być kobietą, jak też mężczyzną, chłopcem czy wyrośniętą dziewczynką. Zresztą, kto by wówczas zwrócił na to uwagę?

Będę zatem utrzymywał, że po raz ostatni widziałem moją żonę 30 sierpnia w domu, wyjeżdżając na urlop. Nic mi nie wiadomo o tym, dokąd i po co wyjechała z Warszawy ani dlaczego znalazła się wieczorem szóstego września w pobliżu miejsca, gdzie zamieszkałem na wczasach. Przypuszczenie, że jechała do mnie, należy całkowicie wykluczyć, ponieważ ukryłem przed nią adres miejscowości, w której spędzałem urlop wraz z przyjaciółką. To wydaje się proste i oczywiste.

Więc: nie jechała do mnie, a jednak znalazła się w powiecie jeleniogórskim, gdzie tragicznie zginęła. Co ją tam sprowadziło?

Nie moją rzeczą to wyjaśniać, mam prawo dziwić się na równi z innymi. Może zamierzała zabawić w jakimś pobliskim domu wczasowym? Albo odwiedzić kogoś ze znajomych? Nie znam jej przyjaciół spoza Warszawy.

Pytanie następne: dlaczego, opłaciwszy pobyt u gospodarzy do końca września, wyjechałem nagle do Warszawy nazajutrz po wypadku, czyli siódmego września?

Odpowiedź była łatwa: dlatego, że Basię wezwano depeszą do umierającego ojca. W dodatku pogoda się zepsuła, więc pomyślałem sobie, że będę się nudził sam na tym pustkowiu. Tak właśnie wytłumaczyliby mój przedterminowy wyjazd gospodarze, gdyby ktoś indagował ich na ten temat.

I ostatnie pytanie: gdzie byłem szóstego września pomiędzy pół do siódma, kiedy pożegnałem Basię, a późnym wieczorem, kiedy wróciłem do domu? Dlaczego byłem do nitki zmoknięty i zablocony?

Źle było z odpowiedzią na to pytanie. Nie miałem żadnego alibi. Należało wymyślić jakąś historyjkę. Na przykład, że poczułem się samotny i opuszczony, więc nie

bacząc na deszcz udałem się do sąsiedniej wioski, do znanego pijaczyny Macieja, żeby razem z nim zalać robaka. Nie zastałem go, a że nie chciało mi się człapać z powrotem w taką breję, schowałem się w szopie i zasnąłem. Obudziłem się późną nocą i, nie zaglądając już do chałupy Macieja, poszedłem do siebie.

Marne to było alibi, całe dziurawe, przecież nawet nie wiedziałem, czy Macieja istotnie wtedy nie było w domu. Ale wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że Maciej wiecznie przesiaduje do późna w gospodzie, więc każdy przysięgnie, że i tamtego wieczoru tak było. Na to mogę chyba liczyć.

Wiele zależy od tego, w jakim stanie znajdą ciało. Celina, zdaje się, nie miała przy sobie torebki, trzymała obie ręce w kieszeniach. Czy przypadkiem nie przyjechała bez dokumentów? A może schowała je, wraz z pieniędzmi, do płaszcza? Jeżeli tak, to po kilku godzinach musiały rozmoknąć pod ulewą, zamienić się w nieczytelną mazię.

Rozumowałem dalej z zadziwiającą trzeźwością umysłu. Jeżeli znajdą ją z dokumentami w dobrym stanie, to od razu powiadomią mnie jako małżonka i wezwą do identyfikacji zwłok. Adres przecież jest w dowodzie osobistym. A jeżeli dokumentów przy niej nie będzie albo nie dadzą się odczytać, milicja może stracić dużo czasu, zanim ustali personalia bezimiennej ofiary. O ile w ogóle je ustalą.

Uwaga na marginesie, panie doktorze. Nigdy bym przedtem nie uwierzył, że potrafię z taką obojętnością roztrząsać te kwestie, wywoływać w swej wyobraźni obraz martwej Celiny jako topielicy ze śladami okaleczeń, z których woda wypłukała wszystką krew. Żaden z tych obmierzłych szczegółów mną nie wstrząsnął — ba! nie spowodował nawet przelotnej przykrości, jakiej doznawałem w sklepach rzeźniczych, ilekroć zobaczyłem odarte ze skóry kadłuby bydłce.

Przypomniałem sobie, że z pewnym przymusem oglądałem w słynnym filmie „Pieski świat” sekwencje szczególnie brutalne — zabijanie i dręczenie zwierząt, męczarnie ludzi, samotne konanie chorych i starych w japońskich „domach śmierci” itd. Przez dłuższy czas potem na samo wspomnienie

tych obrzydliwości było mi fizycznie niedobrze. Wynika z tego, że normalnie nie jestem pozbawiony wrażliwości na takie rzeczy. Słowa „normalnie” używam, być może, w sposób niewłaściwy, bo i cóż ja o tym wiem?

Jakkolwiek było, trudno mi wytłumaczyć taki kompletny zanik wrażliwości w danym wypadku. Może automatycznie wyłączyłem odpowiednie przekaźniki w systemie nerwowym, broniąc się przed zachwianiem równowagi psychicznej? A może w sposób niepojęty przeczułem to, o czym dowiedziałem się dopiero wczoraj? Nie liczę na wyjaśnienie fachowe, panie doktorze, jeszcze nie przedstawiłem panu wszystkich faktów.

Nawet w pewnym sensie spodobało mi się, że mogę na zimno analizować takie rzeczy. Pomyślałem przy okazji, że w razie konieczności niegorszy byłoby ze mnie zbrodniarz i drań. Przestałem dziwić się okrucieństwu ludzi ściganych, działających w obronie własnej wolności i życia. Organizm człowieka, jak widać, wie najlepiej, bez udziału świadomości, jak się zmobilizować w chwili zagrożenia, toteż automatycznie wyłącza wrażliwość, jeżeli staje się niebezpieczną zawadą. Poza tym...

Zborowski urwał, zapominając o swoim rozmówcy. Skóra na jego czole ułożyła się w głębokie bruzdy, oczy pociemniały, wokół ust i pod policzkami zaległy mroczne cienie. Patrząc na tę gwałtownie postarzałą twarz, doktor odnotował już nie po raz pierwszy, że człowiek ten pod wpływem mocnego przeżycia zatracza poczucie rzeczywistości.

Inżynier ocknął się również niespodziewanie, przeciągnął dłońią po oczach, westchnął.

- Tak sobie medytowałem nazajutrz po podróży, leżąc w łóżku. Wtem usłyszałem odgłosy z kuchni, to pani Maria przystąpiła do pracy. Wyszedłem do łazienki i na korytarzu przywitałem się z nią.

- Czy moja żona jest w Warszawie? — zapytałem.

- Nie, proszę pana, wyjechała przedwczoraj, w sobotę.

- Dokąd?

- Nie wiem, proszę pana.

- Czy nie zostawiła dla mnie jakiejś wiadomości?
- Przez mnie nic nie przekazywała, może przez kogoś innego. Pani chyba nie wiedziała, że pan tak szybko wróci?
- Chyba nie.

Zamykałem już drzwi łazienki, kiedy dodała z wahaniem:

— Słyszałam, jak pani mówiła do kogoś przez telefon, że wybiera się w odwiedziny do swojej matki.

- Do Torunia?

- Miasta nie wymieniła, w każdym razie ja nie słyszałam.

- Dziękuję, pani Mario. Prawdopodobnie żona pojechała rzeczywiście do matki, już od pewnego czasu tam się wybierała.

Gołąc się i biorąc prysznic kontynuowałem swoje rozważania.

Wolałbym, żeby ją znaleziono szybko i wraz z dokumentami: wiedziałbym od razu, przeciwko czemu i w jaki sposób powinienem się zabezpieczyć. Niestety, nie ode mnie to zależało. Ale nawet gdyby sprawa się przeciągnęła, muszę się zachowywać tak, jakbym absolutnie nie spodziewał się nieszczęśliwego wypadku.

Bo i jakie bym miał powody do takich obaw? Że wyjechała bez uprzedzenia, nie zostawiwszy mi żadnej wiadomości? Pani Maria słusznie zwróciła uwagę na to, że Celina nie spodziewała się mojego szybkiego powrotu. Napisać mi o planowanym wyjeździe do matki też by nie mogła, ponieważ pokłóciliśmy się i nie zostawiłem jej swojego adresu na czasach. W tej sytuacji jej nagły wyjazd bez prób powiadomienia mnie wygląda na rzecz całkiem naturalną.

O naszych nieporozumieniach małżeńskich wiedziały, prócz uczestników trójkąta, dwie osoby — gosposia i moja sekretarka, pani Lewandowska. Mimo ich dyskrecji coś mogło się przedostać do grona znajomych, może nawet wprost z ust Celiny. A już na pewno po ujawnieniu jej zgonu sprawa mojej zdrady nabierze rozgłosu.

Zatem już teraz muszę zachowywać się tak, jak mąż, który zawinił trochę wobec małżonki, nie na tyle jednak, żeby obawiać się z jej strony desperackiego czynu. Będę okazywał

pewien niepokój, wzrastający w miarę przedłużania się jej nieobecności. Ten czy ów niewątpliwie słyszał od Celiny, że wybiera się w odwiedziny do matki, powtórzą mi to skwapliwie. Przyjmę tę wersję z zaufaniem, a że nie mam adresu teściowej, nie pozostanie mi nic prócz biernego czekania.

Niektórych może zadziwić fakt, że po roku małżeństwa nie poznałem jeszcze swojej teściowej. Cóż, mieszka w Toruniu, nie przyjechała na nasz ślub do miasta K. i w ogóle, zdaje się, nie życzy sobie bliższych stosunków z córką.

Różnie bywa w rodzinach, nie muszę wchodzić we wszystkie okoliczności dotyczące życia Celiny, to są jej sprawy.

A co dalej? Trudno układać plan działania na dłuższą metę, rozwój wypadków wyznaczy mi odpowiednią taktykę.

Naraz nasunęła mi się ironiczna refleksja. Miałem w życiu wiele różnych specjalizacji zawodowych i prywatnych: byłem uczniakiem, studentem, projektantem, inżynierem na budowie, członkiem zarządu w dużym zjednoczeniu; byłem też łatwopalnym młodzikim, zakochanym małżonkiem, romansującym rozwodnikiem, niepokieszonym wdowcem, a przez rok ostatni — opętany wizjonerem, gwałtownie uleczonym metodą akustyczną. Czy wypadnie mi wyspecjalizować się jeszcze w jednym zawodzie: aktorskim?

Chyba tak, bo muszę zagrać rolę samego siebie sprzed katastrofy. Zagrać inteligentnie, jeżeli mi życie miłe, z wycuciem i talentem. Śmieszne doprawdy! Wszystko razem śmiechu warte, z tym miłym życiem włącznie.

Nielatwa to będzie rola, pomyślałem, bo już słabo pamiętam, kim byłem przedwczoraj. Czy byłem człowiekiem normalnym? Nie, nie, panie doktorze, to nie do pana pytanie! Cytuję swój monolog wewnętrzny z zeszłego poniedziałku. Pytałem siebie: czy byłem jeszcze przedwczoraj człowiekiem normalnym?

W każdym razie byłem w zgodzie z przyjętymi normami zachowania się oraz (co ważniejsze) z Kodeksem Karnym. Cóż by mógł mi zarzucić prawnik?

Uprawianie wizjonerstwa za pośrednictwem nieświadomej

tego niewiasty? Proszę znaleźć paragraf, który by takie wykroczenie przewidywał. Bzdura!... A może to, że pewnego pięknego dnia, bez żadnych rozumnych powodów, oprzytomniałem i zaniechałem wywoływania duchów. To już wypadek raczej z pańskiej dziedziny, doktorze: czy miewa pan podobne na swoim warsztacie?

- Żaden casus psychologiczny nie jest identyczny z innymi — wyręczył się Gellert unikiem.

- Racja, ale z drugiej strony żaden casus nie jest chyba całkowicie od innych odizolowany?

- Też racja, panie inżynierze. Nie oddalajmy się jednak od głównego tematu.

- Już do niego wracam. W kwestii wykrycia zwłok musiałem całkowicie zdać się na okoliczności. Postanowiłem codziennie przeglądać kronikę wypadków w prasie śląskiej, która przychodzi do głównych bibliotek — Narodowej, Publicznej, może także i Uniwersyteckiej.

Brak oczekiwanej notatki nie byłby oczywiście dowodem, że ciała nie znaleziono, bowiem nie wszystkie wiadomości tego rodzaju trafiają do druku. Istniała jednak szansa, że z prasy miejscowej dowiem się o ujawnieniu wypadku z Celiną, zanim zwróci się do mnie milicja. Nawet drobne zdystansowanie czynnika oficjalnego może okazać się ważne.

Do śniadania zasiadłem w zwyczajnym na pozór humorze. Przeglądałem gazety i jadłem z apetytem, nic odzywając się do gosposi — nie chciałem zdradzać zbyt dużego zainteresowania sprawą Celiny. Pani Maria pierwsza nawiązała do tego tematu, kiedy odsunąłem na bok prasę:

- Proszę pana, przypomniało mi się, że pani dzwoniła w czwartek, a może w środę do biura, do pani Lewandowskiej i prosiła się dowiedzieć, kiedy i z jakiego dworca odchodzi ranny ekspres do Torunia.

- Pani jest pewna, że chodziło o Toruń?

- Dobrze słyszałam, akurat sprzątałam przedpokój.

- Aha. To by znaczyło, że moja żona rzeczywiście wyjechała do matki.

- Nie wiedziałam, że pani starsza mieszka w Toruniu.

Przypominam sobie też, że do jakiejś przyjaciółki pani powiedziała: „Dawno już nie widziałam mamusi, muszę do niej pojechać”. To było w piątek, tale, na pewno w piątek, tegoż dnia zarządziła, żebym została na noc, bo w sobotę wyjeżdża o świcie. Nocowałam i o piątej rano sprowadziłam taksówkę.

- Czy żona zabrała duży bagaż?

- Nie, tylko małą granatową walizeczkę, którą pan przywiózł z Niemiec.-Nie życzyła sobie, żebym ją odprowadziła do pociągu. Kazała kierowcy jechać na Dworzec Centralny.

- Chyba pani się przesłyszała? Ranny do Torunia odchodzi z Głównego, sam jeździłem.

- Nie przesłyszałam się, proszę pana. „Warszawa Centralna” to chyba to samo, co Dworzec? '

- Owszem.

- No to słusznie powiedziałam: pojechała taksówką na Centralny. Napije się pan jeszcze kawy?

- Bardzo chętnie. Od czasu jak wyjechałem z domu, nie piłem dobrej kawy.

- Zaraz zaparzę świeżej.

Póki pani Maria zajmowała się tym parzeniem, podsumowałem wyniki pierwszego rekonesansu.

Z nie znanych mi powodów Celina wyjeżdżając do Iglic pragnęła to ukryć i zadbała o pozory, że jedzie do matki. Nie wiem, czym się kierowała, ale mnie okazało się to bardzo na rękę. Celowo posprzeczałem się z panią Marią na temat Dworca Głównego, chociaż doskonale wiedziałem, że miała rację twierdząc, że Celina wyjechała z Centralnego. Zależało mi, żeby szczególnie ten utrwalił się w pamięci gosposi i żeby później mogła poświadczyć, jak zaskoczyła mnie ta wiadomość. Będzie to dowód pośredni, że absolutnie nie spodziewałem się przyjazdu żony na Śląsk, że nic o tym nie wiedziałem.

Kalkulacje moje przerwał drobny incydent. Na korytarzu zadzwonił telefon, podniosłem słuchawkę, a jednocześnie napadł mnie atak kichnięć — jedno po drugim, jedno po

drugim. Zakichiwałem się cieniutkim falsetem (u mnie to zawsze tak), nie mogłem słowa wymówić.

W słuchawce odezwał się rzadki tenorek, z przyśpiewem na niektórych głoskach:

- Gdzieeż to szanowna pani nabyła się kataaarku? Na dworze pięknie, słoneczko świeci, czyż to pora na chorowaaanie?

Kichałem dalej, już naumyślnie i na najwyższej nucie.

- No, no, chyba dość na dzisiaj, co? — zniecierpliwił się tenorek. — Proszę mi powiedzieć, czy pan inżynier już wrócił z podróży.

Nie próbowałem przemówić kobiecym głosem, pewnie by mi nie wyszło. Z drugiej strony, nie chciałem zrazić gościa, zaciekawilo mnie jego pytanie. Położyłem słuchawkę na widełki — niech myśli, że nas rozłączono.

Nie znałem faceta, tego byłem pewien, bo mam dobrą pamięć słuchową. Dzwonił widocznie z czyjegoś polecenia. Wydało mi się naraz, że to ma jakiś związek z Celiną, lecz po chwili odrzuciłem tę myśl jako bezpodstawną. Oczekiwałem, że znów zadzwoni.

Zreferowałem pani Marii zajście w barwach komediowych i poprosiłem, żeby odebrała następny telefon. Facet zadzwonił niebawem. Stałem obok i słyszałem jego głos.

- Rzuciła pani słuchawkę? — zaczął obcesowo.

- Nie, proszę pana, rozłączono nas — sprostowała spokojnie.

- Aha, bo już myślałem. Chciałem dowiedzieć się, czy pań inżynier wrócił z podróży służbowej.

— Czy mogę zapytać o pana godność?

Po co od razu godność? Kolega z biura.

- Wolalabym z nazwiska, bo pan zawsze pyta.

- No to powie pani: inżynier Pietrasiński.

- Chwileczkę, zaraz poproszę.

Wyciągnęła do mnie słuchawkę, ale rozległ się trzask — tamten się wyłączył.

Żadnego Pietrasińskiego oczywiście nie znałem, była to typowa błazenada, chyba że... Zlekceważyłem wtedy ten

epizod, a teraz myślę, że szkoda.

- Szkoda. Dzwonił jeszcze? — zainteresował się doktor.

- Jak dotąd nie. A niech go diabli!

Przy kawie wysłuchałem zwierzeń pani Marii do końca. Jak widać, Celina zdrowo jej nadokuczała, korzystając z mojej nieobecności, teraz biedaczka musiała się wyzalić.

Usłyszałem, że po moim wyjeździe małżonka bardzo się denerwowała, często dzwoniła do różnych znajomych, a przy tym nieraz zamykała drzwi do kuchni, żeby swobodniej rozmawiać. Nie wiem, czy dzwoniła do kochanka, o ile takowy istniał, na co nie mam dowodów. Ciekawe, że od czwartku humor jej zniecka się poprawił, zaczęła nawet śpiewać w łazience, co gospościa zakwalifikowała jako objaw wyjątkowej pogody ducha. Wtedy też zaczęła zamawiać rozmowy międzymiastowe i zabrała się do porządkowania swojego i mojego biurka.

- Mojego też? — zdziwiłem się.

- Przecież nie mogłam nic powiedzieć — tłumaczyła się gospościa zafrasowana.

- Az jakim miastem rozmawiała? Z Toruniem?

- Tylko raz odebrałam połączenie międzymiastowe, to były Cieplice. Może i do Torunia dzwoniła kiedy indziej, tego nie wiem.

- Dowiem się, jak wróci - powiedziałem niedbale, a w myśli sprecyzowałem: dowiem się z rachunków telefonicznych.

- To już niedługo, może jutro.

- Żona powiedziała pani, że wróci we wtorek?

- Nie, nic nie powiedziała, ja sama tak się domyślam. Bo kazała mi przed wtorkiem wymyć okna i wyfroterować podłogi. Okna już wymyłam, a podłogi zrobię dziś, jak pan będzie w biurze.

Nie wątpiła, że skoro jestem w Warszawie, będę normalnie chodził do pracy. Ma rację, trzeba przerwać urlop.

Tknęła mnie obawa: czy nie za daleko posunąłem się słuchając wynurzeń gospości? Unikałem tego dotychczas, choć od choroby Celiny poczynając, a zwłaszcza podczas jej

dwumiesięcznego pobytu nad morzem odzyskaliśmy z panią Marią dawną ciepłą atmosferę domu.

W ostatnim okresie mój stosunek do żony gruntownie się odmienił, o czym gospościa doskonale wiedziała. Wiedziała też bez wątpienia o nocnych odwiedzinach Basi i domyślała się, co zaszło rano 26 sierpnia, kiedy to Celina bez uprzedzenia zjawiała się w domu: przecież aż do wyjazdu na Śląsk sypiałem w gabinecie, a wspólne posiłki odbywały się w grobowym milczeniu. Gdyby pani Maria nie wiedziała tak wiele, nie pozwoliłaby sobie dziś na krytyczną relację o Celinie.

Ona była w porządku. Ale ja? Czy nie przekroczyłem granicy dozwolonych niedyskrecji, pozwalając jej o tym mówić? Mogą mi to później wytknąć jako dowód nieczytych intencji. Zdecydowałem się na zawarcie z gosponią poufnego porozumienia, opartego na obustronnej lojalności i wspólnocie interesów.

- Niemiała to rzecz — zacząłem — dowiadywać się od osób trzecich o tym, co dzieje się we własnym domu. Jak pani wie, nie było to dotychczas w moim zwyczaju. Jednakże nasze z żoną pożycie ostatnio, jak by to określić... no, rozchwiało się, i o tym pani też wie.

Zrobiłem krótką przerwę, jakby zmuszając się do dalszych wynurzeń.

- Znamy się od paru lat, pani Mario, nie jest pani dla mnie osobą obcą, przeciwnie, uważam panią za domownika, za człowieka życzliwego i dyskretnego, który z racji swojej pracy obserwuje z bliska sprawy rodzinne i ma do nich własne, obiektywne podejście.

Zrobiłem drugą przerwę, na zapalenie papierosa. Pani Maria słuchała mnie w nabożnym skupieniu.

- Tak więc, nie miałoby sensu udawać wobec pani, że w naszym domu wszystko układa się pomyślnie, nie zasłużyła pani na hipokryzję z mojej strony. Powiem otwarcie: małżeństwo nasze przechodzi kryzys i trudno przewidzieć, w jaki sposób z tego wyjdziemy. W każdym razie pewien jestem pani życzliwości i dyskrecji, więc uważajmy tę rozmowę za

poufną.

- Ależ oczywiście! — wykrzyknęła z wypiekami na twarzy.
— To się rozumie samo przez się!

Tak zapewniłem sobie spokój na zapleczu domowym.

W biurze powitano mnie z radością. Pani Lewandowska, jak przystało na dobrą sekretarkę, nie wyraziła żadnego zdziwienia, tylko intensywniejszym uśmiechem zaznaczyła przyjemność, jaką sprawiłem jej swoim nieoczekiwanym powrotem. Od razu ściągnęli mnie na posiedzenie Zarządu zwołane z powodu zagrożenia planu na jednym z obiektów budowlanych pod Wrocławiem.

Już na korytarzu usłyszałem tubalny głos naszego prezesa, Krajewicza:

- Przedsiębiorstwo otrzymało dokumentację o cztery (powtarzam, o cztery!) miesiące później, niż przewidywały najbardziej tolerancyjne terminy. Dlaczego? A dlatego że papiery przetrzymywała Dyrekcja Inwestycji Miejskich.

On zawsze tak, to jego styl. Główni winowajcy, ściągający na siebie główne pioruny, zmieniają się zależnie od sytuacji i momentu, ale miotanie piorunów jest popisowym numerem prezesa, odgrywanym na samym wstępie; potem już może drzemać do końca posiedzenia.

Gdy zobaczył mnie, przyhamował kolejne gromy i zawołał z emfazą:

- Sam Pan Bóg zsyła nam inżyniera Zborowskiego w tej ciężkiej chwili. Na odsiecz, kolego, na odsiecz!

I z nową werwą rzucił się do natarcia:

- A już zupełnym skandalem jest takie nagminne zjawisko, jak niedopracowywanie projektów organizacji i technologii budowy. Tu po prostu słów brak, żeby piętnować. Projektanci potem telefonicznie (powtarzam: telefonicznie!) przypominają wykonawcom o ważnych szczegółach. Nic więc dziwnego...

I tak przez dziesięć minut, według programu. Zasięgnąłem tymczasem informacji od sąsiadów, zorientowałem się z grubsza w typie nawalanki na podwrocławskiej budowie, zdążyłem nawet zastanowić się nad ewentualnymi

środkami zaradczymi.

- Na telefonicznych projektach niczego dobrego nie zbudujemy, panowie! — zagrzmiał prezes, z czego wynikało, że spodziewa się po nas szczerzej skruczy i konstruktywnych wniosków. — To nie jest takie proste, panowie!

Zawiesił głos i powiedział w ciepłej tonacji, z najgłębszym przekonaniem:

- Wzorce zagraniczne są czasem nęcące, któż zaprzeczy! Ale my budujemy na pewno bardziej z myślą o człowieku, o jego zdrowiu i dobrym samopoczuciu.

Rozpoczęła się rzeczowa wymiana zdań. Zarysy koncepcji zaradczej, która wyłoniła się w moim umyśle, sprecyzowały się w toku dyskusji, w której i ja wziąłem czynny udział.

Niechże będą błogosławione odruchy warunkowe! Funkcjonowałem sprawnie i w tym funkcjonowaniu odnajdywałem siebie, swoje miejsce na ziemi, poczucie własnej wartości, a przeto i bezpieczeństwa. Czyż może obawiać się milicji członek naszego Zarządu, obywatel ze wszech miar pożyteczny i godny szacunku? Nawiasem mówiąc, ta awaria we Wrocławskim dostarczy mi dobrej okazji do szperania w prasie śląskiej.

Wróciwszy do swojego gabinetu zapytałem sekretarki, czy podczas mojej nieobecności żona do niej telefonowała.

- Tak, panie dyrektorze, dwukrotnie: w ubiegły poniedziałek i potem w czwartek. Za pierwszym razem pytała, czy może dysponować pańskim wozem służbowym. Zgodnie z instrukcjami, jakie pan był łaskaw mi udzieli;':... o ile dobrze je zrozumiałam... powiedziałam, że kierowca jest na urlopie, więc niestety...

- Doskonale.

- Za drugim razem pani dyrektorowa poleciła mi dowiedzieć się, kiedy i z jakiego dworca wyjeżdża ranny ekspres do Torunia. Powiadomiłam ją, że codziennie o szóstej dziesiątej z Dworca Głównego. Więcej już nie dzwoniła.

- Wie pani, nie zastałem żony w Warszawie, wyjechała gdzieś, nie zostawiając dla mnie żadnej wiadomości. Od

pewnego czasu nie jesteśmy w najlepszej komitywie, jak pani pewnie zauważyła...

Skinęła dyskretnie głową.

- W każdym razie — ciągnąłem — gdyby zatelefonowała spoza Warszawy, proszę mnie niezwłocznie z nią połączyć, a jednocześnie sprawdzić przez naszą centralę, skąd dzwoni.

- Rozumiem, panie dyrektorze.

Pocziwina coraz mniej rozumiała, ale pragnęła być na wysokości zadania. Wyglądaliśmy jak para spiskowców układających zamach na życie mojej małżonki. Nie powstrzymałem się od uśmiechu. Zważywszy, że w owej chwili zwłoki Celiny przypuszczalnie spoczywały na dnie żlebu, względnie w kostnicy - humor mój zasługiwał na podziw.

W domu po obiedzie zdrzemnąłem się trochę, potem czytałem doskonałą książkę Simenona „Premier” — wcale nie kryminał, tylko prawdziwą powieść psychologiczną wysokiej, ale to bardzo wysokiej klasy. O wielkim mężu stanu u schyłku długiego żywota, który dogorywa samotnie, odstawiony na boczne tory. Żyje właściwie na luksusowym, honorowym zesłaniu, w otoczeniu niby odda-nych sług i przyjaciół, w rzeczywistości zaś — przekupionych lub zastrachanych kapusiów, z czego doskonale zdaje sobie sprawę. Fascynująca, po mistrzowsku napisana rzecz!

Czytając, zapomniałem o własnych kłopotach, których mi przecież nie brak. Pamiętałem oczywiście o tym, że Celina nie żyje, ale fakt ten mi nie przeszkadzał. Trwoga o własny los też jakoś przycichła. Przejmowałem się - chwilowo — jedynie stopniowym obumieraniem w dostojnym starcu wszelkich uczuć, ambicji, namiętności, które jeszcze pobudzały jego siły duchowe do funkcjonowania. Pięknie współprzeżywa się to, co nie ma nic wspólnego z naszym własnym losem!

Po odejściu Marii zadzwoniłem do Basi. Ucieszyła się:

- Jesteś w Warszawie? Kochany...

- Co u ciebie? Jak ojciec?

- Bardzo źle. Matka na razie się trzyma, ale boję się

pomyśleć, co będzie potem.

- Czy nie ma szans na poprawę w stanie ojca?

- To przecież rak.

- Nie wiedziałem... Chyba o naszym spotkaniu nie może być mowy?

- Dlaczego? Potrzebuję czasem odprężenia. Powiedz: jak twoje spotkanie z żoną?

- Wcale go nie było. Wyjechała w nie znanym kierunku, nie zostawiwszy adresu. Nie powiem, żebym z tego powodu rozpaczał.

- Poczekaj, poczekaj... Kiedy ona wyjechała?

- Przedwczoraj. Tegoż dnia, kiedy opuściłaś nasze ustronie, gdzie nam było tak dobrze. Nazajutrz też lalo bez opamiętania, więc spakowałem się i wróciłem. Co bym tam robił bez ciebie? Tu przynajmniej będziemy od czasu do czasu się widywać, prawda?

- Jasne! Ale wiesz, niepokoi mnie jedna rzecz. Opowiedzieli mi w naszym sklepie, że w zeszłym tygodniu, bodaj w czwartek czy w środę, jakaś kobieta telefonicznie dopytywała się, dokąd wyjechałam na urlop.

- Chyba nie podano jej adresu?

- Właśnie że podano. Baba powoływała się na jakieś pilne interesy służbowe, więc nasza ekspedientka, osoba niezbyt rozgarnięta, przekazała jej adres w Iglicach. Czy to nie była Celina?

Nie wątpiłem w to, zrozumiałem teraz, skąd miała nasz adres, jednakże zaprzeczyłem:

- Raczej nie, chociaż z Celiną wszystko jest możliwe. Gospościa przypuszcza, że wyjechała do Torunia, w odwiedziny do matki. Ja też do tego się skłaniam, ponieważ od dłuższego czasu wybierała się z tą wizytą.

- Chciałabym, żeby to się potwierdziło. Wiesz, ta głupia ekspedientka jeszcze dodała: „pani list już nie zastanie Barbary na Śląsku, bo rodzina wzywa ją telegraficznie do domu, ojciec ciężko chory”.

— Skąd o tym wiedziała?

- Coś jej się obilo o uszy, ale wtedy matka jeszcze nie

zdecydowała się na wysłanie depeszy, dopiero w sobotę.

- Nie denerwuj się, dziewczyno! Jeżeli nawet Celina zamierzała przyłapać nas w Iglicach, to już straciła okazję, skoro myśmy się jej wymknęli. Kiedy się zobaczymy?

- Zadzwoń któregoś dnia z rana, postaram się wykroić dla nas godzinę.

Jak pan widzi, doktorze, zakończyłem ten dzień w pogodzie i spokoju ducha, jak człowiek, który zdołał (lub wierzył, że zdołał) przekonać siebie, że nic mu nie grozi. o północy spałem mocno, bez marzeń sennych.

Przed świtem obudziłem się nagle, bez żadnego powodu i długo leżałem, nie otwierając oczu w nadziei, że sen powróci. Rzadkie odgłosy ulicy płoszyły przewijające się pod moją powieką obrazki, zanim zdążyły ułożyć się w jakiś logiczny ciąg. Czekałem cierpliwie, aż mnie ogarnie znów bezwład niepamięci.

Jeden kształt wyłonił się z przedsennej mgławicy, zaczął pęcznieć i zbliżać się, wypełniając całe pole widzenia: obrzękłe stopy w brudnych pończochach, oparte o kanapę w kolejowym przedziale. Dudniący głos powtarzał w kółko:

- Dziś nikomu wierzyć nie wolno... Ile razy siedziałam obok złodzieja... Ubranie dziś nic nie znaczy...

Badylarka! Szeroka, lśniąca tłuszczem twarz przysuwała się ku mnie, a ja byłem jak skuty i nie mogłem się odsunąć.

Nagle zaniemówiła i wpatrywała się we mnie czujnie, oczekując z mojej strony napaści. W oczach jej wzbierał bezmyślny, zwierzęcy strach, oddech wydobywał się z gardła chrapliwie, jak strzały z dziecięcej fuzji, dolna szczeka opadła, ukazując wyszczerbione, szerniałe zęby. Patrzyła tak na mnie, nasiąkając zgrozą — ciężka, spocona, zasapana.

Napiąłem wszystkie mięśnie, żeby uskoczyć przed nią - ale za mną była skała.

- Nie zabijaj mnie! — pisnęła mysim głosikiem i też chciała uciec, prężąc się rozpaczliwie, lecz zamiast cofać się zaczęła na mnie nacierać całą swoją zwalistą masą.

- Nie zabijaj, nie zabijaj! — piszczała szeptem cieniutkim i ostrym jak igła, świdrującym mi ucho: — Nie zabijaj!

Wgniaiałem się w skałę, ale jednak dotknęła mojej brody spoconym, szorstkim policzkiem.

- Celina! — krzyknąłem i zerwałem się z łóżka.

To ja byłem cały spocony i dygotałem, jak w febrze.

Zapaliłem lampkę nocną, chwyciłem papierosa, palce drżały mi tak mocno, że zrazu nie mogłem wykrzesać ognia z zapalniczki. Smak dymu ocucił mnie powoli. Opanowałem się i zacząłem analizować ten nawrót lęku.

Czy da się uniknąć takich nawrotów w przyszłości? Nie wiadomo, kiedy i gdzie mnie to złapie, a wtedy mogę sygnąć się w najgłupszy sposób. Dobrze, że stało się to dziś, kiedy byłem sam, przynajmniej wiem o niebezpieczeństwie. Zbyt szybko się uspokoiłem — już mi się wydawało, że majaczenia i lęki mam za sobą, wraz z ukończoną podróżą. Oto nauczka: w moim położeniu nie wolno się uspokajać, nawet jeżeli wszystko idzie na pozór gładko!

Zapamiętałem to ostrzeżenie, zatrulo mi każdą chwilę spokoju i przyjemności, nigdzie już nie mogłem odprężyć się całkowicie. Poznałem nową torturę: lęk przed nawrotem lęku, kiedy człowiek ciągle sprawdza siebie — czy ja się nie boję? A już to jest chorobliwym objawem Mam rację, doktorze?

- Tak.

- Szczerze mówiąc, nabrałem zrozumienia i współczucia dla tych, co znaleźli się poza prawem i mają przeciwko sobie cały aparat sprawiedliwości, a na obronę — jedynie własną głowę i łaskawość ślepego przypadku.

- Współczuje pan zbrodniarzom?

- A choćby i tak! Jeżeli ja, zabójca mimo woli, poczułem się, jak osaczona ze wszystkich stron, zaszczuta mysz... Pan pewnie nigdy tego nie przeżył.

- Przeżyłem niejedno, bywałem w bardzo różnych sytuacjach, ale to nie ma nic do rzeczy. Pan, o ile dobrze rozumiałem, z własnej woli postawił się w sytuacji ściganego, osądziwszy w swoim sumieniu, że popełnił zbrodnię. Reszta jest tylko logicznym następstwem pańskiego osądu.

- Tak pan to ujął? Może i racja. Zwracam jednak uwagę na mały szczegół: niech bym miał świadków na to, że

Celina w ataku furii ciągnęła mnie do przepaści, a spokojnie stanąlbym przed każdym sądem. To zresztą uwaga na marginesie. Czy mam opowiadać dalej?

- Ma się rozumieć. Proponowałbym tylko, żeby ciąg dalszy ująć bardziej skrótowo. Już szósta, a przed siódmą będziemy musieli stąd wyjść.

- Tak, tak, oczywiście! Postaram się szybciej... Byłoby mi łatwiej, gdyby pan zadawał pytania.

- Proszę bardzo. Na początek niech pan wyodrębni najważniejsze wiadomości spośród tych, które uzyskał pierwszego dnia po powrocie do Warszawy.

- Najważniejsze? No, chyba to, że Celina w środę lub w czwartek zdobyła adres Basi w Iglicach, a nie wątpiła, że pojechaliśmy tam razem. Po drugie: zatroszczyła się o pozory, że sama wyjeżdża do matki. Jeszcze nie rozgryzłem, po co jej to było potrzebne. Po trzecie: planowała ten wyjazd na krótko, zamierzała wrócić chyba we wtorek, jak słusznie wywnioskowała gospoia. To przypuszczenie potwierdzałby fakt, że zabrała ze sobą tylko małą walizeczkę, a raczej neseser, w którym można zmieścić najwyżej trochę bielizny, parę bluzeczek i przybory toaletowe.

- Czy miała tę walizeczkę przy sobie, kiedy spotkała się z panem?

- Przysięgłbym, że nie. Musiała ją gdzieś zostawić o Może w przechowalni kolejowej, a może u jakichś tamtejszych znajomych. Ma tam przecież kogoś w okolicy, przecież telefonowała z Warszawy do Cieplic. A stamtąd taksówką parę minut do Iglic!

- O której Celina przyjechała do Jeleniej Góry?

- Ekspres, którym wyjechała w sobotę o 5.46 z Warszawy, przybywa do Jeleniej około drugiej. Dalej mogła pojechać autobusem, co by wraz z oczekiwaniem zajęło blisko godzinę, albo taksówką, co by trwało tylko kwadrans.

- Do pana jednak podeszła dopiero o pół do siódmej wieczorem?

- Tak.

- Gdzie spędziła blisko pięć godzin?

- Pojęcia nie mam.

- A warto by wiedzieć. Czy następne dni przyniosły panu jakieś nowe i ważne wiadomości?

- Do wczoraj właściwie żadnych, za to wczorajsza była prawdziwą rewelacją. Ale najpierw muszę panu powiedzieć o czymś innym, o moich tarapatach wewnętrznych, bo z tym, w gruncie rzeczy, do pana przyszedłem. Pan pozwoli na małą dygresję?

- Jeżeli pan musi, to trudno.

- „Muszę” to, zdaje się, słowo właściwe. Dotychczas nie potrzebowałem, a może po prostu nie umiałem wywnętrzać się przed kimś, nie mam w tym wprawy. Tylko z Anną mówiłem o sobie, i to też bardzo rzadko. Jednakże zwalić jej na głowę makabrę Czarciogo Żlebu, to by było, mówiąc łagodnie, zwyczajnym chamstwem. Tak więc w najtrudniejszym momencie swojego życia zostałem zdany tylko na siebie. Jedyna w swoim rodzaju okazja, żeby poznać z bliska jegomościa, którego od dzieciństwa do starości nazywa się „ja”.

- Jakże wypadła znajomość?

- Nieszczęśliwie. Doznałem kilku zaskoczeń niezupełnie miłych. Przede wszystkim, wbrew temu, co myślałem tyle razy po odejściu, a potem po zgonie Marty, okazało się, że jestem mocno, ale to bardzo mocno przywiązany do życia: tak bardzo, że pragnę utrzymać się na tym padole bodaj za każdą cenę. Biologia, tylko biologia się liczy!

- Pana to dziwi?

- Śmiech-mnie ogarnia, gdy sobie przypomnę swoje dawne depresje, zniechęcenie do wszystkiego, przemyślenia nad sposobem dokonania samobójstwa... Jak pan widzi, żyję! Dziś samobójstwo byłoby dla mnie na pewno najlepszym wyjściem, jedynym ratunkiem, a jednak uciekam przed tą myślą, wysilam wszystkie zdolności, żeby wyjść cało. I cóż pragnę ocalić? Egzystencję w wiecznym strachu i poniżeniu? Proszę mi z łaski swojej wytłumaczyć ten absurd, panie doktorze, bo sam nie potrafię.

- A ja z kolei nie pojmuję, czemu samobójstwo ma być dla pana najlepszym wyjściem. I nie rozumiem pańskiego oburzenia na instynkt samozachowawczy, który działa wcale rozsądnie.

- Naprawdę pan nie rozumie? No tak, przecież pan jeszcze nie zna wszystkiego. Zaraz, zaraz... A mój stosunek do śmierci Celiney pan rozumie? Traktowanie jej jako ciężaru, którego pozbyłem się co prawda, niechcący, lecz w istocie bardzo szczęśliwie. I myślenie, już w dwa dni po wypadku, wyłącznie o ratowaniu swojej skóry. Pan to wszystko rozumie? Tak?

Był znowu bardzo wzburzony.

- Powiedziałem już: instynkt samozachowawczy działa sprawnie, i chwała Bogu. Dodam, jeżeli to pana interesuje: takie są reakcje normalnego człowieka.

- Dziękuję. Normalny człowiek widocznie nie jest taki, jakim go sobie zawsze wyobrażałem. Ale to nieważne. Jedźmy dalej... Co się działo w następnych dniach? Ano, nic ciekawego. Urzędowanie, posiedzenia, po obiedzie spacer do Biblioteki Narodowej, szperanie w prasie codziennej ze Śląska. Nawiasem mówiąc, kroniki wypadków, których nigdy nie czytuję, zafrapowały mnie dziwaczością stylu. Na przykład:

„Obywatel taki a taki wskoczył do pędzącego tramwaju i spadł ze stopnia. Niedoszły pasażer dostał się pod koła drugiego wagonu, tracąc nogę”.

Ciekaw jestem, o czym myślał reportażyna, wypisując słowa „niedoszły pasażer”? Chyba jednocześnie układał felietonik do rubryki humoru. Zresztą, mniejsza o to. Notatki, której szukałem, wciąż nie było.

Wypadalo już okazać niepokój o Celinę. Zadzwońilem do najbliższych znajomych, wszyscy mnie uspokojali: pojechała do matki, cóż w tym dziwnego, nie wiedziała, że wróć tak szybko. Proponowali spotkania, zapraszali na obiady, na kolacje itd., uważali widać, że mają względem mnie obowiązek pocieszania i dostarczania rozrywek. Dziękowałem i wymawiałem się nawałem pracy.

Doznawałem przy tym przewrotnej radości, wyobrażając sobie, jak te same osoby będą mi składały kondolencje, może już za kilka dni czy tygodni. Będzie niezła sensacyjka, ileż szlochów, wspominków, dowodów współczucia dla mnie! Iluż nieutulonych w żalu! „Cała Warszawa”, jak nazywa Malina Kary kilkadziesiąt osób swojej ferajny, długo będzie miała ładne zajęcie — składanie hołdów nieodżałowanej ulubienicy, a wkrótce polem montowanie mojego kolejnego ożenku. Pan myśli, że byłoby inaczej? Dobrze ich znam!

Z Basią spotkałem się raz tylko, w kawiarni. Przykro mi kłamać wobec niej, w tej chwili to może jedyna naprawdę bliska mi osoba. Zmizerniała bardzo, była blada mimo makijażu. Wciąż przypominała sobie incydent z tym adresem w Iglicach, powtarzała trwożnie: „To była Celina!” Nie potrafiłem jej uspokoić, mimo zapewnień, że Celina siedzi w Toruniu u matki i wcale o nas nie myśli.

W sobotę zatelefonował do mnie przyjaciel filmowiec:

- Przyjdź do naszego studium na Chełmskiej, wyświetlamy francuski film, który dopiero w styczniu ukaże się na Konfrontacjach.

- Jaki film?

- „Łagodna”, według Dostojewskiego.

- Aha. Przyjdę.

Nie jestem zapamiętałym wielbicielem Dostojewskiego, ale to opowiadanie przeczytałem z prawdziwym przejęciem, może dlatego, że było to wkrótce po śmierci Marty. Zafascynowała mnie zagęszczona atmosfera dramatu, który nieodwołalnie musiał się zdarzyć. Pan czytał „Łagodną”, doktorze?

- Dawno i nie bardzo pamiętam.

- To monolog wewnętrzny człowieka, którego żona popełniła samobójstwo. Mąż rozgrzebuje wspomnienia i stara się dociec: jak do tego mogło dojść.

W małej, zadymionej salce było już pełno, stanąłem przy ścianie, gotów odejść, jeżeli film okaże się marny. Zgasło światło, popłynęły napisy na ruchliwym tle ulic paryskich. Uderzyło mnie: Dostojewski, Petersburg dziewnastowieczny, mroki duszy słowiańskiej — a tu zatłoczony

samochodami Paryż, dziewczęta w obcisłych spodniach lub kusych sukienkach długowłosi młodzieńcy w rozpiętych bluzach... Wszystko to jeszcze takie świeże w mojej pamięci, takie bardzo dzisiejsze i bardzo francuskie. Cóż tu ocalaje z Wielkiego Rosjanina?

Ocalała rzecz niebagatelna: potęgowanie się tragizmu, nieuchronność katastrofy, niemożność zażegnania jej, nawet jeżeliby się wiedziało z góry o wszystkim.

Znalazły się w pięknym Paryżu przedpotopowe domy-rudery, ciemne schody, ciasne od gratów mieszkania z brzydką sztukaterią, odrapane drzwi, za którymi niechybnie czai się nieszczęście. Wymarzone tło dla historii dwojga ludzi, którzy nie mogli znaleźć do siebie drogi, choć byli małżeństwem. Ludzie Dostojewskiego niekoniecznie żyją w dziewiętnastym wieku, w Petersburgu — to zrozumiałem, stojąc pod ścianą salki.

Potem słyszałem, jak mówili: dlaczego reżyser zmienił fabułę, to bez sensu itd. Pewnie, że scenariusz daleko odbiega od oryginału, pamiętam dobrze opowiadanie. Już choćby to, że Łagodna wcale nie jest łagodna, raczej zacięta i twarda, a jej mąż, lichwiarz, wcale nie jest starym śledziennikiem, tylko urodziwym młodzieńcem. Mnie to nie przeszkadza. Nieuchronność ich dramatu może przez to stała się jeszcze bardziej naoczna.

Wyszedłem pod silnym wrażeniem filmu i wciąż powracałem w myśli do pewnych sekwencji. Kiedy bohater błąkał się po nocnych ulicach, przypomniał mi się mój Paryż, miasto ludzi nieszczęśliwych. Za drugim pobylem poznałem Dzielnicę Łacińską i ulice drobnych sklepików, tam widziałem takie właśnie rudery, a za rogiem mojego hotelu mieścił się sklepik z tanią konfekcją, gdzie student mógł, jak Raskolnikow, w chwili krytycznej zastawić zegarek za parę franków... Długo nie mogłem zasnąć tej nocy, mimo że połknąłem aż dwie pigułki nasenne.

Zborowski wstał, podszedł do stolika, zajrzał do dzbanka po kawie i wykapał z fusów parę kropli do swojej filiżanki. Gellert widział wyraźnie, że inżynier wszelkimi sposobami

stara się oddalić moment, kiedy wreszcie opowie o tej rewelacyjnej okoliczności, którą już kilkakrotnie zapowiadał. Nie ponaglał jednak swojego gościa, który po paru minutach wrócił na poprzednie miejsce i podjął z westchnieniem:

- Nazajutrz była niedziela. Wczorajsza. Nad ranem rozespiałem się tak, że nie słyszałem dzwonka u wejścia, choć brzęczał bez przerwy. To znaczy, słyszałem, ale myślałem, że to mi się śni. W końcu otworzyłem oczy, uprzytomniłem sobie, że pani Marii nie ma i że muszę sam otworzyć jakiejś natrętnej osobie. Spojrzałem na budzik: pół do jedenastej. Narzuciłem szlafrok i pobiegłem do przedpokoju. Otworzyłem szeroko drzwi — i cofnąłem się w głąb korytarza.

Na oświetlonym podeście zobaczyłem niewysoką postać kobiecą ciemno ubraną, w śmiesznym kapeluszu z rondem, spod którego sterczały pasma drobno kręconych czarnych włosów. Nie wiem czemu, zdjął mnie paniczny lęk, serce zakolało między żebrami, w głowie huknęło: Celina! O mało nie zemdlałem.

Obawiam się, panie doktorze, że odtąd każde przykre przeżycie będzie mi się kojarzyło z Celiną, choćby nie miało z nią nic wspólnego.

Kobieta spokojnie weszła, zamknęła za sobą drzwi, postawiła na krzeselku niedużą, podniszczoną walizkę.

- Mocno tu sypiacie, mój panie — powiedziała.

I znów mi serce podskoczyło jak piłka: był to niski, ochryply, przeciągły głos starszej kobiety, ale czymś przypominał głos Celiny tuż po dyfteryście.

- Przepraszam... z kim mam przyjemność? — wybełkotałem.

- Celina nie uprzedziła pana? — zdziwiła się. — Napisała, żebym przyjechała do was w odwiedziny. Pokażę panu list.

- Kiedy... kiedy napisała?

- To już chyba z tydzień temu. Skoro się nie znamy, muszę się panu przedstawić: Bielakowa Genowefa, matka pańskiej małżonki.

- Bardzo mi miło...

Ucałowałem ją w rękę, pomogłem zdjąć zakurzony żakiet z dzianiny, powiesiłem kapelusz. Stała przed lustrem, przyglądała sterczące w różne strony sztywne kędziorki, poprawiła kołnierzyk bluzki. Ja tymczasem tłumaczyłem się niemrawo:

- Strasznie przepraszam, że pani czekała na schodach. Wczoraj wziąłem proszki nasenne... Wie pani, źle sypiam ostatnio.. Proszę do pokoju.

Zaprowadziłem ją do jadalni. Rozejrzała się uważnie.

- Ładnie mieszkacie. Ile pokoiów?

- Trzy.

- I łazienka?

- Tak, wszystkie wygody. Wie pani, Celiny akurat nie ma w Warszawie.

- Nie szkodzi. Poczekam.

Była małowówna i w tej małowówności jakaś agresywna. W widnej jadalni przyjrzałem się jej i zrozumiałem swój odruch lęku przed chwilą: jest podobna do Celiny, choć trudno by określić, w czym.

Nie przypomina córki figurą ani rysami twarzy. Jest niższego wzrostu i tęższa, z brzuchem i starczym pochyłym pleców, zachowała jednak coś z kobiecej zaczepności którą tak dobrze umiała posługiwać się Celina. Musiała być także w swoim czasie „szałowa”. Ile teraz ma lat? Chyba sześćdziesiąt.

Twarz ma wręcz brzydką: chorobliwie odętą, buraczkową, całą w faldach i białych krostkach, co nieodparcie nasuwa mi wizję świeżo rozciętej surowej wątroby A wśród tego mięsiwa — ciemne okulary w grubej oprawie, spuchnięty czubek nosa, też w białych krostkach. I, jak na ironię, dołek na brodzie — kropka w kropkę taki, jak u Celiny. Włosy i brwi barwy kruczej, wprost od fryzjera, który nie poskąpił jej trwałej ondulacji. Nie umiem panu dokładnie przekazać całej tej brzydoty.

Usiadła w fotelu, ustawiwszy na przedzie, jak dwa słupki, grube nogi w brązowych pończochach i płaskich półbutach, złożywszy na poręczach małe, energiczne dłonie. Przyglądała

mi się uważnie, wcale się z tym nie kryjąc.

- Pan dobrze wygląda — powiedziała z naganą.

Natychmiast zawstydzilem się swojego dobrego wyglądu.

- Był pan na urlopie — dodała tonem stwierdzenia, a może pytająco; jeszcze nie poznałem się na jej intonacjach.

- Tak... a właściwie nie powiedziałem. — Byłem służbowo na Dolnym Śląsku, opaliłem się trochę...

- Nawet bardzo — ucięła.

W sposobie bycia przypominała Celinę z tych ostatnich dni. Nagle zdrętwiałem na myśl, że jeszcze nie zadałem pytania, od którego powinien bym był rozpocząć rozmowę ze swoją teściową.

- Bardzo panią przepraszam — wyjąkałem — doprawdy zachowuję się jak debil! Po tych proszkach jestem kompletnie zamroczony... Nie rozumiem właściwie, dlaczego Celina nie przyjechała razem z panią?

- Razem? Niby to skąd?

- No, z Torunia. Przecież pojechała do pani w sobotę, przedwczoraj.

- Do mnie? Pierwsze słyszę.

- Niemożliwe! Nie była u pani?

Wzruszyła tylko ramionami.

Odegrałem wielką scenę zaskoczenia, zdenerwowania, trwogi. Stara przyglądała się moim popisom sceptycznie, aż mi się głupio zrobiło. Ciężki to zawód, aktorstwo. Zwłaszcza jeżeli nie ma się powołania.

Uznawszy, że dość tego cyrku, pani Bielak otworzyła torebkę, pogrzebała w niej i wyciągnęła zmiętą kopertę.

- Pan przeczyta, co ona pisze — rozkazała.

Przeczytałem. Mam ten list przy sobie, proszę. Autentyczny, znam rękę Celiny.

Podał doktorowi arkusik papieru. Ten spojrział na datę:

9 września 1969.

- Jak to? — zawołał w zdumieniu — Przecież wypadek miał miejsce w sobotę szóstego? Może się mylę?

- Wszystko pan zrozumie z listu.

Doktor przeczytał w milczeniu:

„Mamusiu Kochana,
piszę ze szpitala w uzdrowisku Cieplice, leżę po ciężkim wypadku. Spotkał mnie cios. Byłabym straciła życie, gdyby nie Mamusi modły. Cudem się uratowałam. Mąż mój, inżynier Andrzej Zborowski, mógłby dokładnie opisać, jaki to był wypadek, tylko nie będzie chciał.

Nie mogę na razie nic Mamie powiedzieć, ale krzywda moja jest wielka. Bóg mnie ukarał za to, że po raz drugi wyszłam za mąż bez matczynego błogosławieństwa.

Ręce Mamy całuję i napiszę jeszcze.
Kochająca córka Celina.”

Gellert obejrzał arkusik ze wszystkich stron.

- Rzeczywiście rewelacja. Żona pańska żyje!
- Tak jakby.
- Do pana nie odezwała się?
- Nie. W następnym liście do matki pisała mniej więcej w te słowa:

„Mamusiu Kochana,
pragnę Mamusię zapewnić, że zdrowie mam dużo lepsze, pan doktor podaje nadzieję.

Proszę Mamusię uprzejmie, żeby pojechała do mojego męża a swojego zięcia do Warszawy, adres dołączam. Po co ma zostawać sam. póki mnie nie ma. On Mamę dobrze przyjmie, przecie ma pamięć i wie, co mi jest dłużny.

Wypiszę się ze szpitala, jak Pan Bóg pozwoli i pan doktor.
Kochająca córka Celina.”

Nawiasem mówiąc, do mnie pisała z Juraty w innym trochę stylu, lepszym.

- Może, jako dobra córka, stara się dostosować do nawyków epistolarnych matki?
- Może. Zresztą, mniejsza z tym. Co pan powie na cały ten pasztet, doktorze?
- Pasztet, rzecz by można, z imponującym nadzieniem. A

pan jak zareagował na tę nowinę? Pewnie z ulgą?

- Przeciwnie. Z przerażeniem.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Widzi pan... już przyzwyczałem się do myśli, że Celina nie żyje. Przyzwyczałem się do dobrych stron takiego stanu rzeczy, a przede wszystkim do tego, że w sposób naturalny a definitywny rozwiązał się problem, jak mam się od niej uwolnić.

- Ale z drugiej strony, teraz pan uwolnił się od obaw, że mogą pana oskarżyć o uśmiercenie żony.

- Ostatnio jakoś mniej się tego obawiałem. Liczyłem, że mogą znaleźć ciało dopiero na wiosnę... albo bez dokumentów... albo wcale. Sam nie wiem, na co liczyłem, może na przysłowiowe „jakoś to będzie”.

- Aha. Czy mógłby pan sprecyzować, co właściwie tak pana w tej chwili przeraża?

- Wydaje mi się, że to jasne: przyjazd Celiny. Ona wie, że uciekłem z miejsca katastrofy, nie troszcząc się o jej los.

- Myślał pan, że zginęła. W warunkach, jakie pan opisał, było to co najmniej na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewne.

- Słusznie, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, a przecież zawsze pozostaje ten jeden, póki się nie ma stuprocentowej pewności. Moim obowiązkiem było zorganizować poszukiwania, względnie zatroszczyć się o pomoc dla ofiary. Nie zrobiłem tego. Gorzej: ukryłem, że byłem świadkiem wypadku, a ściślej współuczestnikiem. Pewnie istnieją paragrafy Kodeksu, które określają podobne postępowanie?

- Nie jestem prawnikiem.

- Niezależnie od paragrafów, trudno zaprzeczyć: zachowałem się jak łajdak i tchórz. W dodatku — jak mąż, który chce za wszelką cenę pozbyć się żony. Wiedząc o tym wszystkim, Celina będzie miała mnie w ręku. Ma zamiar to wykorzystać, o czym świadczą choćby jej aluzje w listach.

Mój ty Boże, czego ona może ode mnie zażądać?

- Więc z tego powodu pan zaczął myśleć o samobójstwie?

- Nie ma w tym, zdaje się, nic dziwnego. Rozumiem przecież, że jak zawsze w stosunkach między dwojgiem ludzi, istnieją dwie wizje prawdy. Ja widzę jedną z nich, moją, a i to niezbyt wyraźnie. Nie odmawiam Celinie prawa do drugiej prawdy, której nawet domyślić się nie potrafię. Ma ona, być może, swoje racje i powinienem je uszanować. Ale wszystko razem przekracza granice mojej odporności psychicznej. Nie chcę stanąć z Celiną twarzą w twarz! Nie chcę, nie chcę... Niech to będzie małoduszność, tchórzostwo, ale nie chcę!

Drżał cały. Doktor znów bez słowa podał mu wody.

- Ma pan jeszcze dość czasu — powiedział, przyjmując pustą szklankę. — Rekonwalescencja potrwa prawdopodobnie z tydzień, jeżeli nie dłużej. Zdaży pan zastanowić się gruntownie nad nowym układem, przygotować się do obrony.

- Myśli pan, że mogę się bronić? Przed kim? Przed nią, przed sobą?

- Pomówimy o tym jeszcze. A teraz proszę opowiedzieć, jak ułożyły się pana stosunki z teściową.

- Nie miały kiedy się ułożyć. Wczoraj niedługo z nią wytrzymałem, pod byle pretekstem uciekłem z domu i wróciłem późnym wieczorem. Jej obecność doprowadza mnie do roztrzęsienia nerwowego. Przyjechała z polecenia córki, żeby mnie pilnować, czyli szpiegować. Co z tego może wyjść prócz nieszczęścia?

- Czy zachowuje się wobec pana agresywnie?

- Nie jest gadatliwa, to trzeba jej przyznać, za to potrafi bez słów okazać swoją podejrzliwość i wrogość. Chciałem pełnić honory domu, przygotować śniadanie - bądź co bądź, jest moim gościem. Nie pozwoliła mi, kazała zaprowadzić się do kuchni i 'oświadczyła, że sama da sobie radę, mnie zaś wysłała do łazienki, żebym się ogolił i umył.

- To nawet ładnie zrobiła.

- Istotnie, poradziła sobie ze śniadaniem, tylko że mnie każdy kęs stawał kością w gardle. Przed wyjściem z domu powiedziałem, że obiad jest w lodówce, a ona: „Wiem,

podgrzeję sobie”. Szybko sie zadomowiła moim mieszkaniu! Tym lepiej, nie muszę sterczeć przy niej. Wróciłem, kiedy już spała.

- Gdzie pan spędził cały dzień?

- W Ogrodzie Botanicznym, w Łazienkach, na Bielanach. Musiałem w samotności przetrwać taką kardynalną zmianę, to nagle zmartwychwstanie Celiny. Rozważałem swoje położenie na wszystkie sposoby, a im dłużej to robiłem, tym gorzej się czułem. W końcu, do reszty skołowany, pojechałem na Ochotę, do rodziców. Ojca nie było, mogłem pomówić z Anną w cztery oczy

- Opowiedział jej pan wszystko?

- Skądże! Pomiąłem konkrety, powiedziałem ogólnikowo, że moje małżeństwo się rozpada, że zaszły bardzo przykre okoliczności, które wytrąciły mnie z równowagi, że jestem właściwie w potrzasku i nie wiem, jak mam się ratować. Sama zresztą widziała, w jakim byłem stanie.

- Co poradziła?

- Żebym się zwrócił do pana. Wychwalała pańskie kwalifikacje i ludzkie zalety, twierdziła, że można panu całkowicie zaufać. Miałem opory, przecież nikt nie lubi zwracać się do psychiatry. Opowiedziała więc kilka przykładów na dowód pańskiej przenikliwości, z których rozumiałem, że ma pan duże doświadczenie także w sprawach kryminalnych. To mnie przekonało.

- Ledwie pan wspomniał, że jest pasierbem pani Anny, zrozumiałem, kto pana do mnie skierował.

- Pasierb... nie lubię tego słowa, ale formalnie biorąc można mnie tak nazywać. Anna wymusiła na mnie słowo honoru, że dziś postaram się pana zobaczyć. Więc przyjechałem.

— I dobrze się stało. Sprawa jest trochę zagmatwana ale spróbujemy ją wspólnymi siłami rozplątać. Obiektywne spojrzenie człowieka nie zaangażowanego bywa w takich wypadkach przydatne, służy do kontroli sprawności psychicznej, pomaga uwzględnić wszystkie moralne aspekty,

co nie jest bez znaczenia dla takich ludzi jak pan.

- Pan mnie chyba przecenia. Czy mogę liczyć na pańską szczerłość, doktorze?

- Bezsprzecznie.

- Proszę więc otwarcie powiedzieć: czy nie uważa pan mojej sytuacji za beznadziejną?

- Za beznadziejną? Nie rozumiem: pod jakim względem?

- Pod każdym: moralnym, praktycznym, obyczajowym i tak dalej.

- Nie. Natomiast uważam ją za dość kłopotliwą i ryzykowną. Wiele będzie zależało od pańskiego nastawienia i wytrzymałości. Powinien pan zaprzestać tego hamletyzowania, zmobilizować całą energię i spostrzegawczość, poprawić formę fizyczną. Dam panu leki.

Do pokoju zajrzała sprzątaczką.

- Przepraszam, czy panowie jeszcze długo będą pracować? Chciałabym tu sprzątnąć, inne pokoje już zrobione.

- Zaraz wyjdziemy, pani Tereso — powiedział Gellert i zabrał się do przekładania papierów z biurka do szuflad. — Panie inżynierze, resztę omówimy w drodze do Warszawy.

W parku drzewa szumiły pod wiatrem, który zerwał się nagle. Na horyzoncie ciężkie chmury przywalały ostatnią czerwień zachodu,, zrobiło się chłodno. Panowie szli szybkim krokiem.

- Ustalmy przede wszystkim plan wspólnego działania — mówił Gellert. — Nie ma podstaw do paniki, ale nie trzeba też marnować czasu. Chciałbym możliwie szybko otrzymać pańską uporządkowaną pisemną relację z tego, co pan opowiadał na samym początku.

- O moich wspomnieniach i refleksjach w podróży?

- Tak, wraz ze ścisłym opisem faktów, które dotyczyły wspomnień. Będzie mi to potrzebne do przemyślenia całości, a i panu przyda się taka retrospekcja. Prosiłbym tylko nie antydatować swoich reakcji i rozważań w świetle obecnej sytuacji, dobrze?

- Spróbuję. A co mam robić z teściową?

- W miarę możliwości, nic. Niech pan zużywa na nią jak

najmniej nerwów, to przecież nie główny przeciwnik, tylko wysłannik bez specjalnych uprawnień.

- Nie tyle wysłannik, co kapuś.

- Tak, kapuś, to należy uwzględnić. Radzę przekazać siarą pod opiekę gosposi z odpowiednią instrukcją, żeby miała ją na oku. I niech pan spędza więcej czasu poza domem, jednakże nie w taki sposób, żeby to wyglądało na ostentację lub ucieczkę.

- Rozumiem. Wszystko zostanie Celinie zreferowane, za wszystko będę musiał zapłacić.

- Może pan do mnie dzwonić o każdej porze, proszę zapisać mój telefon w domu i w zakładzie. Czy pan kiedykolwiek w życiu prowadził dziennik?

- Nigdy nie wpadłem na taki pomysł.

- Niech pan teraz spróbuje. To pomaga w uświadamianiu sobie własnych stanów psychicznych. Pisać trzeba dla siebie, tylko dla siebie, bez retuszu, bez oglądania się na kogoś innego.

- Nawet na pana?

- Zwłaszcza o mnie należy zapomnieć. Jeżeli nawet z tych czy innych powodów zechce mi pan kiedyś pokazać pewne fragmenty, będą mnie one interesowały tylko wtedy, jeżeli będą dokumentem absolutnej szczerości.

- Dobrze, będę o tym pamiętał.

- Pośpieszmy się, zaraz nadejdzie warszawski pociąg.

Już słyhać było daleki stukot kół. Panowie, zapominając o swojej czterdziestce, pobiegli zgodnym kłusem. Mocno zdyszani, dopadli pociągu, kiedy już ruszał z przystanku.

Zajęli miejsca przy oknie w prawie pustym wagonie. Doktor złożył na stoliku teczkę i zapatrzył się w połyskującą szybę. Inżynier wtulił się w kąt, zamknął oczy i jakoś oklapł nagle, osunął się ciężko na ławkę.

Gellert widział jego odbicie w oknie. Ze zmęczonej twarzy senność szybko zmiatała wyraz napięcia i trwogi, głowa bezwładnie chwiała się na twardym oparciu, ramiona ześliznęły się z kolan i opadły wzdłuż ciała, oddech się zwolnił, wyrównał. Zasnął na dobre.

Wtedy twarz doktora również zmieniła wyraz. Ściągnąwszy brwi, wpatrywał się w siedzącego naprzeciw z wzrastającym wysiłkiem i z troskaniem, jakby zajęty układaniem obrazka z porozrzucanych klocków, w których brak było najważniejszych. Chwilami mogło się zdawać, że myślą błędzi gdzieś bardzo daleko, to znów — że z rysów śpiącego chce wyczytać szczegół, który powinien zdecydować o rozwiązaniu zadania.

Poznał tego człowieka dopiero dziś, spędził z nim wiele godzin, wysłuchał jego niecodziennej historii, która zaskoczyła nawet jego, powiernika z zawodu, obytego z zawłościami życia i psychiki ludzkiej. Czuł w sobie jakiś zamęt, nie był pewien swoich odczuć i obserwacji.

Roztrząsał w pamięci epizody tej dziwnej historii, zestawiał je, szacował ich wiarogodność. Stawał się coraz bardziej posępny, palił częściej.

- To nie jest taka prosta sprawa — powiedział w pewnej chwili, bezdźwięcznie poruszając wargami. — On nawet nie wie, jak dalece ta sprawa nie jest prosta.

DZIENNIK ANDRZEJA ZBOROWSKIEGO

Wtorek 16.IX.69

Ukończyłem notatki dla doktora G. Wczoraj, po powrocie do domu, pisałem do trzeciej w nocy, dziś w biurze do czwartej. Straszny wysiłek, zupełnie co innego niż opowiadać. Miał rację, mnie samemu pewne rzeczy ukazały się w innym świetle.

Wysłałem ekspresem poleconym.

W biurze poruszam się jak automat, źle rozumiem, co do mnie mówią. Tłumaczę się przeziębieniem, że czuję w kościach grypę. Lewandowska przyniosła vitaral. Połykam, co mam robić.

Dziś położę się od razu po kolacji. Dobry pretekst, żeby skrócić wspólny posiłek rodzinny.

Spać, spać! Gdyby tak można było przespać cały tydzień.

Środa 17.IX

Okropnie denerwują mnie rzeczy, na które nigdy nie zwracałem uwagi. Myślałby ktoś, że stykam się z nimi po raz pierwszy w życiu. Na przykład:

Urzęduję na piętrze, zawsze idę głównymi schodami i skręcam do drugich drzwi na prawo. Automatycznie, jak koń do stajni. Bądź co bądź, to już parę lat. Dziś przez roztargnienie skręciłem na parterze za jakimś urzędnikiem i, tak jak on, stanąłem przed windą. Czekala tam cała gromadka, winda była w drodze na górę, gawędzili.

Od razu przestali rozmawiać, ale ja jeszcze nie odnosiłem tego do siebie. Nadeszła winda i znienacka zrobiła się pustka przede mną, ci na przedzie się usunęli, panie też. Wciąż jeszcze nie docierała do mnie istota sytuacji.

Wszedłem, czekałem na innych. Nikt się nie ruszał. Potem jakiś pan z fagasowskim uśmiechem wlaźł za mną,

zatrzasnął drzwiczki, nacisnął guzik — i od razu byliśmy na pierwszym piętrze. Wypuścił mnie, kłaniając się w pas, winda ruszyła z powrotem na dół.

Wtedy dopiero ocknąłem się z zamyślenia i zrozumiałem, że zabrałem parę minut ludziom, którzy bardzo się śpieszą do swoich miejsc urzędowania, bo im się nie wolno spóźniać.

Rozzłościłem się na siebie, a jeszcze bardziej na usłużnego urzędnika, który chyba nie będzie miał we mnie przyjaciela.

W ogóle wszystko widzę inaczej, jaskrawiej, tak jakbym był dotychczas krótkowidzem bez szkieł. Męczą mnie teraz szkła. I ten chłodek od karku wzdłuż kręgosłupa na myśl, że to wszystko niebawem odpłynie nie wiadomo dokąd... Polubiłem urzędowanie, tylko wtedy zapominam o szklach, o chłodku. Czy na długo starczy?

Połykam vitaral.

Podczas obiadu teściowa:

- Obejdzie się bez operacji.
- Jakie i operacji?
- U Celiny.
- Skąd pani wie?
- Mam list.

Nie było przedtem mowy o żadnej operacji, w ogóle nie wiem, jakie odniosła rany czy okaleczenia. List obejrzałem. Wśród bajdurzenia o mamusinej dobroci itd. — nowinka:

„Operować nie będą, może już za tydzień czy dwa będę wracała do domu.”

To różnica, tydzień czy dwa — dla mnie przynajmniej! Bo tyle mi pozostaje wolniejszego życia. Z jej powrotem wszystko zostanie przekreślone, w każdym razie — spokojna (choćby względnie) egzystencja.

Do tej perspektywy powinienem się przyzwyczajać, a nie jestem pewien, czy w tym celu lepiej o powrocie Celiny częściej wspominać, czy na odwrót, wyrzucić ten fakt z pamięci. Bo każde przypomnienie kosztuje mnie straszliwie drogo, potem nie mogę się otrząsnąć.

Przy kolacji stara, nie pytając mnie, włączyła telewizor. Oglądałem, lepsze to niż jej twarz. Od razu poznałem dzieło

Teatru Sensacji.

Zabawne, jak oni sobie wyobrażają sensację! Nieporadność fenomenalna. Tekturowe luksusy jako tło słodkiego życia gdzieś w dalekim świecie, tekturowy dramat, tekturowe dreszczyki. Same makiety.

Gwiazdor, *l'homme fatal*, łypie czarnym okiem spod pulchnej powieki (ta powieka śni się dziewczętom po nocach!), rozciąga usta w zagadkowym uśmiechu, z zimną premedytacją wycalowuje partnerki. Sztampa, wytarto sztampa. Partnerki nie lepsze od niego, zimnokrwiste, wyrachowane, pokazują ciało w dobrym gatunku, to ich jedyne mienie.

Szklany ekran jest bezlitosny, wyciąga na jaw całą głupotę scenariusza, reżyserii, gestów i min. Widz czuje się oszukany i ośmieszony, skradziono mu dreszczyki wkalkulowane w opłatę telewizora. Do kogo pójdzie z tą krzywdą?

Teściowa pozbawiła mnie dziś jedynej przyjemności, którą sobie cenię jako posiadacz telewizora: możliwości jego wyłączenia. Lubię patrzeć, jak blednie obraz i gęsta czerń zalewa szkło aż po świetlisty punkcik w środku, który też gaśnie po krótkiej agonii. Odszedłem, zostawiając ją przed aparatem, delektowała się arcydziełem, dziennikiem, sporćem - pod rząd, jak leci. W jadalni huczało na cały regulator.

Zamknąłem się w swoim gabinecie, wysączyłem do dna napoczętą kiedyś butelkę koniaku. W samotności! Staczam się.

Stara trwała na warcie telewizyjnej do jedenastej.

Biorę proszki nasenne, bez nich nie zasnę.

Czwartek 18.IX

Potworna noc, bezsenność i majaczenie, napady lęku, potem na odwrót, hojrackie „wszystko jedno”. Histeria, wszystkie wewnętrzne śrubki rozregulowane. Z rana najczarniejsza depresja.

Jak na złość, baba zajęła łazienkę na całą godzinę, a przecież wie, że mam iść do biura. Zapukałem i przeprosiłem

grzecznie, że akurat dziś bardzo mi pilno itd. Udała, że nie słyszy.

Miałem wielką ochotę wysadzić drzwi, zwyczajnie, po chamsku. Do jasnej cholery, w tym domu pracujemy tylko ja i pani Maria, mogłoby to ścierwo przełożyć kapiel.

Z biura zatelefonowałem do doktora G. Zganił mnie za to, że biorę proszki nasenne po alkoholu, to surowo wzbronione. Stąd był ten mój stan podniecenia przez całą noc. W pracy też go odczuwam — żadnej senności, przypływ energii. W podskokach na posiedzenie, wciąż wałkujemy ten zagrożony plan pod Wrocławiem.

Krajewicz sady się na dowcipy:

- Nie zamierzam bynajmniej stawiać sprawy na głowie, ha-ha-ha, to by jej na zdrowie nie wyszło, ba-ha-ha. (Kilka wątych ha-ha na sali.) Ale powiedzmy wprost: niektóre biura projektów wykorzystują uchwałę Rady Ministrów nr 110, żeby sobie ułatwiać życie.

Biura projektów to moja słabość, od tego kiedyś zaczynałem. Wkurzyło mnie to! Sam, bęczał jeden, nic innego nie robi, tylko ułatwia sobie życie za pomocą uchwały 110 tudzież wielu innych, i jeszcze każe sobie słono płacić przy byle okazji!

Byłbym to powiedział na cały głos, bo mi hamulce wysiadły, ale szczęśliwie nawinał się pod rękę Gaworczak. Szeptem do ucha: „Inżynierze, byłoby dobrze, żeby pan uzupełnił prezesa, nadmienił o braku dyscypliny i lukach dozoru”. Ach, tak? Uzupełniłem z wielką radością.

Zabrałem głos i długo go nie oddawałem. Krajewicz nie bardzo rozumiał, Gaworczak się wiercił i pocił. Barylski potem zapytał: „co cię ugryzło?” Rzeczywiście.

Nie chce mi się wracać do domu. Do restauracji też nie. Chciałbym być tam, gdzie nie ma ludzi.

Zdjąć szkła! Po co widzieć wszystko tak wyraźnie?

Czterdzieści lat byłem krótkowidzem i dobrze było. Ale już nie da się zdjąć, cholera!

Czwartek wieczorem

Umówiłem się z doktorem, pojechałem po południu do

Pruszkowa. Jak i zeszłym razem, pociągiem.

Śmieszne są te wagony WKD: nieduże, pomalowane . chyba pół wieku temu na żółto-niebiesko i już całkiem wyblakłe, staroświeckie. Dworzec WKD na Jerozolimskich, biedny krewniak Warszawy Śródmieścia, wpędza się w kompleks niższości, patrząc na eleganckie dalekobieżne ekspresy, mijające go w pędzie. Dwa światy, dwie epoki! Te skromniutkie dojazdowe pociągi, mimo że o napędzie elektrycznym, przywodzą na myśl dzieciństwo kolei żelaznej, słynny film z Busterem Keatonem.

Wewnętrzny urządzeniem przypomina taki wagon raczej tramwaj, a stacje — przystanki tramwajowe, bez obudowania i peronu, wprost na jezdni. Wszystko to razem usposabia do wycieczek w przeszłość, zwłaszcza że do Tworek niemal godzina jazdy.

Puściłem cugle pamięci, wylądowałem w Paryżu podczas mojego drugiego, samotnego pobytu w roku 1967. Zwiedziłem wtedy Muzeum Sztuki Nowoczesnej, koło placu Alma.

Zaciekawiły mnie mobilne konstrukcje z metalu i tworzyw sztucznych, nowy rodzaj rzeźby. Przez czas jakiś z przyjemnością przyglądałem się różnokierunkowym ruchom poszczególnych detali, potem zaczął mnie nużyć ich mechaniczny, jednostajny rytm, te powtarzające się cykle przesunięć. Owszem, ruszają się: i cóż z tego?

Pomyślałem: jestem konserwatystą, zacofańcem, nie znam się na sztuce nowatorskiej, a wstyd — budownictwo to też gałąź sztuki, trzeba z wiekiem itd. Po cichu przyjrzałem się innym zwiedzającym, było ich niewielu; wydało mi się, że i oni reagują podobnie, tylko starają się ukryć. Może myliłem-się, nie wiem.

Zapamiętałem młodą parkę, chyba z Uniwersytetu. Przystanęli obok mnie przed ruchomą rzeźbą, dosłyszałem jej szept nieśmiały:

- Czy to jest dobre, jak myślisz?
- Oczywiście! — odpowiedział z zapalem, który najczęściej maskuje brak przekonania. — Wspaniale!
- Dlaczego? Wytłumacz.

- Takich rzeczy się nie tłumaczy, albo wyczuwasz to, albo nic nie pomoże. Czy nie widzisz, że to wyraża całe nasze dzisiejsze życie?

Studentka milczała, skłopotana. Odeszła, żeby zobaczyć dzieło w innym ujęciu. Z tyłu zgnieciona spódniczka zawinęła się, odsłaniając delikatne rowki nad kolanami — takie dziecinne i pewnie takie słodkie w chwilach miłości. Przechyliła głowę na bok, ciemne włosy zwartym płatem zsunęły się na jedno ramię. Uczciwie starała się zrozumieć.

Popatrzyłem uważniej na obracające się pręty, druciki i kulki, pomalowane na jaskrawe, skłócone ze sobą kolory: może właśnie ta obłąkana kolorowość ma wyrażać „całe nasze dzisiejsze życie”? Nie zgłębiłem tej tajemnicy zrezygnowałem.

Później zatrzymałem się przed dużym płótnem, nie spałem nazwiska malarza. Ciskało w widza krwawa czerwień, ostry błękit i czerń. Barwy wirowały rozdygotane, przyciągały niemal fizycznie. Długo tam stałem, urzekła mnie ta dynamika, o wiele prawdziwsza niż mechaniczne poruszenia mobilów.

Czułem pasję artysty, musiał rzucić na płótno dławiący g^o gniew, wściekłość, żądzę zniszczenia. Gdzieś bardzo głęboko we mnie odezwały się uczucia i odruchy nie zupełnie wygasłe, które i mnie dławiły rok wcześniej.

Zajrzałem do katalogu, zdziwił mnie tytuł: „Przemijanie”. Teraz, we wspomnieniu, lepiej rozumiem sens tego tytułu, doceniam jego kojącą intencję. Tak, przemijanie: na to tylko można liczyć.

Poszedłem też na plac Trocadéro, do Muzeum Człowieka, nie zdążyłem go zwiedzić z Martą poprzednim razem. Puste sale, olbrzymie szklane gabloty, w nich szkielety wszelkiego rodzaju, skompletowane i częściowe. Zaimponowały mi najdrobniejsze kosteczki, wyciągnięte pojedynczo z rupieciarni naszej Matki Ziemi, gdzie przeleżały setki tysięcy lat. Setki tysięcy! Cyfra kosmiczna, nie da się tego ogarnąć wyobraźnią. Nawet nie próbowałem.

Byłem wśród tych gablot jedyną istotą żyjącą, jeżeli nie liczyć woznego, który drzemał na krześle przy wejściu. Czułem

się trochę nieswojo jako reprezentant współczesnej ludzkości. Dokonałem jednak zwiedzania według reguł. To był teatr sensacji! Jeszcze dziś przechodzą mnie ciarki.

Neandertalczyk czy jakiś inny małpolud, już nie pamiętam, bez skrawka mięsa na grzbiecie, ohydny w swej kościanej nagości, wystawiał płaski uparty łeb z niedorozwiniętą zuchwą, gapił się bezczelnie czarnymi oczodołami, jakby chciał powiedzieć: nie byłbyś lepszy, gdybyś żył pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Racja!

Ta agresywność nie dodawała mu urody. Był zadziwiająco mały, przysadzisty, pochylony niezdarnie naprzód, niezbyt jeszcze pewny swej pary nóg, gotów w każdej chwili podeprzeć się długimi łapskami.

Mieszkał ponoć w Europie, a więc mój najbliższy poprzednik w skali multimilenijnej. Mogłem szczyć się tym pokrewieństwem: w jego spłaszczonej czaszce tak mało mieściło się mózgu, a już dokonywał genialnych odkryć — umiał rozpalić ogień! Czy nie ten właśnie osobnik był owoczesnym Edisonem?

Mówiłem to sobie, żeby wykrzesać w sercu odrobinę sympatii dla protoplasty. Przechodząc od gabloty do gabloty, dowiadywałem się, jak żmudną drogę przebyły istoty mojego gatunku, zanim doszły do dzisiejszej doskonałości.

Dziwnym trafem widok poźółkłych czaszek i wyszczerbionych uzębień nasuwał mi nie tyle myśl o postępach rodzaju ludzkiego, co wspomnienie pani Renaty i zdrożną refleksję: jak wyglądałaby owa dama, wyrzucona po latach z rodzinnego grobowca? Dygresja tym bardziej niestosowna, że moja eksteściowa żyła jeszcze i cieszyła się dobrym zdrowiem.

Przy okazji porównałem byłą teściową z aktualną i przyznałem ze szczerą skruchą, że nie doceniałem pani profesorowej, która jest, w gruncie rzeczy, niewiastą miłą, dobroduszną, dla świata życzliwą i pełną innych drogocennych zalet. Tak, tak! Gdybym zamiast pani Bielak gościł teraz panią Renatę...

No nie, nie przesadzajmy! Najlepiej żadnej teściowej nie gościć i w ogóle nie mieć. Z tą złotą myślą wysiadłem w

Tworach, nieco podbudowany wycieczką w przeszłość. Przemijanie! Liczy na przemijanie.

U doktora spędziłem całą godzinę. Rozmowa niezwykle interesująca. Ten człowiek potrafi mnie wyciągnąć z nieszczęścia, mam do niego coraz większe zaufanie. Anna będzie zadowolona.

Piątek. 19.IX

(Piszę w biurze).

Nie, to nie do wiary!

Zaczął się od tego, że przy śniadaniu pani B. powiedziała, że pójdzie do sklepu kupić wygodne bambosze dla córuchy, bo widzi, że w domu nie ma odpowiedniego obuwia, tylko na wysokich obcasach. Wzruszająca troska o dziecko, które wraca ze szpitala. Niech będzie.

Udałem, że muszę wykonać pilną pracę, czekałem przy biurku, żeby wyszła na zakupy. Bo wczoraj doktor zapytał, ile w tej chwili mam na koncie bankowym. Zadaje czasem przedziwne pytania, a ja postanowiłem niczemu się nie dziwić.

Skoro interesuje go moje konto, trudno, trzeba dowiedzieć się w PKO, ale muszę przyjść z książeczką czekową. Celina trzyma ją w sypialni, w swoim biurku — jakże tam dotrę, kiedy stara w domu? Gotowa jeszcze pomyśleć, że coś sprawdzam albo chcę jej córuchnę okraść, Z taką nie wiadomo, czego można się spodziewać.

Dwie godziny zeszły mi na tym czekaniu. A do sypialni i tak się nie dostałem. Bo — kobra, prawdziwa kobra! — w moim własnym domu jakaś przybłęda zamyka przede mną drzwi na klucz. Nic do wiary, ale fakt.

Pani Maria skorzystała z tej pierwszej okazji, żeśmy zostali sami bez nadzoru, wyzaliła się. Też nie do wiary: stara pilnuje jej. nie wychodzi z sypialni podczas sprzątania, wtrąca się do spraw kuchennych — słowem, szarogęsi się, jakby miała objąć tu rządy. Kobra, kobra!

Maria cała w nerwach, łzy w oczach: „już nasza pani

lepsz, wie pan!” Po raz pierwszy nazwała Celinę „nasza pani”, z żalu i z roztargnienia. Mówi: „Z jakiej racji mam się słuchać obcej pani?”

Mam i ja podobne uczucie: z jakiej racji mam tolerować chamstwo zupełnie obcej osoby? Tylko że ja wiem to.

O czym pani Maria nie wie: najgorsze nastąpi, kiedy ta „nie obca” wróci. Chciałbym o tym nie myśleć.

Ten incydent pogorszył mój stan psychiczny, który doktor zdołał wczoraj podreperować. Nawet urzędowanie nie idzie mi jakoś, brak skupienia i zainteresowania. Źle ze mną.

Zadzwoiłem do doktora, bo prosił, żeby m sygnalizował każdą niespodziankę. Opisałem zajście. Powiedział: „doskonale”. Dziwak to jednak, w żaden sposób nie mogę tu dopatrzeć się jakichś doskonałości. Ale trudno, jak zaufanie, to zaufanie.

Kazał mi zachować spokój wewnętrzny (na zewnętrznym mu widać nie zależy), żeby m nie brał do ust alkoholu i połknął na noc podwójne valium. Dobrze.

Piszę z całą świadomością „kazał”, a nie „radził” czy „prosił”: już dobrze rozróżniam odcienie jego głosu, chwytam intencję. Z tego, że właśnie kazał, wnioskuje, że sprawa staje się poważna.

Słucham go bez sprzeciwu i bez zbędnych pytań. Wyrabiam się na dobrego żołnierza, tylko po co? Szlifów oficerskich i tak zdobyć nie zdążę.

Wieczorem

Obrzydła mi ta buraczkowa gęba ze szklami zamiast oczu. Poprosiłem o kolację do gabinetu, zamknąłem się i nie wychodzę. Niech się stara obrazi! Ale skąd, niedoczekanie moje, nawet nie zrozumie, że ją lekceważę.

Puściła telewizję na wszystkie fajerki. Przeszkadza mi nie tyle hałas, ile to zamierzone chamstwo. Irytująca bezradność — przecież nie będę jej lajał.

Teraz przeszła do sypialni, włączyła radio. Chyba specjalnie przeniosła go z nocnej szafki na biurko, które stoi pod drzwiami do gabinetu, gdzie teraz sypiam. Ryczy jak nigdy,

mój biedny „Philips”!

Złapała zagraniczną stację, nadają „Ekspres muzyczny”. Upojna rozmowa w eterze o nowinkach big-beatu, sprawozdania ze stolic świata.

- Hallo, hallo! Tu Londyn.

- Cześć, Kaziu! Co słyszeć?

- Dziękuję.

- Jaką macie pogodę?

- Jak na Londyn całkiem przyzwoitą, bez deszczu.

- Au nas, dla odmiany, pochmurnie. Co masz nowego?

- Rewelację: w music-hallu występuje zespół Johnny Bobsa z nowym programem. Znakomity!

- Co ty powiesz?

- Bardzo interesujący program, mają zupełnie świeże pomysły.

- Aha.

- Zwłaszcza jeden solista wyróżnia się barwą głosu i interpretacją.

- Ooooo?

- Mówię ci, pierwszorzędne kreacje!

- Bardzo się cieszę.

- Przekaż, proszę cię, naszym słuchaczom najnowszy przebój Johnny’ego: „Baby, Baby...”

- Już się robi. Cześć, Kaziu, dziękuję!

I muzyczka.

- Hallo, hallo! Tu mówi Paryż.

To już kobiecy głos, aż do chryпки rozgrzany sexappealem.

- Dobry wieczór, Basiu! Jak zdróweczko?

- Dziękuję, nie najgorzej.

- Co masz dla nas nowego?

- Jak zwykle, bardzo dużo.

- Naprawdę?

- Przede wszystkim gorące pozdrowienia dla miłych słuchaczy, o których nie zapominam nigdy, nawet w głębokim śnie!

- Co ty powiesz?

- Bawię akurat w Paryżu, wiesz. Mogę ci zakomunikować, że w „Olimpii” odnosi niezwykle sukces młody zespół big-beatowy z Kalifornii.

- Aha.

- Powiem ci w zaufaniu, że mnie osobiście chłopcy bardzo się spodobali.

- Ooooo?

- Słowo honoru! Mają taką żywiołową nastrojowość i sporo kultury muzycznej...

- Bardzo się cieszę.

- Na przykład, proszę posłuchać...

I muzyczka.

Muszę słuchać tych „aha”, „ooo”, „co powiesz” — w kółko. Tuż nad uchem. Zwariować można!

Wpadłem na lepszy pomysł. Wyciągnąłem z szafy tranzystorek japoński, potęga niezrównana, złapałem gdzieś jakieś przemówienie — i na cały głos!

Trafiłem szczęśliwie, bo od razu jakby wszystkie moce piekielne zerwały się z łańcucha, jakby puszcza ryknęła przed atomową zagładą: jazgot, wycie, pieruny! Miło było położyć się z książką i czytać, humor od razu poszedł w górę, z samej satysfakcji.

Nie wiem, kiedy stara wyłączyła swój „ekspres”, bo ja gaszę radio dopiero teraz, o pierwszej.

Dobranoc, pieszczotko!

20.IX sobota

Zmartwienie: doktor wyjeżdża do poniedziałku. Będzie mi go brakowało, bardzo.

Prosił, żebym notował w pamięci nawet drobiazgi, by nie uciekły. „Wszystko może okazać się potem ważne.” Nie nalegam na wyjaśnienie.

Notować „w pamięci” — to oczywiście kurtuazja, eufemizm. Ma na myśli mój dziennik. Zastanawiam się właśnie: czy prowadzę go tak, jak trzeba? Może za mało konkretów.

Przypuszczam, że trzeba mieć określoną strukturę psy-

chiczną do prowadzenia dziennika. Ciekawa byłaby statystyka: kto, gdzie, w jaki sposób prowadzi dziennik, według różnych rubryk.

Ja bym zaproponował rubrykę: posiadaczy psów. Bo wydaje mi się, że ten, który ma psa, odczuwa mniejszą potrzebę zwierzenia się w samotności, na papierze. Pies jest najlepszym słuchaczem zwierzeń — czujny, pojętny, wyrozumiały, pełen życzliwości i oddania, gotów do rozgrzeszenia każdego bezceństwa, a przede wszystkim absolutnie dyskretny — nikomu, nic, nigdy, ani słowa!

Wolałbym mieć psinę niż pisać dziennik. Siedziałby obok mnie taki wilczur albo jeszcze lepiej terier ostrowłosy, patrzyłby mi w oczy wilgotnymi ślipiami, wyteżałby całą uwagę, łapał każde drgnięcie mojego głosu, a ja bym mówił swobodnie, bez hamulców, wyznawałbym najtajniejsze myśli i zachcianki, użalałbym się na ludzi, na siebie. Wszystko by rozumiała moja psina kochana! Kupię sobie taką, jeżeli...

Lewandowska ostrożniutko uchyliła drzwi, żeby przypomnieć, że już koniec urzędowania. Rzeczywiście, przecież to sobota! Szkoda.

Z rana nie widziałem starej, nie wyszła na śniadanie, pewnie odsypiała hałaśliwą noc. Spotykamy się dopiero przy obiedzie. Bardzo grzecznie, ani słówka o wczorajszym. Zdaje się, że znalazłem dobry na nią sposób.

Przy stole mówię do pani Marii, że zjem kolację na mieście, więc może odejść wcześniej, „o ile pani starsza nie ma nic przeciwko temu”. Starsza milczy, gosposia może to uznać za przyzwolenie.

Zaproszę Basię do Bristolu, a jeżeli się nie uda, pójdę do kina. Zawsze to lepiej niż sterczeć w domu — w takim towarzystwie!

Zapisuję na gorąco, to chyba ważne.

Basia zajęta przy ojcu, kolację zjadłem w barze, na kino nie miałem ochoty. Wróciłem do domu koło ósmej.

Już na schodach usłyszałem muzyczkę taneczną — oho, stara się bawi! Już nie „ekspres muzyczny”, tylko big-beat na

rnim adapterze, poznają płytę.

Cichutko otwieram drzwi, wchodzę na palcach. Zbyteczna ostrożność, w stołowym wesola zabawa, brzęk kieliszków, potem rzadki tenorek z przy śpiewem:

- Zdrowie gospodaaarza, niech nam dobrze się choooowa!

Znam ten głos, to „Pietrasiński”, ten niby kolega z biura, który telefonował po moim przyjeździe „czy pan inżynier już wrócił”. Znajomy teściowej? A to ciekawe!

Drzwi na korytarz uchylone, ale widać tylko kawałek stołu, tylko mężczyznę w kraciastej marynarce, tyłem do wejścia. Kochana staruszka śmieje się tym swoim cłod- kim szczekliwym głosikiem.

Pietrasiński:

- No, to jeszcze po jednym? Za zdrowie córeczki?

Znów idiotyczny śmiech, piją. Widać już mocno się zaprawili, wszystko ich wpędza w wesolość. Zdaje się, gości poza nim nie ma, jakoś innych głosów nie słyhać, ale nie można być pewnym.

Posuwam się na palcach, chcę zajrzeć do środka. Nie, boję się, podłoga zaczyna skrzypieć. I płyta akurat się skończyła.

- Och, czajnik wykipi, zgaszę gaz! — wykrzykuje teściowa i odsuwa krzesło.

Dobrze, że zgasili światło w przedpokoju. Cofam się, chowam za wieszakiem. Widzę, jak stara w szlafroku (sic!) wychodzi do kuchni, krząta się tam chwilę i wraca. Przez ten czas w jadalni zupełna cisza, tylko Pietrasiński mlaska zajadając coś, poza nim widocznie nie ma nikogo. Ona wraca z kuchni, zamyka za sobą drzwi jadalni. A to pech!

Z tej odległości już nic nie usłyszę, a podsłuchiwać pode drzwiami nie umiem (skutki głupiej kindersztuby). Wychodzę z mieszkania, usiłując robić to bezszmerowo.

Na rogu po przeciwnej stronie ulicy jest knajpa trzeciej kategorii typu „mordownia”. Tam właśnie kieruję swe kroki, oświetlony nieco przez mistrza Simenona: dzielny komisarz Maigret miał cierpliwość przesiadywać godzinami w takich obskurnych knajpach, obserwując przez okno interesujący go

obiekt.

A więc idę w jego ślady, sadowię się, acz niechętnie, na wysokim stołku przy oknie i popijając duże jasne obserwuję obiekt bardzo mnie interesujący, bo dom, w którym mieszkam. Dobro sprawy (własnej) i mnie leży na sercu.

Poza tym nic ciekawego, mordownia jak mordownia. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, nikogo nie dziwi, że ktoś dobrze ubrany woli pić tu niż na przykład w Grandzie – wiadomo, różnie z człowiekiem bywa, a zresztą, co i kogo obchodzi? Wolność jednostki.

Widzę stąd oświetlone okna mojej jadalni i kuchni (gabinet i sypialnia wychodzą na podwórze). Mija godzina i nic się nie dzieje, próżno czekam na tak zwane „chińskie cienie” na storach, które tyle razy były Maigretowi pomocne. Dziś prześladuje mnie pech.

O dziewiątej światła w stołowym gasną. Pietrasiński jednak nie ukazuje się na ulicy. Albo ma w tym domu jeszcze innych znajomych i składa kolejny wizytę, albo udał się do mojego gabinetu czy sypialni. Trzecia możliwość: siedzi z teściową w kuchni, tam nadal pali się światło - szkoda tylko, że cieni na storach wciąż brak.

Przede mną rośnie gromadka pustych kufli. W głowie robi się niewyraźnie. Po co ja tu sterczę? Gwiżdżę na Pietrasińskiego, gwiżdżę na cud-teściową, gwiżdżę na jej córeczkę, która kuruje się w cieplickim szpitalu.

Najgorsze, że gwiżdżę też na Andrzeja Zborowskiego, inżyniera, dyrektora, członka zarządu, który ma chwilowo tarapaty. Co mnie obchodzą jego tarapaty? Chcę spać, a mam własne łóżko niedaleko stąd, ot, parę kroków przez ulicę...

Plącę, wychodzę, nie bardzo się chwiejąc. Winda nieczynna, to nic nadzwyczajnego. Włączam światło na schodach i rozpoczynam wspinaczkę na czwarte piętro, co odbywa się dość ślamazarnie, jako że przeszkadzają mi własne stopy.

W połowie drogi gaśnie światło, też nic nadzwyczajnego. Nie umiem znaleźć kontaktu, brnę dalej po ciemku. Pozostaje już tylko jedno piętro do pokonania, kiedy słyszę, że na górze

otwierają się drzwi — najwyraźniej drzwi mojego mieszkania — i rozlega się dialog pożegnalny:

- Pa, pa! Zadzwoń. (To teściowa.)

- Tak, jutro w południe. Trzym się! (To Pietraś.)

Słychać cmokanie, widocznie całuje ją w rękę, po czym trzask zamykanych drzwi. Wcale tego nie pragnąc, zostaje sam na sam z moim. pseudo-kolegą biurowym — dobrze jeszcze, że w egipskich ciemnościach.

Facet, nie zapalając światła (dlaczego?), zaczyna schodzić w dół, pogwizdując melodię z mojej płyty. Mija mnie w mroku, zahacza w przejściu o moje ramię, klnie brzydko, potem przeprosza i w przyśpieszonym tempie opuszcza nasz dom. Na dole huk zatrzaśniętych z rozpędu drzwi. Trochę to przypomina ucieczkę.

Wiedziony raczej instynktem niż rozmysłem, zostaję jeszcze przez pewien czas na schodach. Potem odnajduję po omacku kontakt, włączam światło, dochodzę do swoich drzwi i otwieram je z klucza. W przedpokoju ciemno, tylko z sypialni sączy się jasne pasemko. Przechodzę do gabinetu, kładę się ubrany na zaścielonym tapczanie — i natychmiast zasypiam.

Teraz jest druga w nocy. Obudziwszy się, zapisałem incydent możliwie dokładnie, będę mógł powtórzyć doktorowi ze wszystkimi szczegółami.

Bardzo jestem ciekaw, co on powie?

21.IX

Niedziela. Pan Bóg tego dnia odpoczywał i nam przykazał. Jak mam wykonać to przykazanie?

Pół do jedenastej, minął równo tydzień od przybycia mojej teściowej. Mały jubileusz.

Po wczorajszym piwie boli mnie głowa. Wypiłem chyba całą beczkę. Spałem za to dobrze, bez snów.

Rozważywszy wczorajsze zajście, dochodzą do wniosku: Pietrasiński to człowiek Celiny, na jej polecenie knuje coś przeciwko mnie, w zмовie z jej matką.

Kto to może być: gach? dawny przyjaciel? krewny? Chyba

krewny, dlatego jest ze starą na ty.

Z jakiej sfery społecznej? Chyba z zamożnej: o ile zdążyłem zauważyć, marynarke ma w dobrym gatunku, drogą. A sądząc z wymowy i słownictwa, nie będą to szczyty kultury, raczej przedpola: rzemiosło albo inicjatywa prywatna, a może handel uspołeczniony.

Ależ długie macki ma moja małżonka, z Cieplic aż do "Warszawy sięgają! Zaczynam czuć wokół siebie jakąś lepka.. wstrętną sieć pajęczą. Brzydzą się caiym tym towarzystwem.

Zjadłem śniadanie w kuchni, sam. Potem pozwoliłem sobie na godzinkę niedzielnego leniuchowania w łóżku., chyba w zgodzie z boską instrukcją.

Niedobrze, że tak dotkliwie odczuwam nieobecność doktora G., to zakrawa już na wewnętrzną zależność. Prawdę mówiąc, mało miałem do czynienia z lekarzami, brak mi skali porównawczej. Leczyłem się tylko w dzieciństwie, a potem u profesora Charpentona w Paryżu. Może dlatego Gellert często kojarzy mi się z Francuzem. Nie, pewnie nie tylko dlatego.

Pamiętam: kiedy profesor wchodził do pokoju, widok jego od razu mnie uspokajał, budził wiarę w możliwości medycyny. Witał mnie krótkim, mocnym uściskiem dłoni i siadał przy łóżku.

Zdejmowałem pidżamę, zaczynał mnie badać. Lekko dotykał wypukłości pod gardłem i za uszami, przesuwając palce na klatkę piersiową, na brzuch. Miał dotyk anioła, nie naciskał do bólu, wystarczył mu pierwszy obronny skurcz mięśni, a wiedział już, gdzie tkwi ognisko zapalne.

Osłuchawszy płuca stetoskopem, odkładał aparat i przytykał ucho do mojej piersi. Czulem wtedy na skórze łaskotanie i ciepło jego policzka, widziałem z bliska cienkie włosy, dobiegał mnie zapach angielskiej wody kolońskiej Wszystko to było miłe.

Skończywszy badanie, siadał z powrotem na krześle, chował stetoskop do futerału.

- Stan płuc ulega poprawie — objaśniał mnie, wchodząc w medyczne szczegóły. Mówił bez pośpiechu, mógłbym

pomyśleć, że jestem jego jedynym pacjentem, któremu pragnie poświęcić cały swój czas.

Spływał na mnie spokój, jakiego dawno już nie doznawałem. Długo po jego odejściu pozostawał w pokoju leciutki zapach wody kolońskiej, który bardzo lubiłem.

Dosyć wspomnienia, wyruszam z domu, dobrze ogolony i wyelegantowany – przecież niedziela!

Łaziłem po mieście, za brnąłem na Starówkę, gdzie nie byłem od paru lat. Dobrze, że tam trafiłem.

Pozostała część Warszawy rozbudowała się, staje się coraz bardziej zatłoczona, pełna kurzu i hałasów – a tu cisza, spokój prowincjonalnego zakątka. Kontrast oszołamiający! Wchłaniałem w siebie tę prowincjonalność jak kojący środek na nerwy.

Ta cisza, to beztrioskie wałęsanie się przechodniów po jezdni, te przyjaźnie uśmiechnięte do siebie twarze – zdać się może, że tu wszyscy nawzajem się znają. To niemożliwe, żeby do Krakowskiego było stąd dziesięć minut powolnym krokiem! To nie Warszawa, to jakieś inne miasto, to w ogóle inny, odrębny świat.

Rynek Nowego miasta, mój ulubiony, nic się nie zmienił. Kiedyś zaprowadziłem tu znajomych Włochów, przy świetle księżycy. Stanęli jak zauroczeni, twierdzili, że to kawałek ich rodzinnej ziemi, okolice Florencji.

Długo łąziłem, zaglądałem za bramy domów, kiedyś przeze mnie odwiedzanych, chyba z Martą. Poznawałem z trudem te podwórka, tak się zmieniły! Gdzie rzadka trawka przebijała się z trudem przez grunt niedawnego placu. budowy, teraz rozrosły się bujne zieleńce, wytrysnęły ku niebu kwiaty dorodne, jaskrawe, o rozkrzyczanych barwach. Powietrze czyste, czyściutkie, ani kurzynki, a jakież pachnące...

Bardzo mi się nie chciało stamtąd wracać.

Obiad zjadłem w Rycerskiej (niesmaczny), kolację w barze mlecznym na Świętokrzyskiej.

Cały dzień sam jak kołek. Basia w szpitalu przy ojcu. Z Anną mówiłem telefonicznie, uspokoilem ją, że wszystko będzie „okej”. Nie miałem ochoty na żadne towarzyskie spotkania.

W przypadkowym kinie obejrzałem przypadkowy film — bij zabij, nie pamiętam, o co chodziło.

Po powrocie znalazłem stos brudnych naczyń w kuchennym zlewie-, widać znów byli goście. Mogłoby to-to pofatygować się i zmyć talerze.

Biorę proszek nasenny (alkoholu dziś nie używałem). Niedziela się kończy nareszcie.

Poniedziałek 22.IX

Los czuwa, żebym się nie nudził!

Przyjechałem do biura wcześniej, chciałem jak najszybciej skomunikować się z Gellertem, ale on jeszcze nie wrócił do Warszawy. W nocy miałem nie lada atrakcję.

Przez sen wydawało mi się, że trzasnęły drzwi wejściowe. Spałem dalej, proszek już dobrze działał.

Najpierw nic mi się nie śniło, jestem tego zupełnie pewien. Potem coś się śniło, tylko nie pamiętam, co. Wtedy poczułem, że ktoś mnie całuje. To było oczywiście przyjemne.

Nie umiem teraz, we wspomnieniu, odróżnić, kiedy nastąpiło przejście od beztroskiej przyjemności pocałunku we śnie — do odzyskania przytomności i zdziwienia, że pocałunek trwa i na jawie.

Kiedy otworzyłem oczy i w zupełnej ciemności, ale bardzo realnie poczułem na swoich ustach wargi kobiety — przeszył mnie znajomy, ostry lęk, o mało nic krzyknąłem: Celina! Bo teraz każde zaskoczenie, każdy popłoch kojarzy mi się z Celiną.

Odepchnąłem od siebie (tak mi się zdawało) coś ciepłego, chwyciłem wyłącznik lampki nocnej — nie działał, nadal wokół był mrok nieprzejrzany. Zerwałem się do kontaktu przy drzwiach, z tym samym skutkiem.

Potykaçąc się o meble, obiegłem całe mieszkanie (prócz, oczywiście, zamkniętej na klucz sypialni), naciskałem wyłączniki, lampy nigdzie się nie zapaliły. To mnie wprawiło w mistyczne wprost przerażenie.

Wyskoczyłem na klatkę schodową — w piżamie, jak wariat

— lam wreszcie zapaliłem światło. Ochłonąłem nieco: widocznie nie ma ogólnej awarii, po prostu wysiadły korki w mieszkaniu. Zrobiło mi się lżej na sercu, upiorny strach zaczął przemijać.

Wróciłem do swojego pokoju, znalazłem zapalniczkę, pstryknąłem: naturalnie, nikogo w łóżku ani pod meblami. Zreperowałem korki, we wszystkich pokojach naraz zapaliły się żarówki, tylko w sypialni było ciemno.

Rzecz ciekawa: narobiłem tyle hałasu, miotając się w ciemnościach i przewracając meble, a stara nic nie słyszała! Jeżeli słyszała, to nie dała tego poznać, u niej było cicho jak w cmentarnej kaplicy.

Zgasiwszy światła, położyłem się znów i zacząłem roztrząsać w pamięci najdrobniejsze wrażenia i odczucia podczas snu i po obudzeniu. Niepokój powrócił, zdawało mi się, że w pościeli został jakiś obcy zapach, mydła czy wody kolońskiej. Zapaliłem ponownie lampkę nocną, dokonałem szczegółowej rewizji. Maigret z pewnością by coś niecoś wykrył, ale ja — nic.

Zasnąłem w końcu, chyba nad samym ranem.

Wstałem niewyspany, jednakże w lepszej już nieco formie. Nocne zdarzenie rozważyłem już bez paniki, z dystansem.

Poszedłem do łazienki, tam dopiero przeżyłem mocne uderzenie. Wycisnąłem mydło na pędzel, spojrziałem w lustro — i zobaczyłem ślad szminki na policzku, tuż przy wardze.

A więc był pocałunek, była kobieta. Albo sfiksowałem, w biały dzień mam halucynacje. Trzeciej możliwości nie widzę.

Na dobitkę, kiedy obejrzałem uważnie pościel, znalazłem ślad szminki także na poduszce.

Jadę do Tworek, umówiłem się z Gellertem. Obawiam się, że będzie mi potrzebny raczej jako lekarz psychiatra niż jako detektyw czy psycholog-doradca.

Czy stamtąd wrócę? Nie jestem już pewien, czy tego chcę.

Dom, w którym mieszka stara wiedźma, zdalnie kierowana przez młodą czarownicę, to już nie mój dom, to Łysa Góra. W

Tworzących przynajmniej będę chroniony przez Gellerta.

Wróciłem jednak. Spokojniejszy niż byłem.

Coś niecoś zrozumiałem, resztę zaakceptowałem na kredyt. A w każdym razie staram się zaakceptować.

Wtorek 23.IX

Nie poszedłem do biura. Mam gorączkę.

Lewandowska nalegała, że przyśle lekarza z naszej kliniki. Odmówiłem.

Piszę w łóżku.

Pani Maria ma dodatkowe zajęcie: przyjmuje telefony, referuje, kto dzwoni i w jakiej sprawie, a jeżeli chce sam rozmawiać, przenosi telefon do gabinetu, potem z powrotem do przedpokoju.

Kilku kolegów chciało przyjechać, Lewandowska też. Nie zgodziłem się, nie lubię takich korowodów. Może jutro będę zdrów.

To nie przeziębienie, to nerwy. Po raz pierwszy w życiu zdarza mi się takie paskudztwo, a niejedno przeżyłem. Widać, zaczyna się starość, maleje odporność.

Dzwonił Gellert. Zreferowałem mu, co i jak. Udzielił mi telefonicznych instrukcji. Zostaję w łóżku.

I po co mi jeszcze inny lekarz?

Próbowałem słuchać radia, ale muzyka mnie męczy, wywołuje niepożądane reminiscencje, jeszcze bardziej uwrażliwia. Radiowa gadanina też męczy. Wyłączyłem.

Żeby zabić czas, bawię się w przepowiednie. To się robi tak: zamykam oczy, wyciągam z półki książkę, otwieram na chybił trafił i kładę palec na przypadkowej stronicy; wtedy dopiero otwieram oczy i odczytuję miejsce, gdzie utkwiał palec.

Wyciągnąłem „Dzienniki” Żeromskiego, otwierałem dwa razy. Za pierwszym wypadło zdanie:

„Ach, ile, ile wycierpieć na ziemi potrzeba, by doczekać się rezultatu tak nikczemnego, jak życie.”

(Miał dziewiętnaście lat.)

Za drugim razem:

„Głupi, kto w życie i w cokolwiek, prócz siebie, wierzy.”

(W tymże roku 1883.)

Nie wiem, jak ten zuchwały aforyzm do siebie przyłożyć: czy ująć optymistycznie? Chyba nie ma powodu.

Pani Maria uraczyła mnie obiadkiem — marzenie. Warto chorować pod taką opieką.

Zjadłem i zmorzył mnie sen. Obudziłem się słysząc, że ktoś wchodzi. Patrzę: teściowa.

Usiadła na fotelu przy biurku, ustawiła swoim zwyczajem na przodzie grube nogi w płaskich półbutach i wycelowwała we mnie ciemne szkła jak lufy armatnie. Zawsze mnie peszy to szklane spojrzenie, nie wiem, jaki ma wyraz oczu.

Milczeliśmy dłuższą chwilę. Ja — leżąc na wznak, niezupełnie przytomny po obudzeniu, ona — rozparta w fotelu, uzbrojona w te swoje armaty.

Napatrzywszy się na mnie, powiedziała ni to twierdząco, ni to pytająco:

- Chory pan.

- Aha — powiedziałem, popełniając plagiat z jej ulubionego „Ekspresu muzycznego”.

- Mam nowinę — oznajmiła złowrogo.

Serce mi zamarło, a potem zakolało o żebra. Mogia mieć dla mnie tylko najgorsze nowiny, z dobrymi by się nie pofatygowała.

Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła kartkę papieru — oczywiście, list od Celiny.

- Córka moja przyjedzie pojutrze — powiedziała uroczyście i podała mi list.

Celina napisała w sobotę 20-go:

„Mamusiu Kochana,

już jestem prawie zdrowa. Mam bilet sypialny na pociąg pośpieszny o 21.40 w środę, przyjadę o 7.20 w czwartek, na Dworzec Centralny, to najbliższy od nas.

Słaba jestem, proszę po mnie przyjechać. Niech Mama weźmie taksówkę, żeby się nie dusić w tramwaju.

Nie chcę, żeby Andrzej po mnie wyszedł. Nareszcie zobaczę

Mamę i wszystko opowiem, to Mama już niczemu nie będzie się dziwić.

Ręce Mamusi całuję.
Kochająca córka Celina.”

Kiedy czytałem list kochającej córki, oblał mnie zimny pot, dosłownie. Stara obserwowała mnie bacznie. Zezłościłem się:

- No więc, szczęśliwie się składa, że zachorowałem.

- A to czemu?

- Bo nie będę mógł pojechać na dworzec, nawet gdybym chciał.

- Rzeczywiście. Marny pana interes.

Nie wiem, co chciała powiedzieć. Złość mnie niosła dalej, zapytałem:

- W jakim celu pani pokazuje mi te listy Celiny? Są pisane do pani, nie do mnie.

Odczekała trochę, jakby zastanawiała się, potem odrzekła:

- Matka jestem.

Ta kretyńska odpowiedź do reszty mnie wkurzyła.

- To pięknie – powiedziałem – ale może teraz mamusia będzie łaskawa wyjść, bo mi gorączka rośnie.

I odwróciłem się do ściany.

Wyszła.

Przez pół godziny nie mogłem się uspokoić. Potem zabrałem z korytarza telefon, zadzwoniłem do doktora. Zdaje się, on też był zdenerwowany. „W razie potrzeby przyjadę” – powiedział. Co miał na myśli?

Ja wiem, czego on się obawia, ale wątpię, żeby miał na to środki zaradcze. Jestem już bardzo wyczerpany. Czuję straszliwe zniechęcenie do wszystkiego, zwłaszcza do siebie.

Istotnie: czy warto tyle znosić, żeby „doczekać się rezultatu tak nikczemnego, jak życie”? Na to, by walczyć, trzeba czegoś bardzo mocno pragnąć. A ja pragnę tylko jednego: żebym nie musiał oglądać Celiny pojutrze ani nigdy. Tylko tyle.

Czy to jest nieosiągalne?

Pani Maria czuje w atmosferze coś złego. Nie było jej, kiedy stara wtargnęła do mojego pokoju (wybrała czas, kiedy tamta wyszła na zakupy), ale zauważyła, że czuję się znacznie gorzej.

Dowiedziała się już, że Celina wraca w czwartek. Wątpliwe, żeby była tym zachwycona, ale może liczy, że przy prawowitej gospodini stara jakoś się utemperuje. Ostatecznie, pani Maria nie ma powodu, żeby przed Celiną uciekać, nie jest z nią związana przymusowo.

Często do mnie zagląda, pyta, czy mi czegoś nie trzeba, a mam wrażenie, że szuka pretekstu, żeby pozbyć się choć na krótko towarzystwa staruchy. Lubię, kiedy wpada tak na chwilkę, czuję się odrobinę mniej samotny i bezbronny. Wiem, że Maria mi nie pomoże, ale nie chce mi szkodzić, to już dużo.

Podawała kolację i przystanąła koło drzwi, patrzyła z satysfakcją, jak zajadam jabłka w cieście. Przypomniały się nam dawne, sielankowe czasy...

- Pani Mario — powiedziałem niespodzianie dla samego siebie — bardzo bym się cieszył, gdyby pani mogła dziś tu znocować.

- Gorzej się panu zrobiło?

- Nie, ale byłbym spokojniejszy... Wie pani, chorzy mają swoje fantazje.

- Oczywiście że zostanę! Sypiałam tu kilka razy, rozkładałam w kuchni polowe łóżko.

- Bardzo pani dziękuję. I przepraszam za kłopot.

- Cóż to za kłopot? Ja przecież rozumiem, mnie też jest dziś jakoś niewyraźnie...

Poprosiłem, żeby usiadła, pogawędziliśmy trochę na neutralne tematy, póki stara nie zaczęła ostentacyjnie kręcić się pod moimi drzwiami. Gospościa poszła, a ja leżałem cichutko, bałem się poruszyć, żeby tamta nie wtarabaniła się znowu. Zgasiłem nawet światło.

Zachowuję się jak w oblężonej twierdzy. Wróg niebawem ruszy do głównego natarcia, mam zapasy żywności, jednego sprzymierzeńca i jednego szpicla. Sytuacja normalna, ale niemila.

Zbliża się północ. Biorę podwójny proszek i idę spać. Bóg da, noc minie spokojnie.

Środa 24.IX

Minęła spokojnie. Żyję, acz niechętnie.

Gorączka spadła, lecz do pracy nie poszedłem — spełniam życzenie doktora Gellerta. Z biura przysłali papiery, przeglądam, mam godziwe zajęcie.

Pani Maria szczególnie troskliwa, rodzinna. Starej nie widziałem. Może zawołać Annę? Nie, po co niepokoić rodziców. I po co narażać Annę na widok pani Bielakowej? Nie wiadomo, co z tego spotkania może wyniknąć.

Obejdzie się, czyli — jakoś to będzie.

Staram się nie czekać na jutrzejszy ranek. Wypełniam czas papierzyskami biurowymi, słuchaniem radia, wróżbą. Tak, wróżyłem znów, szukałem przepowiedni swojego losu.. Głupie zajęcie, ale wciąga.

Za pierwszym razem wzięłem z półki Encyklopedię Techniczną, trafiłem na hasło *Ekranowanie*:

„Zabezpieczenie urządzeń elektrycznych przed oddziaływaniem postronnych pól elektrycznych lub magnetycznych.”

Traktując wróżbę poważnie, a więc wychodząc z założenia, że każdy tekst musi coś oznaczać, czyli przepowiadać, zastanowiłem się: czy w danym wypadku należy utożsamić mnie z urządzeniem elektrycznym, narażonym na działanie jakichś postronnych pól? Jednakże, nawet w obecnym stanie umysłu, uznałem to za bzdurę i zmieniłem obiekt.

Tym razem trafiłem sensowniej, na „Idiotę” Dostojewskiego (odrzucaam skojarzenia płynące z tytułu). Palec mój utkwiał przy następującym zdaniu:

„W owym momencie stają się dla mnie jakoś zrozumiałe słowa, że czasu więcej nie będzie.”

Zainteresowałem się, zacząłem czytać — i już długo nie mogłem się oderwać.

Wciągnąłem się w szamotaninę księcia Myszkina, który dostrzega, że Rogożyn szykuje zamach na jego życie, a

jednocześnie wstydzi się swoich podejrzeń. Zwłaszcza ten fragment mnie zafascynował, przeczytałem go kilkakrotnie. Odczułem lęk niesamowity — tak jakby ktoś wszystkowiedzący i rozumiejący stał za moimi plecami i obserwował w milczeniu.

Wizyta Gellerta. Puściłem radio, żeby stara nie podsłuchiwała.

Trochę rzeczy mi wyświecił, ale najważniejsze odłożył „na później”. Na przykład: jak sobie tłumaczy nocną hecę z kobietą-zjawą, która zostawia na poduszce ślady szminki. Albo: co oznaczają konszachty teściowej z Pietrasińskim.

- Niech pan mi zaufa — powtarzał. — Niech pan zdobędzie się jeszcze na odrobinę cierpliwości.

Przecież nie mam wyboru, muszę zdobyć się na tę odrobinę.

Tym razem wyczułem wyraźnie, że jest bardzo zdenerwowany. Już nie poruszał tematu samobójczej obsesji. Powiedział tylko: — wierzę w pana.

I wtedy właśnie załamałem się, jakbym stracił ostatnie oparcie. Nie pokazałem tego po sobie.

Zostawił leki, które mam brać punktualnie i w wyznaczonych dawkach, to ponoć ważne.

Godzina 19.20. Za równe dwanaście godzin Celina będzie w Warszawie. Nie ma sposobu, żeby temu przeszkodzić. W każdym razie ja nie mam na to sposobu.

O czym więc dumać i o czym śnić?

O przeszłości oczywiście — wyobrażać sobie, że mogłaby ułożyć się inaczej.

Przecież istnieje w każdym ruchu, w każdym procesie moment krytyczny — ba, nie jeden! kiedy od jakiegoś nic nie znaczącego drobiazgu zależy, w jakim kierunku rozwinię się ciąg dalszy.

W moim życiu mogło nie być Czarciego Żlebu. Mogło nie być miłosnych zaklęć i misteriów, w ogóle mogło nie być Celiny. Boże Jedyny, jakież to byłoby cudowne, wspaniałe, boskie: żyć, nie znając Celiny!

Istniałaby gdzieś — w mieście K., w Toruniu czy może nawet w Warszawie, a ja bym nic o niej nie wiedział, nic bymnie nie obchodziła. Mogło tak być? Mogło.

Pewnego pięknego dnia mógłbym ją spotkać w tramwaju, wpadłby mi w oko jej sympatyczny dołeczek na brodzie, uśmiechnąłbym się przyjaźnie do tej świeżej, trochę prostackiej buzi — i na zawsze zapomniałbym o jej istnieniu.

Dlaczego stało się inaczej? Dlaczego? Wciąż pytam: dlaczego?

Idiotyczne zajęcie, nic mi z tych „dlaczego” nie przyjdzie. Za dwanaście godzin mam stanąć twarzą w twarz z Celiną, moją niedoszłą ofiarą i moim przyszłym sędzią. Łatwo zgadnąć, że wyrok będzie bezwzględny, kara nielitościwa, dożywotnia. Mam na to biernie czekać?

Rzecz najgorsza: nie umiem przekonać siebie (tak naprawdę, szczerze, dogłębnie), że to nie ja zawiniłem wobec niej, tylko fatalny zbieg okoliczności. Dowodzę sobie logicznie, wszystko się zgadza, wszystko gra — a w ostatniej chwili odzywa się głos szyderczy (czyi: sumienia?), woła: „Bzdura!” I znów muszę budować swoją kazuistykę od początku. Już mi to zbrzydło.

Ciekaw jestem: jak ona to wszystko widzi?

Kłamię, wcale nie jestem ciekaw, niech sobie widzi, jak chce. Obcy mi człowiek, obca kobieta, tylko tyle, że moja niedoszła ofiara — szkoda, że niedoszła.

Tak, panie inżynierze, czas najwyższy powiedzieć sobie uczciwie, otwarcie: żałuje, że Celina się uratowała.

Poradziłbym sobie z milicją, z sądem itd., przecież ja rzeczywiście nie chciałem jej zabić, to był przypadek... ale z Celiną sobie nie poradzę.

Nie chcę jej widzieć, nie chcę, nie chcę, ratujcie

Wstyd: miałem atak hysterii.

Przybiegła Maria, z korytarza przyglądała się wiedzma. To najtrudniej przeboleć: miała chwilę satysfakcji — szlochający zięć... Obrzydlistwo!

Maria przeraziła się śmiertelnie. Kiedy już napiłem się wody i wziąłem proszek na uspokojenie (z tych, co Gellert zostawił

na wypadek ekstra), kiedy leżałem cichutko z zamkniętymi oczami, gospościa schyliła się i zapytała szeptem:

- Może bym wezwała pańskiego doktora?

Stanowczo zaprzeczyłem ruchem głowy.

- To może panią Annę albo ojca?

Też zaprzeczyłem.

- Proszę pana, ja i dziś zostanę na noc.

Uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością, ale odmówiłem:

- Nie, droga pani Mario, już mi przeszło. Nie ma żadnego powodu, żeby pani drugą noc z rzędu spędzała na niewygodnym posłaniu.

- To przecież drobiazg! Bardzo mi wygodnie na tym polowym łóżku.

- Nie, nie chcę, żeby pani dziś zostawała. Kryzys już minął, mam dobre środki nasenne i będę spał jak anioł. Może pani najwyżej przyjść jutro wcześniej. Dobrze?

- Oczywiście! Przyjdę o szóstej.

Poprosiłem, żeby przed odejściem jeszcze zajrzała do mnie, i udałem, że zasypiam.

Istotnie czuję się troszeczkę lepiej, ulżyło mi, jak po wymiotach. Ale wstyd został.

Już po dziewiątej. Za dziesięć godzin przyjedzie Celina.

Dziwny stan przeżywam teraz. Podobny do uspokojenia i odpłynięcia zarazem. Jak na statku, kiedy marynarze podnieśli trap, cumy oddane i motory włączone. Brzeg się oddala — ten brzeg, do którego już się nie wróci!

Najboleśniejszy jest moment, kiedy między przystanią a burtą błyska pierwsze pasmo wody, które będzie nieuchronnie się poszerzać. Żal, przypomnienie wszystkiego, co tu się przeżyło, ulga, że już się stało: wszystko w tym pierwszym momencie się mieści.

Osobliwy to stan, zważywszy, że ten ginący z oczu brzeg, to ja — taki, jaki byłem zupełnie niedawno, a ten odpływający statek, to znów ja — ten, który do dawnego nie wróci.

Metafizyka? Może. Tylko że mnie już żadna terminologia nie peszy. Fizyka, metafizyka, normalny stan pożegnania — czy nie wszystko jedno, jak to nazwać?

Cokolwiek się stanie, nie będę już tym, kim byłem.
Za niecałe dziewięć godzin do tego domu wejdzie Celina.

Nie słyszałem cichego pukania pani Marii. Dopiero kiedy uchyliła ostrożnie drzwi, otworzyłem oczy i dostrzegłem ją.
- Proszę, proszę — powiedziałem. — Czekałem na panią.
Usiadła nieśmiało opodal łóżka, patrzyła na mnie trwożnie. Chyba nieszczęśliwie wyglądałam.

Nie od razu potrafiłem przerzucić tymczasowy pomost od tego stanu odpływania do konkretnej rzeczywistości. Cisza się przedłużała.

- Proszę pana — powiedziała wreszcie — może ja jednak zostanę...

- Nie — zaprzeczyłem żywo. — Będę spał doskonale, już teraz jestem śpiący. Pani Mario, chciałem panią prosić...

Nie wiedziałem właściwie, o co ją mam poprosić, chodziło po prostu o to, żeby ładnie pożegnać życzliwą mi osobę. Ale ona czekała na jakąś prośbę.

- Pani Mario, czy potrafiłaby pani przesunąć moje biurko spod okna do tych drzwi do sypialni? Przepraszam, bo jest bardzo ciężkie.

- Wiem, jakie jest, nieraz go przesuwaliśmy przy sprzątanii
- powiedziała i szybko wykonała moją prośbę. — Co jeszcze, proszę pana?

- Tam, na samym wierzchu leży tekturowa teczka: prosiłbym oddać ją jutro, kiedy przyślą gońca z biura.

- Jutro? Przecież zobaczę pana wcześniej niż przyjdzie goniec.

- Tak, oczywiście. Ale, gdybym długo spał... W każdym razie może pani już teraz położyć tę teczkę na stoliku w przedpokoju.

Zrobiła i to. Wróciła, znów przy mnie usiadła. Z oczu jej nie zniknął niepokój.

- Czy nie za dużo bierze pan tych proszków? — spytała. — Każdym proszkiem można się otruć.

- No, od razu się otruć! Nie, pani Mario, nie otruję się,

mogę dać pani najświętsze słowo honoru.

Uśmiechnęła się blado.

- Nic takiego nie myślałam... To ja już pójdę, niech pan szybciej zasypia.

- Dziękuję, pani Mario.

Uściskałam jej rękę, a kiedy już była przy drzwiach, powtórzyłam:

- Dziękuję, pani Mario. Za wszystko.

Zabrzmiało to, widać, zbyt uroczyście, bo odwróciła się i spojrzała na mnie bardzo uważnie. Pożegnałam ją lekkim gestem dłoni – i wyszła.

Przykry to był moment, nie spodziewałem się, że tak to odczuję.

Zanim wróciłem na burtę, pomyślałem, że trzeba by zatelefonować do Anny, do ojca. Nie mogłem tego zrobić, coś mnie dławilo, bałem się, że gdy usłyszę ich głosy, mogę znów ulec histerii. Lepiej do nich nie dzwonić.

Zadzwoiłem natomiast do Gellerta. Zażądał szczegółowej relacji, kazał punkt o jedenastej wziąć ten nowy proszek, jeden jedyny, wydał drobiazgowo dyspozycje.

Proszę bardzo, bodę dobrym żołnierzem. Dobrzy żołnierze najczęściej giną.

Ile zostało do przyjazdu Celiny? Już nieważne.

Po co ja to wszystko piszę?

Żeby zabić czas, przecież mam go jeszcze za wiele.

„Czas się zatrzymał” – tak myślałem w Paryżu, kiedy Marta mnie porzuciła.

„Czasu więcej nie będzie” – to wyczytałem dziś u Dostojewskiego.

„Niejeden w ostatniej chwili od stryczka uciekł” – tak dodawał mi ducha monsieur Perrut, filozof z głową starego doga.

Nie jestem nędzarzem, tyle jeszcze zostało mi złotych myśli!

Rozsunąłem zasłony, otworzyłem okno na oścież. Piękna jesienna noc, pachnie wilgocią i zwiędłymi liśćmi, świecą uliczne latarnie, na rogu mrugają do mnie żółte okna mordowni. Przechodniów nie widać.

Połykam ten jeden jedyny — tyle przynajmniej należy się Gellertowi. Dopiero potem... Niechże się nie gniewa na mnie, doprawdy, nie mogę inaczej... Gdybym mógł...

CO NALEŻAŁO PRZEWIDZIEĆ

O północy, dozorca zadzwonił do mieszkania numer 27 na czwartym piętrze. Raz, drugi, trzeci. Głucha cisza.

— Przed chwilą widziałem światło w kuchni — powiedział do dwóch mężczyzn, stojących za nim. — Ktoś tam jest, będę dalej dzwonił.

Nacisnął dzwonek i nie zdejmował palca przez minutę. W głębi mieszkania rozległy się kroki, zachrypnięty kobiecy głos krzyknął:

- Kto tam?
- Dozorca.
- W jakiej sprawie?
- Pilnej. Proszę otworzyć.

Zgrzytnęła zasuwą, nieco ciszej zawtórował zatrask. Weszli do przedpokoju, gdzie niemłoda kobieta z ciemną twarzą i w ciemnych okularach stała, przytrzymując na piersi rozchylający się szlafrok.

- Doktor Gellert — przedstawił się pierwszy z panów. — Wczoraj byłem tu i widziałem panią z daleka.

- Możliwe. Dlaczego pan przyszedł w nocy?

- Bo inżynier Zborowski, mój pacjent, telefonował godzinę temu do Pruszkowa, gdzie dziś nocuję. Był bardzo wzburzony, a z tego, co mówił, wywnioskowałem, że ma samobójcze zamiary. Chciałbym go zobaczyć.

Odsunęła się z przejścia i wskazała drugie drzwi na lewo. Ruszyli tam szybkim krokiem. Doktor zapukał w pośpiechu, nie otrzymał odpowiedzi, nacisnął klamkę. Pokój był zamknięty od wewnątrz.

- Panie Andrzeju! — krzyknął. - To ja, proszę otworzyć. Słyszysz mnie pan?

Żadnego odgłosu.

- Wytrych! — rzucił Gellert dozorczy. — Szybciej, każda minuta droga.

Kobieta przyglądała się im z przedpokoju, wciąż zaciskając

dłoń na wyłogach szlafroka.

Dozorca wyjął z kieszeni narzędzia. Wypchnął tkwiący w zamku klucz, który z łoskotem spadł na podłogę, po czym sprawnie zaoperował wytrychem. Drzwi poddały się pod naciskiem, odsłaniając gęstą czern w pokoju.

Doktor stanął w progu, potem dał znak drugiemu panu i obaj weszli, zamykając starannie drzwi.

- Co to za jedni? — spytała kobieta dozorcę.

- Z milicji. Obudzili mnie, kazali iść tu z nimi. Powiedzieli, że w tym mieszkaniu pewnie zdarzył się nie-szczęśliwy wypadek.

Stali dłuższy czas, wsłuchując się w niewyraźne odgłosy jakiegoś ruchu w pokoju inżyniera. Wreszcie wyszedł stamtąd doktor.

- Pani jest teściową inżyniera Zborowskiego, czy tak? — spytał, wpatrując się w twarz kobiety.

- Tak.

- Inżynier nie żyje. Za późno przyjechałem.

Opadł ciężko na krzesło przy stoliku z telefonem.

- Dlaczego nie żyje? — spytała jak automat, bez wyrazu.

- Tego nie wiem. Powiesił się. Jakies pół godziny temu.

Otarł chustką czoło i ręce, utkwiał wzrok w teczce leżącej przy telefonie, choć prawdopodobnie jej nie widział.

- Czy można by prosić panią o kawę? — zapytał.

Odeszła z widoczną ulgą, wkrótce doleciał z kuchni szum lejącej się wody i syk zapalanego gazu.

Dozorca też usiadł i wyciągnął pudełko sportów.

- Czy można? — zapytał z wahaniem, zerkając w głąb korytarza.

Doktor machnął ręką:

- Zapal pan. Nikogo tu pan nie urazi — i sam zapalił ekstra-mocnego. — Kto tu jeszcze mieszka oprócz starej?

- Jeszcze pani inżynierowa, ale teraz jej nie ma, ze dwa tygodnie temu gdzieś wyjechała, a może i wcześniej.

- Tym lepiej dla niej.

Z kuchni wyjrzała teściowa zmarłego.

- Czy ten drugi — kiwnęła w stronę gabinetu — też napije się

kawy?

- Kto, porucznik? Z pewnością. My wszyscy chętnie się napijemy, jeżeli pani łaskawa.

Rzuciła niechętnie spojrzenie na siedzącego dozorcę i wycofała się.

- Uprzejma, co? — skrzywił się Gellert. — Zawsze jest taka?

- Nie wiem, od niedawna tu jest, przedtem nigdy jej nie widziałem. Teściowa jak to teściowa — dodał sentencjonalnie. — Musi mieć w sobie żółć.

Znów zapadła cisza.

Z pokoju inżyniera wyszedł porucznik, przekreślił klucz i schował go do kieszeni. Podniósł słuchawkę, połączył się z milicją.

- Jasiński? Przyślij ekipę z lekarzem na Wilczą, adres masz na moim biurku. Samobójstwo. Nie, powiesił się. Pośpieszcie się, będę czekał. Cześć.

Ukazała się gospodyni, niosąc tacę z kawą.

- Proszę do stołowego — rzuciła powściągliwie.

- Chwileczkę — odezwał się porucznik — czy to z tego aparatu Zborowski dzwonił do doktora Gellerta?

- Tu jest tylko jeden aparat.

- Może pani słyszała, o czym inżynier mówił?

- Nie słyszałam. Pewnie zabrał telefon do swojego pokoju, to aparat przenośny.

- Właśnie widzę.

W jadalni postawiła trzy filiżanki na jednym końcu stołu, sama usiadła przy drugim. Miała nieco tępowy wyraz twarzy, co można by złożyć zarówno na karb obojętności, jak i nerw owego napięcia.

- Nie napije się pani z nami kawy? — zapytał porucznik.

- O tej porze nie pijam.

- Rzeczywiście, pora dość późna. Proszę mi z łaski swojej powiedzieć: może pani zauważyła w ostatnich dniach coś dziwnego w zachowaniu zięcia? Może zdradzał jakiś niepokój, zdenerwowanie, brak równowagi?

- Nic nie zauważyłam. Za krótko go znałam.

- Jak to?...
- Mieszkam w Toruniu. Przyjechałam tydzień temu i dopiero go poznałam.
- Jakie sprawiał na pani wrażenie?
- Że to w ogóle dziwny człowiek — odpowiedziała z namysłem. — Nerwowiec, wiecznie podrażniony, wybuchowy, z byle powodu robił się ordynarny...
- Ordynarny? — wtrącił się doktor. — Nie powiedziałbym. Znałem go, jak sądzę, dosyć dobrze. W żadnym razie nie nazwałbym go ordynarnym, to był człowiek raczej nieśmiały, bardzo wrażliwy, a już z pewnością dobrze wychowany.
- Zależy z kim — odburknęła. — Mówiłam już: za mało go znałam.
- Widocznie.
- Chcielibyśmy wiedzieć — podjął porucznik — czy inżynier miał jakieś szczególne powody do zdenerwowania: domowe, może służbowe?
- O służbowych nic nie wiem.
- I po sekundzie wahania dodała:
- O domowych też.
- Jutro sprawdzę, jak tam było w biurze. O ile się orientuję, pani inżynierowej nie ma w Warszawie?
- Nie ma.
- Gdzie bawi obecnie?
- Na Dolnym Śląsku.
- Pewnie na wczasach, jesień mamy ładną. A kiedy zamierza wrócić?
- Chyba jutro.
- Jak to: chyba? — zdziwił się porucznik. — To znaczy, że nikt z rodziny nie wybierał się na dworzec, żeby ją spotkać?
- Miał pojechać właśnie zięć.
- No to wiedział na pewno, że przyjeżdża jutro?
- Różnie bywa z biletami. Pisała, że jeszcze potwierdzi depeszą.
- W takim razie rzeczywiście nie mógł wiedzieć na pewno. Depesza nie nadeszła?

- Nie.
 - Zapowiedziała tą depeszę w liście do męża czy da pani?
 - Do niego.
 - Znajdziemy jej listy w papierach denata. A co pisała do pani?
 - Do mnie? Do mnie w ogóle nie pisała.
 - Aha. Dziękuję za kawę, bardzo była dobra.
- Porucznik wstał, za nim obaj mężczyźni.
- Będę wdzięczny, jeżeli zechce pani pokazać nam to mieszkanie — powiedział i zwrócił się do dozorczy: — A was poproszę, żebyście poczekali w przedpokoju na naszą ekipę i powiadomili mnie, kiedy przyjadą.
- Gospodyni nie ruszyła się z miejsca.
- Panowie mogą sami obejrzeć mieszkanie — powiedziała.
 - Nie zgłaszam sprzeciwu.
 - Owszem, musielibyśmy tak zrobić, gdybyśmy nie zastali tu pani. Jednakże skoro pani jest tu obecna— bardzo uprzejmie prosimy.
- Wstała.
- Co panów interesuje?
 - Wszystko. Ile pokoi, kto mieszka, kto zameldowany, czy jest pomoc domowa.
 - Pokoiów jest trzy. Poza gabinetem zięcia jest sypialnia i pokój stołowy. Mieszka tu stale moja córka, ja tymczasowo, a służąca pracuje na przychodne.
 - Ładne mieszkanie, nie zatłoczone. W którym pokoju pani tymczasowo zamieszkała?
 - W sypialni.
 - To zacznijmy może od sypialni. Proszę!
- Przepuścił ją naprzód.
- Weszli do przestronnego pokoju. Zgrabne biurczko było na ukos odsunięte od drzwi wewnętrznych, gdzie najwidoczniej przedtem stało, a jedna z szuflad wyjęta. Poza tym w sypialni panował porządek, jeżeli nie liczyć rzuconej na krzesło, zmiętoszonej bielizny damskiej, którą z zawodowego nawyku porucznik obejrzał. Posłanie na tapczanie było nie tknięte.
- Porucznik krążył wzdłuż ścian, rozglądając się jak bokser,

kiedy wychodzi na nowy ring. Zatrzymał się przy biurku, na którym leżała damska torba.

- Czy to pani torebka?

Poruszyła się niespokojnie.

- Nie. Córkę.

- Pozwoli pani, że zajrzę — mówiąc to, już otwierał zapięcie. — Przecież i tak wszystkie rzeczy w tym mieszkaniu przejdą szczegółową rewizję.

- Z jakiej racji?

- Bo tu zdarzył się śmiertelny wypadek i organa śledcze już przystąpiły do wyjaśnienia odnośnych okoliczności. Zdaje się, że nic ciekawego — mówił, przerzucając zawartość torby. — Szminka, puderniczka, dowód osobisty... no tak: Celina Zborowska, z domu Bielak... Książeczka czekowa pana Zborowskiego...

Odłożył torbę na miejsce, lecz po chwili znów wziął do ręki:

- Ale, ale: jakże to pani inżynierowa podróżuje bez dokumentów? W uzdrowiskach bardzo tego pilnują.

- Zapomniała w domu.

- I nie prosiła, żeby przesłano jej pocztą? Nierozsądnie, całkiem nierozsądnie. Pewnie ma przy sobie jakąś legitymację?

- Nie wiem.

- Chyba pracuje gdzieś? Albo studiuje?

- Nie wiem — powtórzyła zniecierpliwiona. — Z córką też dawna się nie widziałam. Nie było jej, kiedy tu przyjechałam z Torunia.

- Rozumiem, rozumiem... A to co za papiery? „*Kochana Mamusiu, piszę ze szpitala w uzdrowisku Cieplice...*” Kiedy to pisane? Aha, dziewiątego września roku bieżącego. Przepraszam, ale skądże to się wzięło w torbie pani inżynierowej? Przecież to jej list do pani, prawda?

- Prawda, prawda! Nie ma co pytać, sam pan widzi. A wzięło się, bo ja noszę torbę Celiny, póki jej nie ma. Córkę za to na mnie się nie obrazi, wiem.

- Naturalnie! Nic podobnego nie miałem na myśli. A więc, znajdę także dowód pani, prawda? Chwileczkę... nie,

to znów list: „*Mamusiu Kochana, już jestem prawie zdrowa, mam bilet sypialny, na pociąg pośpieszny o 21.40 w środę... niech Mama weźmie taksówkę...*” Hm, to znaczy, że bilet już kupiony? To jednak córka pisała do pani zupełnie niedawno.

Kobieta zacięła się w milczeniu.

- Nie musi pani tłumaczyć się z tego, pani... Bielak, prawda? Tak by wynikało z dokumentu córki. Przepraszam, nie mogę znaleźć dowodu pani, a chciałbym go obejrzeć, jeżeli łaska. Czy mogę prosić?

- Zapomniałam w domu — powiedziała posepnie.

- No, proszę! To widać cecha rodzinna. Cóż, trudno.

Krażył dalej po pokoju. Zatrzymał się przy drzwiach za biurkiem, które prowadziły do gabinetu inżyniera i otwierały się na zewnątrz. Obejrzał je z wielką uwagą: klucz tkwił w zamku, nie były jednak zamknięte, ale nie ustąpiły, bo z tamtej strony były czymś zagrodzone.

- Pani nie wie, co tam stoi, za drzwiami? — zapytał.

Wzruszyła ramionami:

- Nie chodziłam do pokoju zięcia.

- No tak, zrozumiałe. Panie doktorze — powiedział do Gellerta, który tymczasem oglądał jakieś słoiki wyjęte z nocnej szafki — myślę, że możemy iść dalej. Jadalnię już widzieliśmy, gabinet też, została kuchnia i łazienka. Więc do kuchni?

Znów przepuścił naprzód kobietę, która już wiele straciła ze swej wyniosłej obojętności. Usiadła przy kuchennym stole, wsunęła dłonie głęboko w szerokie rękawy szlafroka i zacisnęła usta tak mocno, jak gdyby ślubowała sobie, że ich więcej nie otworzy.

- Ładne mieszkanie — powtórzył porucznik, rozglądając się po lśniących półkach i wyszorowanych garnkach. — Ładnie utrzymane i zagospodarowane. Pani inżynierowa musi być pierwszorzędną gospodynią.

Zajrzał do kilku szufladek, otworzył szafkę, uchylił firanki w oknie. Pani Bielak nie ruszała się, patrząc w kąt.

W przedpokoju rozległ się dzwonek, tuż potem zapukał do

kuchni dozorca.

- To przyjechała nasza ekipa — powiedział porucznik. — Przepraszam, muszę do nich wyjść. Czy może pan mnie na razie zastąpić, doktorze?

- Zgoda.

Kiedy porucznik wyszedł, Gellert podszedł do okna i rozsunął firanki. Nocna Warszawa wygasła prawie wszystkie światła prócz latarni ulicznych, w oddali jarzyły się czerwone gwiazdki Pałacu Kultury. Miasto przycichło.

Upłynęło tak kilka minut.

- Cóż to, miał pan zastąpić porucznika? — rozległo się za plecami doktora. — On panu nie polecił gapić się przez okno.

Odwrócił się, oparł o parapet.

- Owszem, mam zastąpić porucznika. Ale powiem szczerze, że to mi sprawia niemałą przykrość.

- Czemuż? Przecież to pański zawód?

- Niezupełnie. Jestem lekarzem.

- Już to widzę!

- Jestem lekarzem i nie powinienem mieszać" uczuć osobistych do czynności zawodowych. Tymczasem mam do pani bardzo negatywny stosunek i to mi mocno przeszkadza.

- Pan mnie przecież nie zna!

- Myli się pani.

- Widział mnie pan tylko wczoraj, z daleka...

- Ale dużo o pani wiem.

- Skąd? Aha, Andrzej panu nagadał.

- Owszem, pan Andrzej opowiedział mi sporo, a poza tym zebrałem pewne wiadomości.

- Jakie?

W jej głosie wyraźnie zabrzmiał niepokój. Gellert milczał.

- I za cóż to pan mnie nie lubi?

- O tym później, a teraz rzeczywiście muszę zastąpić porucznika, słusznie mi pani o tym przypomniała.

Przysunął stółek, usiadł naprzeciw niej.

- Ponieważ pani nie ma przy sobie dokumentów, po-

proszę o personalia. Chwileczkę, wezmę notes i długopis.
Więc: data i miejsce urodzenia?

- Rok 1909.
- Miesiąc?
- Czerwiec, dwunastego.
- Miejsce urodzenia?
- A po co to panu?
- Formalność, tak już jest przyjęte.
- No, Częstochowa.
- Został tam ktoś z rodziny?
- Nie wiem... chyba został.
- Kto?
- Pomyliłam się, nikt nie został.
- Pani imiona?
- .Genowefa Janina.
- Imiona rodziców?
- Paweł.
- Tylko jedno imię?
- Paweł Józef.
- A matki?
- Katarzyna Barbara.
- Z domu?
- Stolarek.

Gellert zajrzał na koniec notesu, zestawiał te dane z jakimiś notatkami. Śledziła jego czynności z rosnącym zdenerwowaniem. Spojrzał na nią przelotnie:

- Pani jest skłócona z rodziną?
- Dlaczego?
- Tak mi się zdaje. Na przykład, nie była pani na ślubie córki z inżynierem Zborowskim. Czemu pani nie przyjęła ich zaproszenia?

Milczała.

- Wróćmy do personaliów. Jaka jest pani sytuacja rodzinna?

- Starczy na życie, nie narzekam.
- Pytam, czy pani jest zamężną, wdową, czy...
- Wdowa.

- Od dawna?

Tu stała się rzecz dziwna: kobietę chwycił napad śmiechu, zgięła się wzdół i trzęsła, chowając twarz w dłoniach. Gellert spokojnie czekał. Gdy się wyprostowała, powtórzył pytanie:

- Czy pani dawno owdowiała?

- Nie. Dwanaście lat temu.

- To jednak dawno. W jakich okolicznościach?

- Normalnie, umarł.

- Długo chorował?

- Po co panu wiedzieć? Kto by spamiętał, jak to było tyle lat temu!

- Pani ma dzieci?

- Jedną córkę. Wystarczy.

Znów zajął się koniec notesu, to ją znowu zdenerwowało.

- Proszę pana, czy pan jeszcze długo będzie tak?

- Jak?

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, że Zborowski się powiesił.

- Porucznik już wytłumaczył pani, że przy śmiertelnych wypadkach poddaje się rewizji i przesłuchaniu świadków zdarzenia.

- Nie jestem świadkiem! Nie widziałam, co on tam robił!

- Pani była w tym czasie w mieszkaniu, więc jest pani świadkiem. Jedynym, bo gosposi nie było, prawda?

- Dobrze, niech już pan pyta, tylko szybciej!

- Proszę bardzo. Jakie pani ma wykształcenie?

- Powszechniak. I kurs masażu kosmetycznego.

- Gdzie?

- U pani Gorzelskiej w Toruniu.

- W którym roku?

- W trzydziestym... w trzydziestym ósmym.

- Pani jeszcze pracuje zawodowo jako kosmetyczka?

- Pracuję, chwala Bogu.

- Na stałej pensji?

- Tak, w gabinecie kosmetycznym „Uroda”.

- Dziękuję — powiedział, chowając notes do kieszeni. —

Jeszcze pytanie, bodaj ostatnie: gdzie znajdują się groby pani rodziców?

- W Częstochowie.

- Tak właśnie myślałem.

- To już wszystko?

- Owszem, w zastępstwie pana porucznika to już wszystko. Natomiast jako lekarza interesuje mnie: czy pani ma chroniczne zapalenie spojówek?

- Dlaczego?

- Bo pani nie zdejmuje w pokoju ciemnych okularów.

- Tak, oczy mnie pieką.

- Od dawna?

- Od pół roku.

- I chyba cierpi pani na reumatyzm?

- Bo co?

- No, bo pani bardzo się garbi, ponad swój wiek.

- Gnaty mnie bolą, nie wiem, czy to z reumatyzm, nie leczyłam się.

- Pani pozwoli — powiedział Gellert, nachylił się i szybkim ruchem zdjął z niej okulary.

Krzyknęła i przysłoniła oczy dłonią.

- Spokojnie, spokojnie — powiedział. — Chcę obejrzeć pani spojówki. Nie będzie bolało.

Zagryzła wargi i nie zdejmowała dłoni z powiek. Doktor cierpliwie czekał, wreszcie powiedział:

- Proszę pani, przecież nie można na zawsze zostać w takiej pozycji, w końcu przyjdzie pani odsłonić oczy.

Odrzuciła dłoń. Z nienawiścią spojrzały na niego duże, ładne oczy o źrenicach tak rozszerzonych, że tęczęwki wyglądały na czarne. Oddychała z trudem, nierówno.

- Widzi pani, że dużo wiem.

Wstał, odłożył okulary na górną półkę kuchenną, zbliżył się znów do siedzącej, a ona zaczęła odsuwać się przed nim wraz ze stołkiem.

- Spokojnie, spokojnie — powiedział po raz drugi i szybkim ruchem rozchylił jej szlafrok, ciągnąc go w dół.

Spod opadającej flaneli wynurzył się młody tors w ny-

lonowej nocnej koszuli, przez koronki przeświecały wydatne, jędrne piersi.

- Widzi pani, że wszystko wiem, pani Celino — powiedział Gellert. — I dlatego tak bardzo pani nie lubię.

Teraz dopiero zapalił, odwrócony do okna.

*

W stołowym pokoju przy małym stoliku siedzieli porucznik i Celina Zborowska. Stojąca lampa rzucała na nich krąg światła, reszta pokoju ginęła w półmroku.

Doktor Gellert przechadzał się od ściany do ściany, tam i z powrotem, tam i z powrotem, z regularnością wahadła.

Przed porucznikiem leżał plik papierów i dokumentów. Przyjrzał się zdjęciu w dowodzie osobistym: młoda, przystojna blondynka o jasnych oczach i filuternym dołeczku na brodzie. Przeniósł spojrzenie na siedzącą naprzeciw kobietę: nienaturalnie czarne, martwe włosy, chorobliwie obrzękła, zaczerwieniona twarz upstrzona białymi płatkami pękającej skóry, a wśród tej czerwoności — jakby wycięte skądś oczy w ładnej oprawie ciemnych powiek i rzęs, zielone i duże, jak na fotografii.

- To nie do wiary: jak pani potrafiła tak siebie zeszpecić? - westchnął porucznik. — Przecież szkoda urody.

Nie odezwała się.

- Wytłumaczę to panu, poruczniku — powiedział Gellert, kładąc przed nim receptę apteczną. — Pani użyła zwykłego środka na złuszczenie skóry, tyle że kuracja była bardzo forsowna. Skład maści jest bardzo prosty: salicyl, rtęć i jeszcze parę środków, proporcje znajdzie pan na recepcie. Przyda się jako dowód rzeczowy. Wraz ze słoikiem, który zostawiłem na nocnej szafce w sypialni.

Porucznik pokręcił głową z niedowierzaniem:

- I tego starczyło, żeby z przystojnej, młodej kobiety zrobić... taką?

- Nie. Doszły jeszcze ciemne okulary, szpetne obuwie, wkładanie kilku par bawełnianych pończoch, kilku kompletów najtańszej bielizny, żeby pogrubić figurę... pan zwrócił uwagę na tę bieliznę w sypialni, prawda?

- Hm, zwróciłem. Nawet zdziwiłem się, że teściowa, inżyniera nosi coś podobnego.

- Nie bez kozery, poruczniku. I nawet nie teściowa, tylko sama pani inżynierowa. To jeszcze też nie wszystko. Zauważył pan oczywiście, że te czarne loczki wyglądają niezupełnie naturalnie, powiedziałbym, że wręcz brzydko? A pani inżynierowa ma od urodzenia bardzo ładne włosy blond — o, proszę zobaczyć... na zdjęciu.

- Właśnie! — ożywił się znów porucznik. — Czy nie szkoda urody?

Szkoda, oczywiście, że szkoda, pani inżynierowa o tym też pomyślała. Ale w naszych czasach, mając odpowiednią forszę, można znaleźć inne sposoby. Pani Celino, niechże pani zdejmie peruczkę, doprawdy szkoda włosów, przecież muszą oddychać.

Spojrzał na nią wyczekująco. Zerwała z głowy perukę i rzuciła w przeciwległy kąt pokoju. Nad czerwonym czołem ukazał się wąski paseczek białej skóry, rozblęśły złociste fale ściśniętych włosów.

- To już lepiej — powiedział porucznik, a pani Celina zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

- Należy, naturalnie, wymienić także inne, nie mniej ważne rzeczy, które zapewniły pani Zborowskiej powodzenie tego przedsięwzięcia. Na pierwszym miejscu — talent aktorski: umiejętność przybierania odpowiedniej sylwetki, sposobu chodzenia, mówienia itd. Robiła to znakomicie! Gratulacje.

Z kolei doktor przyjął należną mu porcję wzgardy w spojrzeniu. Zniósł to najzupełniej spokojnie.

- Iw końcu rzecz najważniejsza — ciągnął — diabelna odwaga i niewiarygodna wytrzymałość nerwowa. Sam pomysł jest imponująco zuchwały: odegrać rolę kogoś we własnym domu, wobec ludzi, którzy dobrze znali ją z codziennego życia. Odwaga nie byle jaka, zasługująca więcej niż na uznanie: na podziw.

Gellert wygłosił całą tę tyradę w takim tonie, jak gdyby mowa była o kimś nieobecnym. Zborowska zaś słuchała jej

z takim znużeniem, jak gdyby sens słów wcale do niej nie docierał. Porucznik przy tym poczuł się trochę jak statysta, który tylko wypełnia luki w scenariuszu, gdzie zabrakło tekstu dla głównych aktorów.

Doktor, złożyłszy te wyjaśnienia, znów rozpoczął swoją wędrówkę.

Porucznik wciąż porównywał zeszcpeony oryginał z piękną podobizną, z twarzy jego nie znikał wyraz zafrasowania.

- No dobrze — powiedział. — Już rozumiem jak, ale nie rozumiem, po co pani to zrobiła.

Nie poruszyła się, tylko mocniej zacisnęła usta.

- Po co? — nalegał. — Przecież musiała pani mieć jakiś ważny powód. Jakiś bardzo ważny powód.

Upłynęła długa chwila w niemym oczekiwaniu. Gellert znów przystanął koło porucznika.

- To też, zdaje się, będę mógł panu wytłumaczyć. Pani inżynierowa... jakby to delikatniej wyrazić? Pani inżynierowa nie bardzo kochała swojego ślubnego małżonka.

- To stare małżeństwo?

- O nie, pobrali się całkiem niedawno, rok temu. Przypuszczam, że pani inżynierowa rok temu też nie kochała swojego męża. Nawet jestem tego zupełnie pewien.

- Po cóż... zresztą nieważne, zdarza się. Proszę dalej.

- Więc, mówiąc prościej, pani inżynierowa bardzo nie lubiła swojego małżonka i bardzo chciała się go pozbyć.

- Czy w grę wchodził ktoś trzeci?

- Możliwe. W każdym razie w grę wchodziły względy natury finansowej. Otóż zmarły inżynier zarabiał dobrze, nawet bardzo dobrze, to był człowiek z talentem, doskonały fachowiec.

- Ale skąpy, co?

- Wcale nie skąpy, wręcz przeciwnie. Swoją książeczkę czekową, na którą przelewano jego honoraria, przekazał żonie wraz z upoważnieniem — i odtąd już nie troszczył się o swoje wpływy ani o żonine wydatki.

Porucznik wyciągnął z paczki papierów książeczkę czekową i zaczął ją uważnie przeglądać.

- Pani jest skrupulantka, co? — zapytał, wertując czek.

- Wpisywała pani na odcinku, który zostaje u właściciela, wszystkie daty i podejmowane sumy... No, no! Rzeczywiście inżynier nieźle zarabiał. Październik roku zeszłego: podjęto pięć tysięcy, a w tydzień później jeszcze trzy pięćset.

- To był właśnie miesiąc miodowy — wtrącił doktor.

- Zrozumiałe. Ale w następnym miesiącu pani też nie mało podjęła: ogółem blisko dziesięć tysięcy. W grudniu jeszcze lepiej: trzy, pięć i dziewięć tysięcy. Jasne, wydatki Świąteczne. A jaką inżynier miał pensję?

Po chwili ciszy odpowiedział znów Gellert:

- Miał kilka funkcji, razem pobory wynosiły chyba siedem czy osiem tysięcy, a może więcej.

- Dzieci państwo nie mieli, prawda? Kosztowny dom prowadził pan inżynier, bardzo kosztowny... A pani to nie tylko skrupulantka, pani Zborowska, ale też ryzykantka. Nie bała się pani mężowskiej kontroli?

- To byłaby zbyt duża obawa, panie poruczniku! Pani inżynierowa, jak sądzę, dobrze знаła swojego męża. Inżynier umiał zarabiać, ale nie kontrolować. Był pod tym względem jak ufnie dziecko, które samo się doprasza, żeby go krzywdzono.

- Patrzcie, patrzcie! — zawołał porucznik. — Piętnastego września, czyli dziewięć dni temu, pani własnoręcznie podjęła sześć tysięcy złotych, a przedwczoraj aż dziesięć tysięcy. To rozumiem! Występując w domu jako własna matka, udała się pani do PKO jako córka tejże, Celina Zborowska. Brawo, brawo! To numer nie byle jaki, to już nie ryzykanctwo, tylko wręcz... tupet. W PKO nie patrzą na gębę, że się tak brzydko wyrażę, tam liczy się podpis, prawda?

Milczała uparcie, tylko mocniej przygryzała wargę.

- Nie bardzo mądrze pani postąpiła — rzeczowo powiedział Gellert. — Taki podpis, takie podjęcie pieniędzy w chwili, kiedy buduje się wersję, że małżonka inżyniera przebywa na Dolnym Śląsku, to krok co najmniej nieroz-

ważny. Czy zdaje sobie pani sprawę, jaka to będzie gratka dla prokuratora?

- Pani nie liczyła chyba na spotkanie z prokuratorem. I miała rację, doktorze: gdzie to jest powiedziane, że każdy obywatel musi zetknąć się z prokuratorem?

- Właśnie. Ja osobiście myślę, że tak nierozważny krok pani podjęła pod mocną presją, czy to okoliczności, czy też jakiejś osoby.

- Może miało miejsce jedno i drugie — zauważył porucznik.

Szczegół ciekawy: tych pieniędzy w domu nie ma. Czyżby ostatnia kwota została w ciągu dwóch dni wydana? Wątpię, sumka niebagatelna. Przypuszczać można, że raczej została komuś przekazana, powiedzmy, na przechowanie.

- Myślę, że i to da się wyjaśnić.

- Nie rozumiem jednak, doktorze: taki mąż to kura, która znosi złote jajka, na takiego trzeba chuchać i dmuchać, żeby dłużej się chował. Po co takiego się pozbywać?

- Niech pan spojrzy na polisę ubezpieczeniową, poruczniku. Leży przed panem, wśród papierów.

Porucznik odnalazł dokument, przeczytał i przeciągle gwizdnął.

- Widzę, że pan inżynier był... przepraszam, doktorze, pan go, zdaje się, blisko znał... ale widzę, że to był człowiek niespełna rozumu. Znów przepraszam, doktorze, to zwrot pospolity i musi pana razić...

- Nie szkodzi. Pan Zborowski nie cierpiał na chorobę umysłową, mogą to zaświadczyć. O co panu chodzi?

- Ubezpieczyć swoje życie na taką sumę! Albo był megalomanem, uważał się za skarb nieoceniony, albo nie znał się na wartości pieniądza. Pan wie, ile on płacił miesięcznie za to ubezpieczenie na korzyść małżonki?

- Nie wiem.

- Ponad dwa tysiące! To trzeba sobie uprzytomnić: dwa tysiące! Miesięcznie!! Dwadzieścia pięć rocznie!!!

- Jeszcze jeden powód więcej, by starać się pozbyć męża jak najszybciej. Zaoszczędzenie tych dwudziestu pięciu tysięcy rocznie. Teraz pan pewnie już rozumie, na czym ja

opieram swoje twierdzenie? Ta kura dopiero po śmierci miała znieść największe złote jajko: cały milion!

Zapadła długa cisza. Doktor wędrował z kąta w kąt, porucznik przeglądał papiery. Zborowska zmieniła pozycję — oparła się głową o fotel. Na twarzy jej znać było zmęczenie.

- Skoro jesteśmy przy kwestiach pieniężnych — podjął porucznik - zreferuję sprawę książeczek oszczędnościowych. Pani inżynierowa posiada dwie własne książeczki. Pierwszą założyła jeszcze w mieście K., 28 stycznia roku 1965, na ówczesne swoje nazwisko jako Celina Kawoń.

- Ile wynosił pierwszy wkład? — zapytał doktor.

- Sto dwadzieścia tysięcy złotych. W ciągu następnych trzech lat, aż do zawarcia drugiego małżeństwa i przeniesienia się do Warszawy, pani Kawoń w różnych odstępach czasu składała różne sumy, powiększając wkład pierwotny o dziewięćdziesiąt trzy tysiące. Zwłaszcza w okresie sierpień — październik roku 1968 wpłaty były wysokie i częste.

- To był okres, że tak powiem, nowego narzeczeństwa, choć ślub wtedy jeszcze nie wchodził w rachubę.

- Niemniej, okres okazał się dla pani Kawoń owocny. A pierwszy małżonek też był, jak widać z książeczki, człowiekiem hojnym. Co mu się stało?

- W kwietniu tegoż 1965 roku wsiadł za deufraudację i dostał pięć lat.

- Aha. Był przewidujący i zawczasu przelał pieniądze na małżonkę. Czy umarł w więzieniu?

- O ile mi wiadomo, jest żywy i zdrow. Pani Kawoń przeprowadziła z nim rozwód wkrótce po wydaniu wyroku skazującego, odzyskując swoje panięńskie nazwisko.

- Bardzo, bardzo roztropnie. Oszczędności osoby postronnej nie ściągają zainteresowania władz. Miała potem, jak widać, intratną posadę, skoro uskładała znów ładną sumkę, już tylko własnym wysiłkiem.

- Pracowała jako maszynistka.

- Jako maszynistka? Musiała być bardzo, ale to bardzo

pracowita i oszczędna, to się chwali. Zajrzyjmy do drugiej książeczki, którą założyła już jako Celina Zborowska w Warszawie, w końcu października zeszłego roku. Gdzie podziała się ta książeczka?

- Schowała się pod polisą. O, proszę.

- Dziękuję, doktorze. Zestawiłem ją z książeczką czekową inżyniera i oto, co zauważyłem: sumy, podejmowane przez panią na czek, prawie w całości przelewała na swoją książeczkę PKO. Tegoż dnia i prawie w całości, to ciekawe. A jeszcze zanim to stwierdziłem, zadziwiło mnie, że pani inżynierowa prawie wcale nie posiada prawdziwej biżuterii, same błyskotki, jak byle kociak, za przeproszeniem. Czy pan to sobie tłumaczy, doktorze? Chyba skromnością?

- Tylko częściowo. Myślę, że pani Zborowska, jako dawny pracownik handlu, ceni sobie przede wszystkim znaki pieniężne

- Tak pan myśli? Może i racja. A pani co powie? — nagle zwrócił się wprost do Zborowskiej, która siedziała z przymkniętymi oczami.

Drgnęła, podniosła powieki, błysnęła ku niemu zielonym ogniem nienawiści, po czym znów zgasła spojrzenie.

- Może pani woli, żebyśmy razem przenieśli się do Komendy? — zapytał porucznik.

Nie odezwała się.

- A może pani jest zmęczona? Możemy przerwać tę rozmowę.

Poruszyła się lekko, ale nadal milczała.

Głos zabrał Gellert:

- Sądzę, że ta rozmowa interesuje panią co najmniej w tym samym stopniu, co nas. Właściwie referujemy pani, jakie fakty są nam w tej chwili znane, a to przecież nie może być dla pani obojętne.

- Prawda. Cóż by pan proponował, panie doktorze?

Zborowska zerknęła ukradkiem na Gellerta, zdradzając zaniepokojenie. Przerwał wędrówkę, stanął naprzeciw niej, ona zaś skuliła się w fotelu, tak jakby się bała. Po-

patrzył z bliska w jej twarz i odszedł z niesmakiem.

- Cóż tu można zaproponować? Nie będziemy rozmawiać z niemową. Albo zgodzi się odpowiadać choćby na niektóre pytania, albo rozstaniemy się: pan przekaże ją na Komendę, my zaś we dwójkę omówimy cały materiał.

- Rozsądna propozycja. Co pani na to, pani Zborowska?

Nie odpowiedziała. Porucznik wstał, zaczął zbierać papiery do teczki.

- Panie doktorze, może pan z łaski swojej zawoła sierżanta. Wozy chyba czekają na ulicy.

Gellert ruszył do drzwi, ale Zborowska krzyknęła:

- Nie!

Zatrzymał się.

- O co panom chodzi? Na jakie pytania mam odpowiadać?

- Najlepiej na wszystkie — powiedział porucznik — ale ma pani też prawo odmawiać odpowiedzi.

- Chciałabym napić się wody.

Doktor wyjrzał na korytarz, po chwili ktoś podał mu szklankę wody. Piła długimi łykami, potem otarła usta rękawem, wyprostowała się w fotelu i rzuciła:

- Możecie pytać.

*

Minęła godzina trzecia. Gellert zsypał niedopałki z dwóch popielniczek na duży talerz i wystawił go na korytarz.

- Dobra — powiedział sadowiąc się przy stoliku między porucznikiem a panią Zborowską. — Dowiedzieliśmy się garści szczegółów, które umocniły mnie w przekonaniu, że od chwili wypadku na Sarniej Skałce...

- Gdzie? — przerwała mu.

- Na Sarniej Skałce, koło wsi Iglice. W tym miejscu, które pani ochrzciła Czarcim Żlebem, pewnie dla żartu.

- Skąd pan wie?

- Ja dużo wiem, pani mogła już o tym wielokrotnie się przekonać. A więc: od chwili tamtego wypadku pani hodowała w myśli pewien plan. Postanowiła pani pozbyć

się męża. Pozbyć się definitywnie, bez ryzyka dalszych kłopotów.

- A to niby dlaczego?

- Przyczyn jest kilka. O głównej wspomniałem: realizacja polisy ubezpieczeniowej. Chodzi przecież o kolosalny majątek. Niejedną zbrodnię popełniono dla sumy tysiące razy mniejszej. Ponieważ z powodów dla pani niezrozumiałych nastąpił gwałtowny zwrot w stosunku do niej ze strony męża...

- Kiedy?

- Mniej więcej po pani chorobie. Ponieważ, mówię, przekonała się pani, że stosunek męża uległ gwałtownej zmianie... przekonała się w sposób nader przykry, znajdując go, przy nagłym powrocie znad morza, w łóżku z inną kobietą...

- No, proszę, nawet o tym pan wie dokładnie!

- Owszem, wiem. Ta zmiana jego stosunku do pani postawiła w stan zagrożenia i ów majątek: a nuż inżynier wpadnie na całkiem rozsądny pomysł i rozwiedzie się z panią? A jeżeli rozwiedzie się, żeby połączyć z inną, to następczyni może uświadomić go i w sprawie polisy. Po cóż ryzykować?

- Logicznie pan rozumuje, panie doktorze — wtrącił porucznik. — A jakich pan dopatruje się innych jeszcze powodów tego... no... planu?

- Powód drugi: w lipcu bieżącego roku wyszedł z więzienia na mocy amnestii Ludwik Kawoń, pierwszy mąż pani.

Gellert bez pośpiechu wyjął papierosy, poczęstował porucznika, zapalił sam. Zborowska śledziła każdy jego ruch z widocznym napięciem.

- Ma pan zapasową paczkę? — zapytał. — Bo mnie papierosy już się kończą.

- Mam jeszcze nie napoczętą — uspokoił go porucznik.

- To dobrze. A więc: wyszedł z więzienia Ludwik Kawoń, pierwszy i w odróżnieniu od Zborowskiego, ukochany mąż pani Celiny. Cztery lata temu powierzył małżonce spore

pieniądze, sto dwadzieścia tysięcy, i nie wątpił, że mu je przechowała uczciwie.

- Wygląda, że się nie pomylił?

- Tak, nie pomylił się. Czy ja sugerowałem, że pani Celina nie ma serca? Nie miała serca dla Zborowskiego, ale to inna sprawa. Wobec Ludwika była bez zarzutu, nawet wtedy, gdy się rozwiodła, oczywiście na jego życzenie.

- Tak pan przypuszcza?

- Nawet nie wątpię, ale to szczegół, nieważny. Kawoń to człowiek obrotny, zapobiegliwy, przytomny. Odebrał przy zwolnieniu należne mu pieniądze, ale do knajpy nie poszedł, nie upił się, jak nakazuje dobry obyczaj. Więzienna brać stworzyła nawet taki zabobon, że po wyjściu pierwszym obowiązkiem człowieka iść do najbliższej mordowni i upić się w sztok, bo inaczej będzie źle, inaczej przyjdzie siedzieć ponownie.

- Skąd pan o tym wie, doktorze? — zdumiał się tym razem porucznik. — To przecież nie pański resort?

- Mój resort jest bardzo rozległy, poruczniku, mam klientów wszędzie po troszkę. Ale wracajmy do pana Kawonia. Miał trochę grosza na pierwsze dni. Pojechał do miasta K.,-tam dowiedział się, dokąd przeniosła się jego była małżonka, aktualnie Celina Zborowska, pani inżynierowa.

- Ta nowina musiała być dla niego niezbyt przyjemna?

- Nie wiem. W Warszawie dowiedział się, że pani Celina wyjechała na wczasy do Juraty. Pofatygował się aż tam i, mówiąc waszym językiem, nawiązał z nią kontakt. To już był początek sierpnia. Książeczkę PKO zostawiła pani nieopatrznie w Warszawie, a tu wydatki wzrosły. Telegram do męża (tego drugiego), przyszły dodatkowe trzy tysiące, potem jeszcze. Z czasów wróciła pani inżynierowa w doskonałej formie. Pan Kawoń też.

- Czy pan długo tak może? — krzyknęła nagle Zborowska.

- Jak, proszę pani?

- Odstawiać pajaca! Czego pan ode mnie chce?

- Może przekreślę fakty? To proszę sprostować. A

zresztą ma pani rację. Tu nie zabawa, tu pachnie zbrodnią.

Wstał i zaczął swoim zwyczajem chodzić z kąta w kąt. Parę minut trwała cisza, którą przerwał porucznik:

- Panie doktorze, czy pan wiąże te dwa fakty, czyli kontakt pani Zborowskiej z jej byłym mężem, z jednej strony, a z drugiej — plan pozbycia się inżyniera Zborowskiego? Jak pan się wyraził, pozbycia się definitywnego, bez dalszych kłopotów?

- Zgadł pan, poruczniku, właśnie upatruję w tych dwóch faktach istotnego związku. Prościej powiedziawszy, zakładam, że plan wyeliminowania inżyniera Zborowskiego z naszego padołu był opracowany wspólnie przez panią Celinę i pana Ludwika. Pierwsza próba jego realizacji odbyła się w górach koło wsi Iglice na Dolnym Śląsku i skończyła się nieszczęśliwym wypadkiem, o którym pobieżnie wspomniałem.

- Wypadkiem, w którym ucierpiała pani Zborowska?

- Nie tak bardzo znów ucierpiała, prawdę mówiąc: więcej było krzyku niż szwanku. Próba następna była zakrojona na szerszą skalę i odbyła się w Warszawie. Nazwałbym ją: obłączenie. Plan natarcia był skomplikowany, polegał na nękanii obłączonego różnymi straszakami.

- Mógłby pan przytoczyć przykłady?

- Główną przykrością i straszakiem było przymusowe współżycie z teściową, której przedtem nie znał. Proszę postawić się w jego sytuacji. Ta niby teściowa jest brzydka, ponura, agresywna, wścibska. Systematycznie i skutecznie obrzydza mu własne mieszkanie, „wnerwia go”, jak wyraża się teraz młodzież. Jest trudna do zniesienia, zarówno sama w sobie, jak też przez stałe przypominanie o kurującej się małżonce, która w listach (pisanych, notabene, w Warszawie, ręką samej pseudo-teściowej) używa mglistych pogroźek jako niedoszła ofiara małżonka.

- W tym okresie inżynier zaczął leczyć się u pana?

- W tym okresie inżynier zaczął naradzać się ze mną. Jego system nerwowy był już mocno nadszarpnięty wskutek opisanych zabiegów. Uważam, że okazał wyjątkową

odporność, i hart, inny by naprawdę zwariował. Ale obłączenie trwało. Sądzę, że nowe chwytby były układane i uzgadniane wspólnymi siłami pani Celiny i jej byłego męża, a właściwie nie tyle byłego, co przyszłego, bo pewnie odziedziczy po Zborowskim jego wdowę razem z polisą.

- To -już chyba tylko supozycja pana doktora?

- Owszem, supozycja, ale taka, na którą mam dowody.

- Jakie? — wyrwało się siedzącej w fotelu.

- Nie muszę ich wyklądać w tej chwili, mam swój harmonogram. Zresztą ta kwestia jest drugorzędna w aspekcie, który nas interesuje. Prosił pan, poruczniku, o jakieś przykłady, ilustrujące metody pani w zadręczaniu i straszaniu męża?

- Tak, prosiłbym o jakąś, że tak powiem, konkretyzację.

- Proszę bardzo. Przytoczę dwa najjaskrawsze fakty. Pierwszy zdarzył się cztery dni temu, w noc z niedzieli na poniedziałek. Pani wyłączyła korki elektryczne, otworzyła drzwi z sypialni do gabinetu, podeszła do śpiącego męża i zaczęła go całować. Kiedy obudził się i oprzytomniał, udała zjawę i uciekła, korzystając z egipskich ciemności. Pomysłowy chwyt, prawda? Tylko zapomniała pani zetrzeć szminkę z ust, a zjawy, jak wiadomo, na ogół autentycznej szminki nie używają.

- Cholera!

- Proszę? Pani chciała coś dodać?

- Tylko to, co pan słyszał: cholera!

- Aha. Mogę więc przejść do drugiego przykładu. Przedwczoraj pani oznajmiła Zborowskiemu, że w czwartek, czyli dziś, wczesnym rankiem wróci ukochana, a sporniewierana córka, Celina. Ten chwyt był jeszcze skuteczniejszy, podziałał na rozchwiany system nerwowy inżyniera jak przysłowiowa „ostatnia kropla”. Nazajutrz rozchorował się już całkowicie, musiał położyć się do łóżka, a nawet miał atak hysterii.

- Chwileczkę, chwileczkę, doktorze! — przerwał mu porucznik. — Z czego to wynika, że zapowiedziany na czwartek przyjazd żony miał być tylko „chwyttem”, „stra-

szakiem”?

- Niechże pan spojrzy na tę kobietę: jakim cudem mogłaby w ciągu jednej nocy odzyskać swój normalny wygląd i wystąpić w charakterze Celiny? I gdzieżby podziiała matkę? Przecież to nie teatr, nie kino, nie cyrk, gdzie aktor może grać dwie role w jednej sztuce, to realne życie!

- Rzeczywiście... Ale gdyby czekała, aż jej twarz się wygoi, to nie mogłaby nadal mieszkać w domu Zborowskiego jako teściowa.

- O to to! Dlatego właśnie w grę mogło wchodzić tylko jedno rozwiązanie: teściowa wyjeżdża, a w tydzień później wraca żona. I tak to było niewątpliwie zaplanowane. Mam rację? — zwrócił się zniecierpliwiony do Zborowskiej.

Kiwnęła głową — i od razu połapała się, że wpadła.

- I cóż z tego! — zaperzyła się. — Głupi by zgadł, że nie ma innego sposobu.

- No właśnie. Dlatego też nawet głupi by zrozumiał, że zapowiadanie rychłego przyjazdu córki było błagą, służyło tylko do straszenia inżyniera. Przewidziane było na jutro odwołanie, jakiś telegram czy telefon z Cieplic. I tak można było szarpać i szarpać jego chore nerwy.

- Czy chce pan powiedzieć, że samobójstwo inżyniera Zborowskiego było owocem całej tej przemyślnie ukartowanej akcji? — zapytał porucznik.

- Niezupełnie. Dzisiejszy wypadek w pewnym sensie pokpił plany pani Celiny i jej współnika.

- Jakże to? Przecież pan mówił, że właśnie eliminacja inżyniera była ich celem?

- Owszem, ale w późniejszym terminie oraz innym sposobem.

- Prosiłbym jaśniej.

- Postaram się. Według mnie, plan współników przewidywał inny rodzaj nieszczęśliwego wypadku, na przykład samochodowy. Zborowski bardzo lubił swój wóz i chętnie nim jeździł, nie bacząc na stan swoich nerwów. W tym zaś stanie, do którego go ostatnio doprowadzono (a który

zamierzano jeszcze pogorszyć), byłoby bardzo nietrudno o spowodowanie katastrofy.

- Przepraszam, panie doktorze, ale wkracza pan chyba za daleko w sferę spekulacji, hipotez.

- Tylko o tyle, o ile próbuję skonkretyzować ewentualną wersję wypadku. Jest natomiast absolutnie pewne, że współnikom zależało na wypadku, który, primo, rozegrałby się poza domem (żeby nie mieć takiego kramu, jaki w tej chwili ma na głowie pani Zborowska), a secundo, który nie wyglądałby na samobójstwo. To, co stało się tu dziś w nocy, jest dla nich klęską, katastrofą.

- Dlaczego? — zapytali jednogłośnie porucznik i pani Celina.

Gellert uśmiechnął się i z ociąganiem zapalił papierosa.

- Chcecie wiedzieć, dlaczego? Pewnie dlatego, że los czuwa, żeby zbrodniarzom nie powiodło się za dobrze. Pan Kawoń, bardziej oblatany w kwestiach finansowych niż jego była małżonka, natychmiast by się zorientował, że samobójstwo inżyniera przekreśla najlepsze ich obojga nadzieje.

- Dlaczego, do licha? — wykrzyknęła pani Celina, ostatecznie wyprowadzona z równowagi.

- Choćby dlatego, że samobójstwo ubezpieczonego automatycznie unieważnia polisę.

Zerwała się na równe nogi, z trudem łapiąc powietrze, i runęła na podłogę, straciwszy przytomność.

*

Dzięki środkom trzeźwiącym, zastosowanym przez doktora Gellerta, szybko odzyskała przytomność. Była osłabiona., drzemała teraz na swoim łóżku, a przy niej czuwała żona dozorca. Porucznik zajmował się sprawami organizacyjnymi, gdzieś telefonował, kogoś besztął, kogoś wzywał.

Gellert usiadł przy dużym stole w jadalni, rozłożył barwne magazyny i kolejno je przeglądał, popijając świeżo zaparzoną kawę. Za oknem już występował słaby jesienny brzask, światło żyrandola żółkło i kurczyło się, na twarzy doktora kładł się szary cień.

- A pan wciąż pracuje, wciąż grzebie w papierach! — powiedział porucznik, wchodząc również z filiżanką kawy.

- Przyznam się, że jestem już porządnie zmachany.

- Ja też. Wcale nie pracuję, czytam dla odprężenia zagraniczne tygodniki ilustrowane.

- Mo i co, znalazł pan jakąś sensację?

- Same sensacje. Na miejscu honorowym wciąż jeszcze sprawa Mary-Jo Kopechne.

- Aha, tej sekretarki senatora Kennedy'ego, który ją utopił.

- Nie wiadomo, czy utopił, w każdym razie wątpliwe, żeby to zrobił z premedytacją, przecież też był w samochodzie, który wpadł do wody. Ale zachował się nieładnie: sam się wydostał, a dziewczynę zostawił na dnie i cichaczem wrócił do domu, nie alarmując policji.

- Tak, nie postąpił po sportowemu.

- Tłumaczył się ponoć, że dostał szoku, stracił rozeznanie.

- A co pan myśli o tej sprawie?

- Nic nie myślę. Szkoda dziewczyny. Okoliczności są tak dobrze pogmatwane, że prawda pewnie nigdy nie wyjdzie na jaw.

- Nie nasze zmartwienie, doktorze! My mamy swoje.

- Właśnie. W tej chwili martwię się tym, że trzeba będzie wznowić rozmowę z panią inżynierową. A bardzo mi się nie chce Pan sobie nawet nie wyobraża, jak mi się nie chce tym zajmować!

- Przecież nie rzuci pan sprawy w pół drogi?

- Nie mogę, niestety, i to mnie gnębi. Sytuacja nie jest miła: dwóch drabów, uzbrojonych po zęby w rutynę, znajomość faktów i różnych dozwolonych i niedozwolonych sztuczek, zapędza w pułapkę kobietę — nie powiem, żeby niewinną, nie powiem, żeby sympatyczną ani bezbronną, ale jednak od nich słabszą i, z całą pewnością, głupszą. Walka nierówna, poruczniku, i chwały nam nie przyniesie. Wolałbym tysiąc razy mieć do czynienia z tym draniem Kawoniem, to stary wyga, kuty na cztery nogi. Walka z nim to walka na noże, nie miałbym najmniejszych skrpułów. A z nią...

- Co panu się stało, doktorze? Nie w pierwszym śledztwie

bierze pan aktywny udział, a takich oporów pan nie miał.

- Skąd pan wie? Po prostu nie mówiłem o tym. Naszła mnie dziś chwila szczerości. Zresztą, ma pan rację, za późno na takie rozterki. Przepraszam. Jestem może zwyczajnie zbyt przemęczony. Lękam się tego dalszego ciągu, bo najtrudniejsze mamy jeszcze przed sobą.

- To jak: może zlużuję pana?

- Broń Boże! Muszę w tym uczestniczyć, wszystkie nici mam w ręku. No, dobra! Zaraz sprawdzę, w jakim ona jest stanie.

Wyszedł i dość długo był nieobecny. Wrócił wraz z panią Zborowską. Półgodzinny wypoczynek dobrze jej zrobił, miała wyraz twarzy spokojny i bardzo zdecydowany.

Zasiedli, jak przedtem, przy małym stoliku, zapaliwszy stojącą lampę.

- Czy potwierdza pani swoją znajomość z Ludwikiem Kawoniem? — zaczął porucznik.

- Potwierdzam, że byłam jego żoną.

- To fakt znany z dokumentów. Pytam o ostatni okres, już po jego wyjściu z więzienia.

- Odmawiam odpowiedzi.

Porucznik spojrzał pytająco na doktora.

- Kawoń mieszka obecnie na Poznańskiej — odezwał się Gellert. — Codziennie spotyka się w tym mieszkaniu z panią Zborowską, jeden raz odwiedził ją tu, pod nieobecność inżyniera.

Ta świeża informacja zrobiła na niej widoczne wrażenie, nadal jednak milczała.

- No dobrze — podjął porucznik. — Spróbujmy jeszcze uzgodnić z panią pewne szczegóły. Na przykład: czy przyznaje pani, że pospołu z rzeczoną Kawoniem knuła intrygę przeciw Zborowskiemu w celu wpędzenia go w rozstrój nerwowy?

Wzruszyła tylko ramionami.

- Pani chyba już się zorientowała, że dysponujemy wielką ilością informacji, znamy fakty podstawowe, które dowodzą niezbicie, iż pani szykowała zamach na zdrowie i

życie męża.

- Po cóż pytacie, skoro macie fakty?

- To zwykła formalność, damy sobie radę i bez pani wyjaśnień. Jednakże w interesie samej pani...

- Dziękuję za troskę.

- W takim wypadku rozmowa nie potrwa już długo. Panie doktorze, ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Właściwie nie. Albo... Proszę mi powiedzieć: czy agent ubezpieczeniowy zjawił się u państwa z własnej inicjatywy, czy to pani go wezwała?

Twarz jej przeleciał skurcz — temat polisy był świeżą, bolącą raną. Zacisnęła usta.

- Czy pani zapoznała się w szczegółach z warunkami ubezpieczenia na życie? — podjął po chwili. — Treść pouczenia powinna by panią ostrzec, żeby nie przeciągać struny, bo mąż w stanie ostatecznego wyczerpania nerwowego może targnąć się na swoje życie. Nie przewidziała pani tej ewentualności?

Milczała.

- Bo, o ile się orientuję, główne pani rachuby opierały się na tej właśnie, polisie, nie na spadku. I słusznie, cała gotówka inżyniera, wraz z mieszkaniem — to nic wobec okrągłego miliona!

Z zimną premedytacją jątrzył jej ranę. Podniosła na niego rozwścieczone oczy, ale nie dała się sprowokować do mówienia.

- Dziwię się, że mąż (mam na myśli Kawonia) nie wytłumaczył pani takiej elementarnej rzeczy.

- Odczepcie się od niego - syknęła. - Macie mnie w rękę, nic wam po nim.

- Myli się pani — zauważył flegmatycznie porucznik. — W tej chwili Ludwik Kawoń pewnie też składa zeznania, tylko dla wygody wprost w Komendzie.

Tak mocno się zdenerwowała, że bladeść okryła jej ciemne policzki.

- Wobec tego — ciągnął — możemy już skończyć z tą kwestią i poczekać na jego zeznania. Prawda, panie dok-

torze?

- Prawda. Jednakże mam do pani Zborowskiej pytanie na inny temat. Interesuje mnie ten wypadek sprzed paru tygodni, na Sarniej Skałce, jako że dotąd za mało o tym mówiliśmy. Bardzo się pani wtedy potłukła?

Wpatrywała się w niego czujnie.

- Chyba nie bardzo? Obejrzałem panią podczas omdlenia, nie widać śladów okaleczeń, tylko pamiątki po zadrażnieniach na lewym przedramieniu i udzie tudzież parę sińców, całkiem już pożółkłych. Szczęśliwie się skończył dla pani ten nieszczęśliwy wypadek, trzeba powiedzieć.

- Z jakiej wysokości pani spadła? — zainteresował się porucznik.

- Z niewielkiej, może niecałe trzy metry. Sarnia Skałka jest miejscem bardzo niebezpiecznym, ale nie dla wszystkich. Pani inżynierowa miała wyjątkowe szczęście, które tylko sobie zawdzięcza. Dziwi się pan? Zaraz to wytłumaczę.

Wziął arkusz papieru i zaczął na nim coś kreślić. Dwie pary oczu śledziły jego ruchy z wielką uwagą.

- Proszę spojrzeć, poruczniku. Tak wygląda Sarnia Skałka od strony podejścia, a tak — od strony przepaści. Zwracam uwagę na plan numer dwa: w tym miejscu, o jakieś trzy metry pod wklęsłym szczytem skały, wysuwa się naprzód kawał płaskiego kamienia, coś na kształt tarasu. Widzi pan?

- Tak. Rozumiem, jak to wygląda w naturze.

- Taras, czyli występ dużego kamienia, od dawna porósł mchem i nie ma ostrych załamów, to szczególnie ważny. Teraz proszę wyobrazić sobie scenę, i aka się rozegrała na skarpie, zanim pani Zborowska uległa wypadkowi. Opis zajmie trochę czasu, uprzedzam.

- Proszę się tym nie krępować.

- Pani zaprowadziła małżonka na ten szczyt wieczorem, kiedy zapadł już zmierzch, a w dodatku lał gęsty deszcz. Widoczność była bliska zera. Inżynier znalazł się tuż nad przepaścią, a jego małżonka — tuż nad owym tarasem kamiennym, położonym o parę metrów niżej. W miejscach,

gdzie się zatrzymali, stawiam ich inicjały, A. i C.

- Stali daleko od siebie?

- W odległości najwyżej pół metra. W tej pozycji odbyła się ostra wymiana zdań i pani Zborowska nagle chwyciła lewą ręką męża za płaszcz i szarpnęła tak mocno, że zachwiaił się na nogach, po czym z całej siły pchnęła go prawym ramieniem ku przepaści. Nie jest kobietą słabą, to widać z budowy, a do tego doszła jeszcze pasja złości. Inżynier jednak utrzymał się na nogach, co można sobie wytłumaczyć tylko ingerencją jego osobistego anioła stróża, nie inaczej.

- Jestem materialistą, panie doktorze...

- Ja też. W całkiem naturalnym odruchu samoobrony Zborowski pchnął żonę ramieniem w prawy bark. w wyniku czego straciła równowagę. Ten cios był całkiem nieprzewidziany, ponieważ mąż miał już lecieć głową w dół. Nie straciła jednak przytomności umysłu i, zeskakując na ów kamień, który od początku służył jako jej ewentualne zabezpieczenie, złagodziła siłę upadku, chwytając się rosnących tam krzaków.

- No, wie pan, wszystko razem można by uważać za cud! Niech by spadła trochę bardziej na prawo...

- Gdyby spadła bardziej na prawo, tam właśnie, gdzie miał spaść inżynier, no, wtedy stoczyłaby się aż do górskiego potoczka na dnie, który jest pełen dużych, ostrych głazów. Kto tam zleciał, nie uszedł z życiem. Jednakże pani Celina nie miała takiego zamiaru i nawet wcale nie ryzykowała; zaraz powiem, dlaczego.

- Bardzo jestem ciekaw: dlaczego?

- Dobrze знаła całą okolicę, wraz z Sarnią Skalką, bo mieszkała tam cały rok jako dorastająca dziewczyna.

Najulubieńszą zabawą miejscowej młodzieży jest zeskakiwanie z Sarniej Skalki na ten tarasik, robią to wszyscy, w każdym pokoleniu, nabywając niewiarygodnej wprawy.

Mówiąc to, Gellert patrzył na swój rysunek, ale brzeżkiem oka dostrzegł twarz Zborowskiej. W miarę jak po-

dawał ostatnie szczegóły, wpadała w coraz większy popłoch, niemal lęk mistyczny; zdaje się, zaczynała wierzyć, że doktor ma nadprzyrodzony dar wiedzy o wszystkim.

- Chciałby pan pewnie usłyszeć, co stało się dalej? — zwrócił się do porucznika. — Inżynier, oczywiście, pomyślał, że zdarzyło się nieszczęście, że małżonka się zabiła. Długo stał, a właściwie leżał nad urwiskiem, patrzył w nieprzejrzaną mgłę i wołał: Celina! Celina! Nie doczekał się odpowiedzi.

- Czemuż to? Straciła po upadku przytomność?

- Wątpię, bo w takim razie niechybnie ześliznęłyby się z tego kamienia, utrzymać się na nim można było tylko dzięki przytomnym wysiłkom. A czemu nie odezwała się na wołania męża? O tym właśnie chciałbym ją zapytać.

Drgnęła jak w transie. Nie odrywała rozszerzonych źrenic od jego ust, chciwie chłonęła każde słowo. Nie odezwała się jednak.

- I znów muszę sam sobie udzielić odpowiedzi. Pani inżynierowa nie straciła przytomności, wręcz przeciwnie, okazała wyjątkową przytomność Umysłu, pozazdrosczenia godny refleks. A mianowicie: postanowiła wykorzystać niefortunny zwrot sytuacji — udać, że padła ofiarą męża. Tak też zrobiła.

- Skąd... skąd pan tego wszystkiego się dowiedział? — wykrztusiła z trudem. — Tam nie było nikogo prócz nas.

- Skąd? Przypuśćmy, że byłem tam jednak.

- Niemożliwe! Na gołym szczycie nie ma gdzie się ukryć.

- Mogę pani wyjaśnić, skąd ja to wiem, ale w drodze wymiany, jeżeli pani też wyjaśni mi pewne rzeczy. Na przykład: gdzie pani spędziła czas przed spotkaniem z mężem w tej wiosce?

- Zatrzymaliśmy się u znajomego w Cieplicach.

- U Pietrasińskiego?

- Tak. Skąd pan wie?

- O tym też powiem później. Jadąc tam, pani myślała, że Barbary Łozińskiej już w Iglicach nie zastanie, bo ekspedientka Cepelii udzieliła pani mylnych informacji.

O której pani zjawiała się w Iglicach?

- Kolo szóstej. Zjedliśmy przedtem obiad.

- Rozumiem. Spostrzegła pani, że pani Barbara jeszcze nie wyjechała, ale szykuje się do drogi. Tak?

Kiwnęła głową.

- Więc poczekała pani spokojnie, aż wyjechała. I jeszcze jedno pytanie: kiedy państwo — mam na myśli panią i pana Ludwika — wrócili do Warszawy?

- Tegoż wieczora, pośpieszonym o 21.54.

- W Warszawie zamieszkała pani na Poznańskiej, wiem. Tam przygotowała się pani do odegrania roli staruchy: podrażnianie skóry, peruka, zakup ordynarnej bielizny itp. Dlaczego to trwało aż tydzień? Czyżbyście tyle potrzebowali, pani i Kawoń, żeby wypracować plan nowego zamachu na życie Zborowskiego?

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Nie chce pani tego wyjaśnić?

- Przypominam: to pani prawo — wtrącił porucznik.

- Święte słowa! Pani rzeczywiście przysługuje to prawo, ale nie radziłbym z niego korzystać, to byłoby wbrew pani interesom.

Wstał i przechadzając się mówił dalej:

- Nad tym warto się zastanowić, zanim się rozstaniemy, potem już sprawa przyjmie obrót bardziej urzędowy. Co nie znaczy — dodał pośpiesznie — żeby teraz nie miała charakteru oficjalnego. Nie udaję nawet, że to rozmowa prywatna. Na prywatną rozmowę z panią, mówiąc szczerze, nie miałbym chęci.

Zrobił małą przerwę, jakby oczekując, że kobieta zmieni postawę, po czym ciągnął:

- Teraz pytanie następne: po co pani była potrzebna ta maskarada, to udawanie własnej mamusi? Odpowiedź jest tak prosta, że nie wymaga wyjaśnień. Dzięki maskaradzie uzyskała pani wiele. Po pierwsze, zmontowanie legendy o tym, że uratowała się z wypadku, lecz została ciężko okaleczona, co miało wpędzić inżyniera w kompleks niewybaczalnej winy. Po drugie, mogła pani codziennie,

systematycznie zatruwać mu życie jako matka ofiary, ucieleśniony wyrzut sumienia. Po trzecie, fabrykując te swoje listy, mogła pani jątrzyć go i terroryzować pogroźkami, pozwalając domyślać się planów szantażu i zemsty. I wreszcie, mieszkając z mężem pod jednym dachem, miała pani najlepszą nad nim kontrolę, mogła bezpośrednio śledzić pogłębiający się stan jego rozchwiania, co było nader pożądane w celu „trzymania ręki na pulsie” i wyznaczania terminu, kiedy upatrzona ofiara dojrzeje do wciągnięcia jej w pułapkę.

Głos zabrał porucznik.

- Dla mnie to wszystko brzmi ogromnie przekonująco, panie doktorze. Jeżeli nawet gdzieś zostały drobne luki do wypełnienia, to całość wygląda bardzo wyraźnie. To nie sprawa biednej Mary-Jo! Brakujące szczegóły uzupełni dalsze śledztwo, w to nie wątpię. Czy chciałaby pani coś sprostować? Albo dodać?

Przemówiła dość pewnym głosem:

- Pan doktor opowiedział ładną bajeczkę, a pan porucznik uważa, że to brzmi „ogromnie przekonująco”. Gdybym słuchała takich bajd o kimś innym, być może i mnie by tak się zdawało. Ale to bajeczka o mnie, a ja przecież wiem, że tak wcale nie było, jak pan doktor opowiada.

- A jak było, proszę pani? — odezwał się z gotowością porucznik. — Chętnie zestawię obie wersje. Nigdzie nie jest powiedziane, że doktor Gellert ma przywilej, jeżeli chodzi o moje zaufanie.

- Potrzebne mi pańskie zaufanie jak... Oświadczam: nie było tak, j kropka. Proszę mi udowodnić, że tak było, a wtedy będę z wami rozmawiać.

- Zgoda — podjął Gellert. — Przedstawię dowód pośredni, lecz ważki. Nieroztropnie pani zrobiła, zostawiając w domu książeczkę czekową przed wyprawą do Iglic, odcięła się pani od źródła gotówki. A dlaczego? Bo była pani zbyt pewna, że wróci do domu już sama, bez męża, który spokojnie spocznie na dnie przepaści. Uratowanie się inżyniera (istotnie cudowne, bo miał

szansę jedną na tysiąc) przysporzyło pani niespodziewanych kłopotów.

- Cóż to za dowód? — uśmiechnęła się. — Znów domysły.

- Mam i lepsze dowody. Pytała pani, skąd znam we wszystkich szczegółach, co się rozegrało na Sarniej Skałce. Mogę to teraz wyjaśnić.

- Dziękuję, nie trzeba. Sama już się domyśliłam: Andrzej to panu powiedział.

- Zgadła pani, ale tylko część prawdy. Poza ustną opowieścią, opisał całe zajście listownie. Ten dokument istnieje, mam go w Pruszkowie.

Była zaskoczona, a jednocześnie nie bardzo wierzyła, podejrzewając podstęp.

- Nie mógł przecież wiedzieć o tym tarasie skalnym, na który zeskoczyłam?

- Za to ja znam dobrze tamtejsze okolice, proszę pani. Mieszkalem w jeleniogórskim parę lat i gorliwie uprawiałem taternictwo. Odświeżyłem znajomość terenu w ubiegłą niedzielę. A przy okazji zajrzałem i do Torunia. Widziałem pani matkę, panią Bielakową — tę prawdziwą. Muszę powiedzieć: skrzywdziła pani swoją mamusię, nadając jej taką odpychającą powierzchowność. To całkiem miła starsza pani. Uskarżała się, że córka do niej nigdy nie pisze. Że nawet nie dostała zaproszenia na ślub, że nie poznano jej z drugim zięciem. O pierwszym, nawiasem mówiąc, odzywała się nie bardzo pochlebnie.

Pani Celina wyglądała jak bokser, który już zrezygnował ze zwycięstwa i stara się tylko dociągnąć do końca rundy. Spojrzała na puste filiżanki po kawie i zwilżyła językiem wargi.

- Wody? Kawy? — zapytał uprzejmie porucznik.

Zaprzeczyła gestem.

Gellert zerknął na zegarek, zdecydowanym ruchem zgasił lampę i rozsunął zasłony. Za oknem był jasny dzień.

- Proszę pana — zwrócił się do porucznika — ja już będę musiał odjechać, nie mogę się spóźnić do przychodni. Czy pan ma jakiś wolny wóz?

- Oczywiście. Chciałbym tylko jeszcze uzgodnić z panem parę kwestii. Przejdźmy do gabinetu.

Porucznik podniósł się z miejsca, a jednocześnie pani Zborowska przemówiła bardzo stanowczo:

- Zapiski mojego męża nie mogą służyć za dowód. Ostatnio był, jak doktor sam mówił, w okropnym stanie, mógł bredzić, pisać od rzeczy. Będę zaprzeczać. A żywych świadków na Sarniej Skalce nie było. Nie było! Ani jednego!

To wykrzyknęła już histerycznie.

- Myli się pani — powiedział Gellert spokojnie. — Jeden świadek z pewnością tam był. Zaraz go tu poprosimy.

Wyszedł. Kobieta pochyliła się naprzód, z nadludzkim napięciem wpatrzona w drzwi pokoju. Upłynął cały kwadrans, zanim otworzyły się znowu.

Na progu stał Andrzej Zborowski. Trupio blady, w rannych pantoflach, w spodniach, bez marynarki, w nie dopiętej koszuli. Miał zamglone spojrzenie, jakby wyrwany z głębokiego snu.

Jego żona tym razem nie straciła przytomności. Skamieniała.

- Niech pan podejdzie bliżej, panie inżynierze — poprosił porucznik. — Niech pani się przekona, że pan nie jest widmem.

FINAŁ NIE DLA WSZYSTKICH POMYŚLNY

Szosa pruszkowska lśniła dobrze wyjeżdżonym asfaltem, biały fiat leciał lekko jak anioł, inżynier Zborowski prowadził go wprawną ręką, a obok siedział doktor Gellert. Gdyby nie szarość zmęczenia, okrywająca twarze obu mężczyzn, można by pomyśleć, że tą ranną porą panowie wybrali się na ładną wycieczkę.

- Pan pojmuje, że trudno by mi było panu dziękować, doktorze, żadne słowa nie są współmierne z tym, co pan dla mnie uczynił – mówił inżynier, kontynuując rozmowę, rozpoczętą godzinę temu.

- Panu również należy się moja wdzięczność – odrzekł Gellert. – Wdzięczność za zaufanie i za cierpliwość, jakie mi pan okazał. Wiem, że chwilami nie było to łatwe.

Przytrzymując lewą ręką kierownicę, Zborowski sięgnął prawą do skrytki samochodu, wyjął pokaźny zeszyt i położył go na kolanach doktora.

- Dowie się pan z mojego dziennika, jak mi czasem trudno było zaufać panu na ślepo. Pisałem tak, jak pan radził, z całkowitą szczerością i nie oglądając się na nikogo, nawet na pana. Jednak już wtedy wiedziałem, że jeżeli komuś ten dziennik kiedykolwiek pokażę, to właśnie panu, doktorze. I nikomu więcej.

- Dziękuję – powiedział Gellert i schował zeszyt do teczki.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pan jeszcze powrócić do tej sprawy, ale chciałbym już dziś więcej się o niej dowiedzieć, i więcej zrozumieć.

- Chętnie wyjaśnię, co będę mógł. O co panu chodzi w pierwszej kolejności?

- O pańską metodę. Zebrał pan olbrzymi materiał przeważnie sam, własnym wysiłkiem. Jeździł pan do Iglic, do Torunia. Dokonał pan wizji lokalnej w miejscu wypadku. Nie rozumiem, jak pan znalazł to miejsce, skoro nie nazywa się Czarczi Żleb, jak podawałem w dobrej wierze,

tylko Sarnia Skalka?

- Nie chciałbym, żeby pan przeceniał moje sukcesy i osiągnięcia, wobec tego ogólna uwaga: ogromną rolę w takich poszukiwaniach odgrywa szansa, szczęśliwy zbieg okoliczności, wskutek czego sukces wypada o wiele efektowniej, niż powinien by wyglądać normalnie. Właśnie na tym przykładzie to wykażę.

Już tłumaczyłem pani Celinie, że znam dobrze okolice Jeleniej Góry, spędziłem tam parę lat, łażąc po górach. Traf chciał, że szczególnie dobrze znam Iglice z przyległościami, toteż przeczytawszy w pańskim zeszycie dokładny opis miejsca wypadku, a wiedząc już, że Celina się uratowała, nabrałem całkowitej pewności, że stać się to mogło jedynie na Sarniej Skalce.

Ileż to razy sam zeskakiwałem na ten tarasik kamienny, z czystego hojactwa! Więcej nawet: chcąc nastraszyć panienkę, na której względach mi zależało, zeskoczyłem pewnego razu w taki sposób, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek. Jak pan rozumie teraz, doskonale wiedziałem, że jest to rzecz nie bardzo trudna i wcale nie ryzykowna.

Ale, muszę powiedzieć, widok stamtąd w dół jest przerażający: strome urwisko, najeżone zewsząd głazami, na dnie spieniony potok, roślinność rzadka, nagie skały. Nie słyszałem, żeby ocalał ktoś z tych, co tam spadł, a zdarzało się to również. Pan doprawdy miał szczęście, panie Andrzeju, że mimo deszczu utrzymał się na nogach! W niedzielę obejrzałem ten szczyt: mały skrawek niemal wypolerowanego kamienia, nie ma o co się nogą porządnie zaczepić.

Zborowski dokładnie sobie przypomniał ów moment i dreszcz go przeleciał.

- A co jeszcze pan chciałby wyjaśnić? — zapytał Gellert.

- Jadąc tam, miał pan już określoną wersję wypadku. Co pana na to naprowadziło?

- Przede wszystkim informacje, jakich pan mi dostarczał. Pan był bardzo dobrym informatorem. Dla przykładu: kiedy pan mnie powiadomił, że teściowa wychodząc zamyka drzwi sypialni na klucz, potwierdziło to moje

podejrzeń, że ukrywa przed panem jakieś dokumenty albo po prostu odcina dostęp do książeczki czekowej.

- Więc dlatego pan był z tej nowiny tak bardzo zadowolony i powiedział: „Doskonale!” Czy pan wie, że głowie się nad tą repliką i nic mądrego nie mogłem wymyślić? Zabawne. A co jeszcze z moich informacji panu się przydało?

- Bodaj wszystko. Głównie, oczywiście, listy Celiny i szczegółowy o zachowaniu pseudo-teściowej.

- Jakże pan wpadł na ślad Kawonia?

- Pierwszym sygnałem był epizod z Pietrasińskim, tym niby kolegą biurowym, który dzwonił, żeby sprawdzić, czy pan już wrócił do Warszawy. Zrazu pomyślałem, że to może być kochanek, a przypomniawszy sobie, że Kawoń mógł wyjść z amnestii, zastanowiłem się, czy to nie on zjawił się w zasięgu Celiny. Poprosiłem w Komendzie o zebranie informacji i bardzo szybko je otrzymałem.

- A skąd pan wiedział, że Kawoń zamieszkał na Poznańskiej i że Celina go odwiedza? Czyżby pan ich śledził?

- Nie, po co? Są lepsi specjaliści ode mnie. Przekonawszy się, że Kawoń „nawiązał kontakt” z pańską małżonką, uznałem za wysoce prawdopodobne, że to on inspirował całą akcję przeciw panu. To nie znaczy, że bym nie doceniał walorów pani Celiny: przecież kombinację z polisą obmyśliła i wykonała samodzielnie i bardzo sprytnie.

- Ależ, doktorze, stąd jeszcze daleko do morderczych wobec mnie zamiarów! Bardzo daleko! Celina żyła przy mnie w dobrobycie, nie kontrolowałem jej wydatków, nie krępowałem swobody. Mogła spokojnie czekać na milion z PZU, aż umrę śmiercią naturalną, przecież jestem od niej o tyle starszy. Trudno mi uwierzyć, żeby sama, bez sugestii, podjęła taką decyzję, żeby chciała mnie zabić... Przepraszam, panie doktorze, wierzę w pana intelekt i intuicję, ale ta myśl wydaje mi się niesamowita. Skłamałbym, gdybym powiedział, że w to uwierzyłem.

- Wiem. Na Sarniej Skałce i później pan ani razu nie wpadł na myśl, że Celina zaprowadziła pana tam nau-

myślnie, żeby zrzucić do przepaści. Dziś pan to już rozumie, mam nadzieję?

- Rozumiem. Ale jestem przekonany, że działała z podpuszczenia Kawonia. Proszę i mnie zrozumieć: wydając bezwzględny wyrok moralny na nią, wydaję jednocześnie nader niepochlebne świadectwo o sobie. Ja z tą kobietą przeżyłem rok! Jeżeli jest potworem, a ja tego nie wyczułem, to znaczy, że jestem ostatnim kretnym.

Zapałił w zdenerwowaniu, zamilkł.

- Panie Andrzeju — nie od razu odezwał się Gellert — pan myśli kategoriami trochę... ciasnymi. Nie tylko potwory dokonują zbrodni. Zdarza się czasem, że ludzie zabijają z braku wyobraźni, z ubóstwa duchowego w połączeniu z prostacką chciwością i sprytem. Czy panu to nic nie mówi?

Zborowski bez pośpiechu dopalił i zgasił playersa.

- Panie doktorze, czy mogę jeszcze zapytać...

- Proszę bardzo.

- Wciąż o metodzie. Kiedy pan zaczął się domyślać, że ta teściowa nie jest teściową?

- Ach, tego akurat domyśliłem się od razu, pierwszego dnia.

- Co to znaczy: pierwszego dnia?

- No, przy pierwszej pana wizycie.

- Niemożliwe! Ona grała tak genialnie, że ja bym i przez rok się nie domyślił!

- Byłem w lepszym położeniu, bo nie ulegałem bezpośredniej sugestii. Oto druga ilustracja tezy, że głównym sprawcą moich sukcesów jest traf. Pan powiedział, że ona przyjechała w niedzielę czternastego o pół do jedenastej, co by zgadzało się z rozkładem, bo pierwszy ranny pociąg z Torunia przybywa do Warszawy koło dziesiątej.

- Tak, pamiętam, i ja kiedyś przyjechałam tym rannym.

- Szczęśliwy traf polegał na tym, że primo: w ową niedzielę pociąg się spóźnił o trzy godziny, secundo: wiedziałem o tym, ponieważ jechał nim mój kolega, który miał złuzować mnie na niedzielnym dyżurze, a który o te trzy

godziny się spóźnił.

- Nieprawdopodobny zbieg okoliczności!

- O tym właśnie mówię. W lot zrozumiałem, że teściowa kłamie, że wcale nie przyjechała z Torunia; zestawivszy jej dziwne zachowanie się z faktem, że pan jej nigdy nie widział, powziąłem podejrzenie, że ktoś podszywa się pod pańską teściową.

- Jednakże nie podejrzewał pan jeszcze Celiny?

- Owszem. Kiedy pan podał mi jej własnoręcznie pisany list, zaadresowany do pseudo-teściowej jako do matki, byłem już prawie pewien, że to Celina we własnej osobie. Albo kobieta, utrzymująca z Celiną kontakt, działająca z jej polecenia.

- W takim razie można powiedzieć, że pan od początku wszystko wiedział!

- Wcale nie. Znalazłem kilka podstawowych faktów, które nadały kierunek moim poszukiwaniom. Miałem tę wyjątkową szansę, że moim informatorem i sprzymierzeńcem była zagrożona osoba, kandydat na ofiarę, czyli pan. Szkopuł jednak polegał na tym, że aby pan mógł skutecznie pełnić tak ważną funkcję, musiałem utrzymywać pana w nieświadomości pewnej części prawdy.

- Nawet pokaźnej części, doktorze!

- Owszem, zgadza się, i proszę mi to teraz wybaczyć. Wiem, że pan od dawna chce zadać pytanie: czemu ukrywałem przed panem tyle rzeczy. Przypuszczam, że pan zaczyna już rozumieć, iż było to absolutnie konieczne. Dla dobra sprawy, jak to się mówi. Jeżeli nawet pan nie przyzna mi tego dziś, to po przemyśleniu całości...

- Przyznaję już dziś, doktorze. Coraz lepiej uświadamiam sobie, co panu zawdzięczam.

- Zgaduję, co pan ma na myśli. Gdybym wczoraj wtajemniczył pana do końca w swój plan strategiczny... w upozorowanie pana samobójstwa... pewnie nie zechciałby pan tego planu zaakceptować. Prawda?

- Najprawdopodobniej.

- Tymczasem, był to, według mnie, jedyny sposób na

wykrycie winowajców, na udowodnienie ich zbrodniczych zamiarów. Chciałem ich wyprzedzić, zaskoczyć, doprowadzić do załamania się przez rzekome unieważnienie polisy. Dla zapewnienia sukcesu musiałem pana, że tak się wyrażę, unieszkodliwić, żeby pan nie pałętał się po mieszkaniu podczas akcji. Użyłem środka nieco brutalnego, ale najłagodniejszego z możliwych. Uśpiłem pana na siedem godzin.

- Tą pigułką, którą połknąłem punkt o jedenastej?

- Tak. Ten środek działa szokowo i dlatego można go używać tylko w rzadkich wypadkach. Nie potrzebuje pan znać nazwy, więcej już panu go nie zaaplikuję. Myślę, że i ten chwyt pan postara się mi wybaczyć. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że musiałem mieć wolną rękę, bo rozgrywka była wyjątkowo trudna.

- Zdaję sobie z tego sprawę, proszę mi wierzyć.

- Tak, a jednak nie może pan ogarnąć całej specyfiki tej trudności. Przy pierwszej wizycie nazwał mnie pan detektywem...

- Przepraszam bardzo, zachowałem się w ogóle głupio.

- Nie bawmy się w wersal. Chcę powiedzieć, że tropienie przestępców rzeczywiście jest moją pasją. Szlachetną pasją, jak to się mówi. Bo to może być zajęciem szlachetnym, jak polowanie na grubego zwierza, gdzie jest element obustronnego ryzyka, niebezpieczeństwa, równej szansy. Krótko mówiąc: i tu obowiązują sportowe reguły gry. Tak przynajmniej ja to pojmuję. Bo inaczej, jeżeli ja niczym nie ryzykuje, a tropiony może utracić wszystko, jeżeli wszystkie atuty są po mojej stronie, polowanie zamienia się w jatkę...

Z kolei Gellert nerwowo zapalił i długo się nie odzywał.

- To była trudna rozgrywka — powtórzył. — Na szczęście, porucznik dzielnie mi sekundował. Nie po raz pierwszy współpracujemy, jesteśmy bardzo zgrani, rozumiemy się bez słów. Nic bym nie wskórał bez niego.

- Panie doktorze, chciałbym jeszcze zapytać: jaki będzie los Celiny?

- Trudno powiedzieć z góry, wyrok zależy od prokuratora i obrońcy, od wrażliwości i nastawienia sędziów. W każdym razie, będzie sądzona nie za morderstwo, tylko za zamiar popełnienia morderstwa, a to różnica, bardzo wielka różnica! W gruncie rzeczy, powinna by dziękować porucznikowi i mnie, że nie pozwoliliśmy jej awansować na morderczynię. Nie bardzo jednak liczę na tę wdzięczność.

- W tym wypadku nawet dobrze Celinę rozumiem.

Dojechali do bramy Tworek i skręcili na teren parku.

W ciągu dziesięciu dni, które upłynęły od pierwszej wizyty Zborowskiego, jesień przemieniła się z powrotem w babie lato, strojąc drzewa w złoto-czerwone barwy. Wyglądało to bardzo odświeżenie.

- Jeszcze małe pytanko, doktorze. Skąd pan wiedział, że Celina pojechała do Iglic z Kawoniem?

- Tej informacji udzieliła mi, nader uprzejmie, sama pani Celina. Po prostu zaczęła mówić: „przyjechaliśmy”, „zatrzymaliśmy się”, nie zdając sobie z tego sprawy. Wykorzystałem to oczywiście. Podziwiałem, szczerze mówiąc, nerwową wytrzymałość tej kobiety, ale w walce na długi dystans okazałem się mocniejszy.

- A skąd pan wiedział, że zatrzymali się w Cieplicach u znajomego nazwiskiem Pietrasiński? Wtedy ich nikt jeszcze o nic nie podejrzewał, więc na pewno nie byli pod obserwacją?

- Toteż wcale nie wiedziałem, jak nazywał się ów znajomy.

Rzuciłem nazwisko na chybił trafił, wychodząc z założenia, że ludzie często przy wyborze pseudonimu ulegają niedawpym skojarzeniom: przecież Kawoń w rozmowie telefonicznej podał się za pańskiego kolegę, Pietrasińskiego. Zapamiętałem to.

- No i zgadł pan!

- Tak. To zrobiło na Celinie miazdzące wrażenie, zdaje się, że od tej chwili zaczęła wierzyć, że przede mną nic się nie ukryje.

- A to była zwykła błaga!

- Czy to coś złego? Używam błagi często i chętnie, niestety nie zawsze z dobrym wynikiem.

Fiat zatrzymał się przed schludnym budynkiem Zakładu Psychoneurologii. Wejście było szeroko otwarte.

Panowie wyszli z auta, wymienili uścisk dłoni. Obaj zniechęceni odczuli ogromne znużenie. Gellert przypomniał sobie, że dzisiejszej nocy nie spał, Zborowski pomyślał, że spał aż zbyt mocno.

- Wie pan — powiedział — teraz, patrząc wstecz, widzę, że przeżyłem jedną z tych historii, o których się mówi: „spróbuj pan to opisać, a nikt nie uwierzy”.

- Może pan jednak spróbuje?

- Ja nie, ale mam przyjaciela literata, który dobrze płaci za pomysły. Mogę mu odsprzedać fakty, wątki, niech napisze kryminał!

- Obawiam się, że nie zrobi pan interesu. Kryminał wypadłby błado.

- Dlaczego? — zawołał Zborowski, mocno dotknięty.

- No bo: gdzie trupy? Nie ma trupów!

Doktor z ubolewaniem pokiwał głową, przeskoczył jednym susem stopnie ganku i zniknął w głębi korytarza.

Fiat ruszył w powrotną drogę. Dzień zapowiadał się upalny: zaczynała się słynna jesień 1969 roku, gorąca „jesień stulecia”.

Stałem na korytarzu koło wejścia, patrzyłem w zasnutą ulewą okno i powtarzałem w myśli: „Zabiłem moją żonę. Zabiłem Celinę”. Nic innego nie mieściło się w mojej głowie, tylko te dwa zdania, przesuujące się jak taśma dźwiękowa z króciutkim powielanym zapisem: „Zabiłem moją żonę. Zabiłem Celinę”...

Wołnych miejsc było dużo, mogłem sięść na miękkiej kanapie, ale trwałem w bezruchu, nie odrywając oczu od mokrej szyby. Bałem się. Coraz bardziej się bałem.

(fragment)

